

KWARTALNIK
WIOSNA 2013



ŚWIT_EBOOKÓW



Maciej Parowski
o Emmie Popik



Wywiady



Recenzje



Felietony



Analizy



CD-ACTION
www.cdaction.pl

ISSN 2300-5645

Oficyna wydawnicza

RW2010



REDAKCJA

Redaktor naczelny: Maciej Śłużyński

Sekretarz redakcji: Joanna Śłużyńska

Skład i łamanie: Oficyna Wydawnicza RW2010

Zespół redakcyjny: Oficyna Wydawnicza RW2010

Współpraca:

Maciej Parowski, Emma Popik, Robert Drózd, Marcin Królik, Łukasz

Sporyszkiewicz, Katarzyna Krzan, Piotr Lipiński, Jagna Rolska, Marek

Adamkiewicz, Marcin Orlik, Paideia, Sardegna, Jagoda Wochlik, Agnieszka Żak,

Gustaw G. Garuga, Katarzyna Tatomir.

ISSN 2300-5645

RW2010

WYDAWCA

Oficyna wydawnicza RW2010

Os. Orła Białego 4 lok. 75

61-251 Poznań

marketing@rw2010.pl

www.rw2010.pl

Serdecznie zapraszamy do współpracy wszystkich recenzentów, blogerów, dziennikarzy, autorów, księgarzy i wydawców. Teksty lub linki do tekstów należy nadsyłać na podany adres poczty elektronicznej.

Spis treści

SŁOWO WSTĘPNE.....	5
Maciej Śłużyński: Dwa lata w ebookach.....	6
FELIETONY.....	9
Robert Drózd: 250 milionów straty? Coroczne jęczenie nad piractwem ebooków.....	10
Marcin Królik: Gdzie leży pisarz?.....	13
Robert Drózd: Cyfrowa prasa? Tylko formaty czytnikowe!.....	17
Łukasz Sporyszkiewicz: Dziwne przypadki <i>Gazety Wyborczej</i> na rynku prasy cyfrowej.....	19
E-WYDAWCY.....	24
Katarzyna Krzan: Wydawnictwo e-bookowo. Cyfrowe książki.....	25
E-BOOOKOWO POLECA:.....	27
WIEŚCI Z RYNKU.....	38
Piotr Lipiński: Cud nad Wisłą, czyli jak nie nadszedł Amazon.....	39
Maciej Śłużyński: VAT na ebooki.....	43
E-KSIĘGARNIE.....	45
Największa naukowa wypożyczalnia online już działa!.....	46
Dlaczego nie Kindle? (oraz inne pytania, jakie macie do twórców <i>Czytaj bez limitu</i>).....	49
NOWOŚCI i ZAPOWIEDZI WYDAWNICZE.....	53
RECENZJE.....	59
Jagna Rolska: Lubię książki napisane pięknym językiem. <i>Pillon i Synowie</i> Marka Hemerlinga.....	60
Marek Adamkiewicz: Autorka utalentowana... z pechem? Recenzja ebooka <i>Po stronie mroku</i> Agnieszki Hałas.....	62
Maciej Parowski: Kto się boi <i>Trzeciego cycka</i> Emmy Popik? Felieton-recenzja.....	64
Marek Adamkiewicz: Na dobre rzeczy warto czekać. Recenzja ebooka <i>Pośród cieni</i> Agnieszka Hałas.....	68
Maciej Śłużyński: <i>Pierwsza z rodu</i> Joanny Łukowskiej, czyli fantastycznie kobieca literatura.....	71
Marcin Orlik: Literacka masturbacja frustracją, czyli <i>Olimpiada szaleńców</i> Piotra Mroka.....	76
Sardegna: Paranormalna historia miłosna z klapsami, czyli <i>Gra o duszę</i> Anety Rzepki.....	78
Sardegna: Na gorące, parne wieczory... <i>Tercet i inne historie</i> Grzegorza Krzyżewskiego.....	80
Jagoda Wochlik: Polak potrafi, czyli powieść hybryda, czyli recenzja <i>Żabła Tasmańskiego</i> Jana Siwmira.....	81
Szczyty wyobraźni: Veronique Wolf – <i>Moja mama pije</i>	83
Paideia: Komedia, która bawi do łez i krzepi, czyli <i>Państwo Tamickie</i> wg Joanny Łukowskiej.....	84

WYWIADY.....	86
Maciej Śłużyński: Planuję ramy historii... rozmowa z Romualdem Pawlakiem.....	87
Maciej Śłużyński: Matematyka w literaturze może się przydać... rozmowy w biegu z Joanną Łukowską.....	90
Gustaw G. Garuga: Nie lubię fantastyki... rozmowa z Dawidem Juraszkiem.....	94
SELF-PUBLISHING.....	99
Agnieszka Żak: <i>Trójka</i> – Szymon Adamus, czyli coś dla fanów sf i wartkiej akcji.....	100
Agnieszka Żak: <i>Hotel dla samobójców</i> – Jerzy A. Kozłowski.....	102
Katarzyna Tatomir: <i>Hikikomori</i> – Tomasz Przewoźnik, czyli powieść niekoniecznie ezoteryczna	104
Agnieszka Żak: <i>Genewska zagadka</i> – Alicja Minicka.....	107
OPOWIADANIA.....	109
Emma Popik: <i>Trzeci cycek</i>	110
Emma Popik: <i>Mistrz</i>	124

SŁOWO WSTĘPNE

Maciej Śłużyński: Dwa lata w ebookach

Na początku podsumowania dwóch lat naszej działalności na rynku ebooków musimy się przyznać do dwóch naszych największych porażek. Po pierwsze – obiecaliśmy, że dołożymy wszelkich starań, aby utwory naszych autorów znalazły się w ofercie polskiego „oddziału” Amazona. Słowa nie dotrzymaliśmy, bo... gigant po prostu nie wszedł do Polski. Po drugie – mieliśmy ambitny plan, aby wydać pięćdziesiąt tytułów w ciągu pierwszego roku, a kończąca pierwszy rok wydawniczy *Antologia Rok 2012* była dopiero czterdziestą czwartą premierą w naszej oficynie. Zatem plan wydawniczy w pierwszym roku wykonaliśmy zaledwie w 88%. Powodem był oczywiście brak czasu i tak zwane obiektywne trudności. W roku drugim co będzie – czas pokaże, na razie dopiero zbliżamy się do połowy naszej zaplanowanej na początku drogi.

A teraz co się nam w mijających dwóch latach udało. Po pierwsze – dzięki podpisaniu umów ze wszystkimi największymi dystrybutorami oraz – bezpośrednio – z kilkunastoma księgarniami, ebooki naszych autorów są dostępne praktycznie we wszystkich polskich e-księgarniach. Aktualnie (stan na maj 2013) mamy w ofercie ponad sześćdziesiąt tytułów, a liczba pozycji oraz grono autorów, którzy nam zaufali, systematycznie rosną.

Każdy współpracujący z naszą oficyną pisarz może liczyć na życzliwą pomoc, redakcję, korektę, projekt okładki, konwersję na trzy najpopularniejsze formaty, ogólnopolską dystrybucję i wsparcie marketingowe. I – zupełnie jak w „papierowym” wydawnictwie – wszystkie nasze prace na rzecz autora i jego utworu są bezpłatne.

Kilka słów o serwisie self-publishing www.rw2010.pl – bo tu też mamy się czym pochwalić. Przetrwaliśmy dwa lata, w tym czasie 165 twórców opublikowało u nas blisko 550 utworów, a serwis liczy ponad 3 000 użytkowników. Serwis zaczął działalność 11 maja 2011 roku, ale już w sierpniu narodził się pomysł, aby równolegle prowadzić działalność jako oficyna wydawnicza, specjalizująca się w ebookach. Po prostu wystarczyło nam kilka miesięcy, aby zrozumieć, że self-publishing – to nie jest coś, czego oczekują polscy autorzy i polscy czytelnicy, dlatego zdecydowaliśmy się lepiej dostosować naszą ofertę do wymagań stawianych przez rynek. Prace ruszyły pełną parą i do końca roku 2011 mieliśmy na koncie 18 wydanych pozycji, a pod koniec stycznia 2012 roku serwis mógł się pochwalić okrągłą liczbą 600 użytkowników. Ale wszystko tak naprawdę zaczęło się w lutym...

Siódmego lutego 2012 roku, na tydzień przed Walentynkami, wydaliśmy antologię „Słodko gorzko. Opowiadania o miłości” pod redakcją Piotra Mroka i wspólnie z autorami zdecydowaliśmy się rozpowszechnić ją za darmo, w ramach „budowania rynku”. Do tej pory to dzieło zbiorowe zostało pobrane ponad 23 000 razy! To jest jak do tej pory nasz rekord i jeden z najlepszych wyników w polskim internecie.

W marcu 2012 udało nam się podpisać umowę wydawniczą na e-publicację dwóch powieści Andrzeja Rodana, a w kwietniu tego roku na swojego partnera na rynku e-publicacji wybrał nas Romuald Pawlak. Zaraz potem do drużyny dołączyli Dawid Juraszek i Agnieszka Hałas, a także Marian Kowalski i Edward Zyman. W marcu 2013 roku z wielką przyjemnością rozpoczęliśmy współpracę z Emmą Popik i Markiem Hemerlingiem. Wśród debiutantów z zainteresowaniem naszych czytelników spotkali się Martyna Goszczycka, Piotr Mrok, Tomasz Mróz, Darek Kankowski, a ostatnio – Marcin Orlik. Publikujemy zatem utwory uznanych autorów i tych dopiero zaczynających swoje zmagania ze słowem pisanim. Ale zawsze staramy się prezentować twórców oryginalnych. Poczytujemy sobie za sukces odkrycie dla szerszej publiczności „absurdalnego” talentu Tomka Mroza oraz nieszablonową sf Piotra Mroka.

Odległość też nie stanowi dla nas problemu. Wydajemy utwory pisarzy z całej Polski i... z całego świata. Dawid Juraszek mieszka obecnie w Chinach, Edward Zyman – w Kanadzie, Grzegorz Krzyżewski na Islandii, Katarzyna Woźniak w Holandii, a Andrzej Paczkowski – w czeskiej Pradze.

Jednak na obecną chwilę najpopularniejszą naszą autorką jest Joanna Łukowska, mieszkająca w Poznaniu, naszym rodzinnym mieście. Jej ebooki sprzedały się w nakładzie ponad 1 500 licencji (stan na koniec I kwartału 2013 roku). Od listopada powieść *Nieznajomi z parku* znajduje się na pierwszym miejscu listy bestsellerów księgarni Empik.com. Autorka zaś nie ukrywa, że na swoim ebooku już zarobiła więcej niż na wersji papierowej. Zatem można! Ta informacja powinna ucieszyć wszystkich autorów wahających się, czy warto wydać się elektronicznie.

Do naszych ważnych osiągnięć zaliczam współpracę z „blogującymi mamami” pod wodzą Doroty Smoleń. Wydaliśmy jak do tej pory dwa zbiory tekstów najpopularniejszych w Polsce blogerek piszących o dzieciach, cały dochód ze sprzedaży ebooków przeznaczając na wsparcie dla Mikołaja, cierpiącego na rdzeniowy zanik mięśni – SMA1. Do tej pory konto Fundacji zasililiśmy kwotą ponad siedmiu tysięcy złotych. I mamy wielką nadzieję, że to jeszcze nie koniec, tym bardziej że blogujące mamy dopiero się rozkręcają. Zupełnie jak my...

Warto jeszcze na koniec postawić pytanie – dlaczego ebooki? I skąd nazwa „rewolucja wydawnicza”? Otóż ebook stał się realną alternatywą dla książki papierowej. Nie konkurencją, bo „papier” ma i mieć będzie stałe grono swoich zwolenników, ale właśnie alternatywą – i to zarówno dla twórców, jak i dla czytelników. I śmiemy twierdzić, że ebook jest pod pewnymi względami lepszy. Po

pierwsze – czas jego powstawania (dotyczy to „formy fizycznej”) jest znacznie krótszy, po drugie – koszt jego wydania znacznie niższy, po trzecie – znacznie łatwiej i szybciej można go kupić, po czwarte – o wiele wygodniej czyta się na czytniku, po piąte wreszcie – ebook jest pro-ekologiczny, oszczędza nasze środowisko, a także miejsce w naszych domach czy torbach podróżnych. Bo czyż nie jest miłą perspektywą zabrać na wakacje dwadzieścia albo i trzydzieści książek, w cenie po dziesięć złotych za sztukę (lub mniej) i o łącznej wadze nie przekraczającej trzystu gramów?

FELIETONY

Robert Drózd: 250 milionów straty?

Coroczne jęczenie nad piractwem ebooków

Tekst pochodzi z portalu www.swiatczytnikow.pl

To jest temat, który wraca niemal każdego roku, nie tylko w sezonie ogórkowym. Rzeczpospolita głosi: „Piraci zabierają wydawcom książek 250 mln złotych rocznie!”. Artykuł zaczyna się od informacji przydatnych i ważnych:

„Obecnie ebooki objęte są 23-proc. VAT-em, a papierowe książki: 5-proc. stawką, co hamuje rozwój rynku tych pierwszych. – Z badań Biblioteki Analiz przeprowadzonych na 2,5 tys. czytelników książek wynika, że 37 proc. z nich chce płacić za ebooka połowę ceny tradycyjnej książki – mówi Łukasz Gołębiowski, prezes Biblioteki Analiz. – Kolejne 26 proc. oczekuje ceny na poziomie 9,90 zł”.

Jest to zbieżne z tym, co sam widzę po ruchu na blogu. Cena w wysokości połowy papieru (np. 15 zł zamiast 29 zł) jest już sensowna – a 9,90 uruchamia często kupowanie impulsowe – bardziej jesteśmy skłonni, żeby ebooka kupić, nawet jeśli w normalnej cenie byśmy na niego nie zwrócili uwagi.

O spadku czytelnictwa:

„Za tydzień podczas Targów Książki będziemy prezentować kolejne wyniki badań czytelnictwa Biblioteki Narodowej. Spadek czytelnictwa, jaki pokazują, jest przerażający, przy czym załamanie widać głównie w grupie najchętniej dotąd czytającej – mówił Włodzimierz Albin. Z najnowszych, jeszcze niepublikowanych badań Biblioteki Narodowej wynika, że tylko 39 proc. Polaków w ogóle czyta książki. – Ale to nie są ci czytelnicy, na których najbardziej wydawcom zależy. Tacy, czyli ci czytający co najmniej sześć książek rocznie, stanowią tylko 11 proc. Polaków, a ich grupa się zmniejsza”.

Dlaczego się zmniejsza? Tu nie ma odpowiedzi.

Następnie przechodzimy do działu science-fiction:

„Problemem branży wydawniczej są też znikające z rynku małe księgarnie oraz piractwo internetowe, które mocno osłabia potencjał rynku ebooków. Bardzo nam utrudnia życie zwłaszcza portal Chomikuj.pl, który w ogóle nie płaci żadnego VAT od książek – mówił Gołębiowski. Według danych Biblioteki Analiz, wartość ebooków, które sprzedawałyby się rocznie, gdyby nie było piractwa, sięga 250 mln zł. Cały polski rynek elektronicznych książek mógłby być wtedy w Polsce wart nawet 300 mln zł. Tymczasem obecnie szacuje się go na wiele mniej. – Nasz rynek ebooków w 2011 roku był wart 26 mln zł, a w ubiegłym już 50 mln zł”.

A więc gdyby nie wstrętni piraci, ludzie by kupowali 6 razy więcej ebooków niż obecnie! Wyobrażacie to sobie? Bo ja nie.

Jest to naiwne (a może cyniczne) założenie, że ludzie, którzy ściągną książki udostępnione nielegalnie, na pewno pójdą je kupić, jeśli nie będą mieli możliwości ściągnięcia.

Oczywiście że nie:

1. Nie kupią, bo ich nie stać.
2. Nie kupią, ale skorzystają po prostu z biblioteki.
3. Nie kupią, bo mają już wersję papierową, a nie widzą powodu, aby płacić dodatkowo za wersję elektroniczną, a mimo paru prób wciąż nie ma pakietowej oferty sprzedaży ebooka i papieru.
4. Nie kupią, bo ściągnęli tylko dlatego, że jest za darmo – jak ktoś z chomika pobierze sto tytułów, to ile przeczyta? Jeden? To chyba i tak zbyt optymistyczne założenie.
5. Nie kupią, bo... danego tytułu nie ma w wersji elektronicznej, tymczasem „piraci” poradzili sobie z digitalizacją.

Dowolnego ebooka z Amazona można w minutę znaleźć na serwisach pirackich. Czy to przeszkodziło w ogromnym sukcesie komercyjnym książek elektronicznych w Stanach? Nie. Piractwo nie ma tutaj nic do rzeczy i jest głównie wymówką dla braku działania.

W przemyśle muzycznym takie podejście zostało ładnie wyśmiane przez serwis Strata Kazika, gdzie można skopiować płytę, którą ma się pod ręką, a następnie powiększyć wirtualną stratę muzyków. Co stanie się, jeśli Strata Kazika przekroczy wysokość PKB całej planety?

Dwa lata temu na Warszawskich Targach Książki usłyszałem rozmaite wymówki, dlaczego DRM musi zostać, a na pierwszym miejscu było utyskiwanie na piractwo. W ubiegłym roku wielu wydawców DRM zdjęło i co? Sprzedaż poszła w górę, a piractwo wcale nie jest większe.

Powtórzę radę dla branży wydawniczej sprzed dwóch lat: zrozumcie swoich czytelników, przestańcie patrzeć na rynek wyłącznie ze swojej perspektywy, sprawcie, aby ludzie widzieli wartość w kupowanych ebookach, dbajcie o jakość książek sprzedawanych pod waszą marką – a problem piractwa będziecie mogli zignorować.

Marcin Królik: Gdzie leży pisarz?

Mimo iż dawno przestałem uważać sieć za surogat prawdziwych mediów, a publikowanie na blogu za mniej prestiżowe niż w „prawdziwej” gazecie, wciąż dopadają mnie wątpliwości, czy to, co udostępniam w cyberprzestrzeni, to już literatura, czy zaledwie namiastka. W tle zaś pobrzmiewa pytanie podstawowe: co tak naprawdę konstytuuje pisarza – ogłoszenie tekstu na papierze, błogosławieństwo jakiegoś krytycznego gremium czy już sam fakt, że następuje wymiana pomiędzy nim a czytelnikiem? Intuicja podpowiada mi, że ta ostatnia opcja jest najbliższa prawdzie. Bo przecież w sztuce chodzi o to, by nastąpiła komunikacja między nadawcą i odbiorcą, medium zaś pełni rolę drugorzędną.

Myślę, że podejrzenia co do literackości treści obecnych w internecie budzą przede wszystkim trzy czynniki. Podstawowy to absolutna demokratyczność. Do sieci każdy może wrzucić wszystko, co nie tylko uniemożliwia wyłonienie jakiegokolwiek hierarchii, kanonu, ale rodzi podejrzenia, iż wirtualna agora to przechowalnia dla grafomanów i nieudaczników, których przepędzili już wszyscy wydawcy i redaktorzy. Kolejny czynnik – najslabszy w tym zestawie do obronienia – to niematerialna forma. Tu mieszczą się wszystkie spory zwolenników szeleszczących kartek z tymi preferującymi ekran. I wreszcie aspekt dla mnie osobiście stanowiący najpoważniejszą zagwozdkę, a wręcz powód do zrywania się w nocy z krzykiem – nietrwałość. Choćby taki post na blogu: mogę go opublikować, a parę sekund później wymazać bez śladu, mogę go też dowolnie zmienić, co otwiera szerokie pole do manipulacji. A problemy techniczne? W każdej chwili może paść serwer, host może zlikwidować witrynę, na której prowadzę blog. I umarł w butach. Jeśli nie zrobię zapasowych kopii, znikam czyściutko i nawet zwłok nikt nie znajdzie – jakbym nigdy się nie narodził. I ta moja obawa dotyczy zarówno tekstów na stronach, jak i ebooków.

A to z kolei prowadzi mnie do kwestii wieczystej wersji beta, postawionej przez Wojciecha Orlińskiego w debacie o ebookach na łamach *Gazety Wyborczej*, którą w zeszłym roku część z nas, żywo zainteresowanych e-literaturą, się emocjonowała. Tekst funkcjonujący w postaci cyfrowej tak naprawdę zawsze jest w drodze, jego kształt zawsze faluje. I to właśnie w szczególności dotyczy literatury. Film czy muzykę trudniej zmodyfikować już po upublicznieniu. Sądzę, że ta swoista nomadyczność również powoduje dystans ludzi myślących o literaturze konserwatywnie. Ale znów: jest to słabość czy zapowiedź nowego etapu ewolucji? W różnych relacjach z ubiegłorocznymi Warszawskimi Targów Książki czytałem, że specjaliści z branży e-księgarskiej postulują konieczność zmiany myślenia o książce elektronicznej, oderwania jej od oczekiwań ze świata papieru. Tyle że oni mówią to w kontekście handlowym, a mnie problem interesuje ontologicznie. Bo może istotnie

literatura 2.0 to byt totalnie odrębny – zrodzony na glebie epoki Gutenberga, ale odgałęziający się w zupełnie innym kierunku.

A skoro tak, to należałoby stworzyć dlań odrębne kryteria oceny, inny język teoretyczny. Póki co głównie dyskutuje się o perspektywach rozwoju rynku, różnicach w czytaniu na tablecie, smartfonie i urządzeniu z technologią e-ink. Zachwycamy się nowinkami, licytujemy się, czy Amazon jednak wejdzie do Polski. Ale tym podstawowym pytaniem prędzej czy później też będziemy musieli stawić czoła. Jak do tej pory unikają ich wszyscy – od samych e-pisarzy, po krytyków, przynajmniej zawodowych, którzy cyfrową literaturę, szczególnie tą niemającą odpowiednika w papierze, obchodzą niczym gorący kartofel. Kiedyś w jednym z programów TVP Kultura widziałem, jak omawiający nowości wydawnicze krytycy przeglądali je na tabletach. Szczerze mówiąc, nie wiem, jak to interpretować, tym bardziej że jednym z rozmówców był Krzysztof Varga, oficjalnie deklarujący niechęć do czytania na ekranie.

Będzie więc pisarstwo w sieci rozwijać się równoległe z papierowym, niekiedy się z nim przenikając, czy z czasem zupełnie się oderwie? A może w przyszłości całkowicie zdeklasuje papier, jak powoli dzieje się już na niwie czasopism? Zaś skupiając się wyłącznie na wirtualnej przestrzeni: nastąpi ostateczny rozbrat sektora profesjonalnego i swobodnych duchów czy, tak jak obecnie, wymiary te będą funkcjonować w jakiejś osmozie?

Nawiasem mówiąc, lektura blogów amerykańskich guru self-publishingu coraz częściej przyprawia mnie o zgaę. Joe Konrath został już w zasadzie pełnoetatowym mesjaszem Jeffa Bezosa, a pojawiający się u niego gościnnie pisarze, którzy z modelu tradycyjnego przeczucili się na obieg niezależny (oczywiście w Amazonie), głównie narzekają, jak bardzo wydawcy ich skrzywdzili głodowymi tantiemami. John Locke od dawna milczy, w swoich starych postach zaś niezmiennie pozował na skromnisia, któremu przypadkiem udało się zrobić forszę, i też oczywiście, jak tylko mógł, naganiał do czczenia Amazona. Cholera, oni robią to spontanicznie, czy Bezos zmusił ich do podpisania jakichś tajnych klauzul? Ale to może równie dobrze wynikać z neoliberalnej fiksacji ludu za wielką wodą. Kryzys niczego ich nie nauczył. Chicagowscy chłopcy od Milтона Friedmana wykonali świetną robotę, wpajając Amerykanom, że nawet idee można przeliczyć na dolary.

Wróćmy jednak do meritum. Problem statusu cyfrowych treści to dla mnie synonim pytania o granice wolności artysty. Całe spektrum zagadnień związanych z e-publishingiem interesuje mnie tylko o tyle, o ile da się mówić o nim w tym właśnie świetle. Wiem, że jestem na tyle dobry, by drukować w oficjalnym obiegu, bo już sobie to udowodniłem. To, że ogłaszam utwory w sieci, zamiast dobijać się z nimi do pism lub wydawnictw, wynika z kwestii praktycznych, czyli chęci uniezależnienia się od tych wszystkich mechanizmów rządzących literackimi kulisami. To także wyraz

mojej głębokiej wiary w nadrzędność dialogu z potencjalnym odbiorcą nad kanał, za pomocą którego się ona odbywa. Tylko czy to wystarczy?

Powiem szczerze. Miewam pokusy, by całkowicie odciąć się od głównego nurtu i zamieszkać wyłącznie w sieci. Sieć to – wciąż! – współczesny mur dla wyklętych. Jean-Michel Basquiat nie potrzebował uwierzytelnienia od galerii, by czuć się malarzem. Tak, jestem trochę anarchistą. Paktuję z systemem tylko do pewnego stopnia. Gdy widzę, że stawia zbyt duży opór, omijam go bokiem. Uważam, dość zresztą nieskromnie, że kładę w ten sposób podwaliny pod nową literaturę, czy raczej rewizję jej pojmowania. Na pieniądzach aż tak bardzo mi nie zależy – mogą być albo nie, choć miło, gdy są. Ale jak każdy bywam próżny i boję się, że tak radykalny krok zepchnie mnie do niszy dla hobbystów, na których patrzy się przez palce – a przecież przyjemnie byłoby mieć recenzję w *Wyborczej*.

Niestety, historia ma też demoniczną twarz. I ma ona to do siebie, że raczej objawia skłonność do skazywania na zapomnienie niż zachowywania dla potomnych. A przecież każdy chciałby zostać w zbiorowej pamięci. To taki nasz surogat nieśmiertelności. Co z tego, że napiszę drugi *Proces*, jeśli przypadnie gdzieś w otchłaniach cyberprzestrzeni i nie znajdzie się nikt, kto stanąłby w mojej obronie?

I do tego bez przerwy prześladowuje mnie ten straszliwy sen – pewnego dnia cała sieć pada, w sekundę wszystko znika. Po prostu – cyk i nie ma! Zostaje ciemny ekran. I co wtedy? Wszystkie iPady, Kindle i smartfony będzie można wrzucić do ognia. A materiał na opał się przyda, gdy nasza opleciona wirtualną pajęczyną cywilizacja w parę godzin cofnie się do ery lamp naftowych i osunie w krwawy chaos. Chociaż... papierowe książki też pewnie pójdą na podpałkę, więc w sumie wychodzi na jedno. A może tak naprawdę ów koszmar ma mi uświadomić złudność trwałości wszelkich form – zarówno tych w sieci, jak i w tak zwanej twardej rzeczywistości?

Zaufana osoba, której dałem do przeczytania fragment *Drzewa różanego*, odradzała mi opublikowanie go w postaci elektronicznej. Zna doskonale rynek wydawniczy i jej argumenty na „nie” mają sporą siłę perswazji. A z drugiej strony ten duch swobodnego jeźdźca, owo hamletyczne napięcie. Czy się boję? A czy krowa lubi trawę? Przy całej mojej ambiwalencji w stosunku do internetu jestem coraz głębiej przekonany, że to właśnie on podtrzyma żywot literatury. I żebyśmy się dobrze zrozumieli: ja tu nie wygłaszam peanu pochwalnego na cześć Sieci. To medium ma więcej słabości niż zalet. Ja po prostu mówię o nieuniknionej konsekwencji procesów, które właśnie zachodzą w kulturze. I głoszę to bez szczególnej radości.

Jako pisarz, powiedzmy, ryzykowny, mam dziś trzy wyjścia: zamilknąć, dostosować się do komercyjnych wymogów tradycyjnego obiegu albo posłać moje „komunikaty” via net, licząc się nawet z brakiem zarobku, z nadzieją, że ktoś gdzieś mimo wszystko je odbierze. I będę twardo stał na tym stanowisku. Sieć to inkubator, w którym na naszych oczach wykuwa się nowa definicja pisarza.

Robert Drózd: Cyfrowa prasa? Tylko formaty czytnikowe!

Tekst pochodzi z portalu www.swiatczytnikow.pl

Rzuciłem niedawno okiem na listę bestsellerów w dziale prasy księgarni Nexto:

1. Tygodnik *Do Rzeczy* (3 formaty: EPUB, MOBI, PDF).
2. *Polityka* (3 formaty).
3. *Tygodnik Powszechny* (3 formaty)
4. *Gazeta Wyborcza* – Warszawa (tylko PDF)
5. *Wprost* (3 formaty)
6. *Newsweek Polska* (tylko PDF)
7. *Sieci* (tylko PDF)
8. *Auto Świat* (tylko PDF)
9. *Do Rzeczy Historia* (tylko PDF)
10. *Forum* (tylko PDF)

Co da się zauważyć?

- W pierwszej piątce znalazły się cztery tytuły sprzedawane w formatach na czytniki, jako jedyna z formatem PDF przebiła się *Gazeta Wyborcza*.
- Pouczające będzie porównanie sprzedaży cyfrowej z papierową na podstawie zestawienia ze stycznia 2013.
- *Do Rzeczy* (120 tys.), *Polityka* (120 tys.) i *Wprost* (60 tys.) wygrywają z *Newsweekiem* (124 tys.), dostępnym wyłącznie w PDF, ale wygrywa z nim także *Tygodnik Powszechny*, który w papierze jest przecież znacznie bardziej niszowy (zaledwie 16 tys.).
- *Do Rzeczy* i *Sieci* skierowane są do podobnej grupy odbiorców i w papierze idą łeb w łeb (po 120 tys.) – ale dzięki ograniczeniu formatu do PDF *Sieci* sprzedaje się znacznie słabiej, choć tutaj może też mieć znaczenie wyższa o kilkadziesiąt groszy cena.

Bartłomiej Roszkowski z Nexto podał mi parę liczb:

- gazety w formatach mobilnych stanowią tylko 7,6% oferty tytułowej Nexto,
- jednocześnie generują 21,6% przychodów z e-prasy.

Myślę, że to dobrze pokazuje, w którą stronę powinna iść dystrybucja cyfrowej prasy. Pamiętajmy, że cały ten proces odbywa się w tym momencie na wielu poziomach. Najwygodniej korzystać z prasy w kilku formatach, dostępnej na czytniki, tablety, telefony.

Także w dedykowanych aplikacjach, bo np. *Newsweeka* na iPadzie przegląda się znakomicie – choć wielką wadą jest to, że z tekstem nie da się nic zrobić, choćby wysłać go na czytnik... Tu interesująco wyglądają próby pism amerykańskich (np.

NYT), aby zintegrować się z popularnym Flipboardem – a stamtąd już wysyłka do Instapaper jest.

Kolejna w hierarchii wygody będzie prasa w czystym PDF – jest to odpowiednik wydań papierowych, czyta się kiepsko, ale czasami nie ma innego wyjścia. Jeszcze niedawno większość gazet była zabezpieczona wyjątkowo wredną technologią FileOpen – która wymagała specjalnej wtyczki do Adobe Reader. Teraz się od tego odchodzi.

Przez wiele lat synonimem prasy cyfrowej były takie aplikacje i serwisy jak eGazety, eKiosk, Zixo (ten chyba już nie istnieje). Próbowałem swego czasu z nich korzystać i wychodziło, że oni sprzedają właściwie pliki PDF, które trzeba otwierać w ich własnych aplikacjach, a które... są mniej wygodne niż np. Adobe Reader. To, że firmy oferujące takie rozwiązania przetrwały, wynika chyba tylko z tego, że czytelnicy nie mieli alternatywy. Teraz na szczęście już mają i głosują portfelami.

Łukasz Sporyszkiewicz: Dziwne przypadki *Gazety Wyborczej* na rynku prasy cyfrowej

Tekst pochodzi z blogu www.bezdruku.pl

Koncern Agora od lat miał kłopoty z koncepcją udostępniania treści prasowych na urządzenia mobilne. Pamiętam z jakim opóźnieniem, w stosunku do innych systemów, pojawiła się aplikacja Gazeta.pl na Symbian OS, podczas gdy aplikacje konkurentów już tam były od dawna. Co ciekawe, Agora, zaniedbując dominujące systemy na rynku, jako jedna z nielicznych wydała aplikację Gazeta.pl na system MeeGo, który przeszedł do historii, zanim pojawił się na rynku.

Pisałem już w poprzednich tekstach, że jestem stałym czytelnikiem *Wyborczej*. Próby lektury dziennika w PDF, zakupionego w jednym z internetowych kiosków z prasą, graniczyły z masochizmem i zakończyły się totalną klęską.

Pierwszym światełkiem w tunelu było pojawienie się *Gazety Wyborczej* w Kindle Store jesienią 2011 roku. Wersja na czytnik Amazon nie jest cyfrową kopią wydania papierowego, ale posiada praktycznie wszystkie teksty grzbietu głównego oraz dodatki: czwartkowy *Duży Format* i poniedziałkowy magazyn *Sport.pl*. Niestety, czytelnicy nie mogą doczekać się *Wysokich Obcasów* oraz *Ale Historii*. Udało mi się uzyskać informację od przedstawiciela Agory, pracującego przy projekcie, że związane jest to z ograniczoną objętością wydania jednego numeru na czytniki. Rok temu na zaprzyjaźnionym blogu Świat Czytników zamieściłem tekst opisujący kindlowe wydanie *Gazety*. Obecnie zawartość merytoryczna i objętość wygląda bardzo podobnie, choć błędy wskazane wtedy przeze mnie są powoli, ale systematycznie eliminowane.

Po ukazaniu się dziennika wydawanego przez Agorę w Kindle Store, myślałem, że tytuł pojawi się także w wersji na iPad. Tak się stało w przypadku tygodnika *Polityka*. Po pojawieniu się wersji na tablet Apple wydawca periodyku postanowił udostępnić także wersję na czytniki. Przedstawiciel internetowego pionu wydawnictwa stwierdził, że przygotowanie wersji numerów na systemy Apple i Amazon jest bardzo podobne i niskim kosztem dało się utworzyć wersję do Kindle Store.

Agora długo zwlekała z wstawieniem aplikacji *Gazeta Wyborcza* do Kiosku Apple. Po głębszym przeanalizowaniu sytuacji przestało mnie to dziwić. W końcu obecność w Kindle Store dawała możliwość dotarcia tańszym kosztem do większej liczby urządzeń i czytników, niż wydając aplikację na każdy system osobno. Ponosząc jednorazowy koszt tworzenia numeru, wydawca docierał poprzez aplikację Kindle do użytkowników platformy iOS (tablet + smartfon), Symbian, Windows Phone, Android (tablet + smartfon), biznesowe słuchawki BlackBerry i oczywiście czytniki

Kindle. Moim zdaniem sytuacja idealna, tym bardziej że w ramach jednej prenumeraty możemy czytać tytuł na kilku terminalach.

Wydawca jednak podszedł do sprawy ambicjonalnie i zgodnie z ogólnoświatowym trendem postanowił w applo wskim Kiosku umieścić także swój dziennik. Przez tydzień byłem prenumeratorem *Gazety* na iPad. Zestaw artykułów był identyczny jak ten przeznaczony na Kindle. Wyglądało to tak, jakby numer został przekonwertowany z Kindla: żadnych materiałów audio, większej ilości zdjęć czy dodatków. Daleko było *Gazecie* w wersji z Newsstand do dopieszczonego *Newsweek Polska*, czy gospodarczego dziennika *Puls Biznesu+* który pojawił się na tabletach firmy Apple w lipcu 2012 w formie wykorzystującej potencjał urządzenia.

Niestety okazało się, że to nie koniec dziwnych zachowań koncernu. Jesienią zeszłego roku na polski rynek wszedł pierwszy Paywall, czyli system, który udostępnia treści wraz z archiwum za określoną opłatą. Agora tradycyjnie weszła w projekt z pełnym zaangażowaniem. Była największym z grupy wydawców podmiotem, który zaangażował się w system płatności Piano. Mimo dużego zaangażowania wydawców w promowanie systemu udostępniających swoje treści: Polskiego Radia, Polskapresse, Mediów Regionalnych, system nie spotkał się z przychylnym przyjęciem na rynku.

Polacy okazali się jednak zbyt przywiązani do darmowego dostępu do treści. Poza tym system nie oferował żadnej wartości dodanej. Czytelników korzystających z Piano tak samo jak na stronach darmowych straszyły wyskakujące reklamy. Czytelnicy donosili, że na Słowacji, rodzimym rynku Piano Media, praktycznie większość tytułów można pobrać w formacie epub czy mobi. Patrząc na polską ofertę Piano, bodajże tylko *Magazyn Świąteczny* dziennika z Agory subskrybenci Piano mogą pobrać w formatach przyjaznych tabletom czy czytnikom. Materiały innych mediów dostępne są tylko przez stronę internetową.

Muszę się tutaj na chwilę zatrzymać przy wspomnianym *Magazynie*. Udostępniony czytelnikom w wersji online był jeszcze przed startem Piano. Dostęp można było wykupić jako samodzielny tytuł z dostępem przez stronę internetową i wykupionym abonamentem. Podobnie jak w przypadku Paywalla wydawca udostępnił tytuł w formatach czytnikowych. Agora mimo zawierzenia Piano postanowiła asekurować się i także sama sprzedawać treści bez pośrednictwa podmiotów trzecich. Muszę tutaj wyrazić swoje zdziwienie: dlaczego wydawca *Wyborczej* sztucznie wspiera (reanimuje?) projekt Piano, skoro sam, mając szerokie portfolio tytułów, mógłby stworzyć samodzielnie Paywall z płatnym dostępem wyłącznie do własnych treści? Wolałbym płacić bezpośrednio Agorze za wybrane tytuły i dostawać każdego ranka zamówioną paczkę gazetową, niż płacić za dziwny system który praktycznie 95% treści oferuje wyłącznie online. Ciekawe, jakby zareagowali władarze z Czerskiej, gdyby do Piano dołączyli wydawcy *Naszego Dziennika* lub *Gazety Polskiej*, bo

obecne tytuły dostępne w ramach systemu płatności nie są konfrontacyjnie do siebie nastawione.

Agora stanęła w pół drogi, bo porzuciła wyłącznie na *Magazynie Świątecznym*. Poza tym wydanie przeglądarkowe ma pewne mankamenty: brak spisu treści poszczególnych wydań czy szybkie przeskakiwanie między numerami (w ramach wykupionej prenumeraty czytelnik zyskuje dostęp do numerów archiwalnych *Magazynu*). Niestety, inne periodyki, którymi obudowana jest *Gazeta Wyborcza*, takie jak *Wysokie obcasy* czy *Duży Format*, dostępne są tylko w ramach Piano, bez formatu epub czy mobi, lub subskrypcji poza nim.

Nie rozumiem polityki koncernu. Ma fajną księgarnię Publio.pl, która niedawno umożliwiła subskrypcję *Wysokich Obcasów Extra* z automatyczną wysyłką na czytnik kolejnych numerów. Podobne usługi świadczy Nexto.pl w przypadku niektórych tytułów. Paradoksem jest, że *Gazety Wyborczej* nie mogę dostać w ich własnej księgarni, choćby w formacie PDF i muszę kupować w serwisach eGazety.pl, eKiosk.pl czy Nexto.pl

Czytając ostatni raport finansowy Agory SA (wydawcy *Gazety Wyborczej*, jak to z dumą podkreślają redaktorzy na łamach dziennika przy każdej nadarzającej się okazji), w części poświęconej planom na przyszłość można dowiedzieć się o większym zaangażowaniu w dystrybucję cyfrową. To bardzo dobry kierunek. Patrząc na potencjał grupy (ilość tytułów) i platformę dystrybucyjną (Publio.pl), jest szansa na to, że koncern sam może sprzedawać swoje treści. Na razie wygląda na to, że Agora brnie straceńczo w Piano, wydając jedynie przez ten kanał dystrybucji nowo powstały *Magazyn międzynarodowy* z przedrukami tekstów tytułów zagranicznych.

Gdy pytałem kilka tygodni temu przedstawiciela Agory o plany związane z dystrybucją tytułów własnych, stwierdził, że w najbliższym czasie można się spodziewać znaczących zmian w dystrybucji cyfrowej treści koncernu. Od dłuższego czasu widać pierwsze symptomy tych zmian. W *Gazecie* na Kindle co jakiś czas spotykają nas miłe niespodzianki: w Drugi dzień świąt Bożego Narodzenia AD 2012 abonenci otrzymali prezent w postaci wydania z reportażami wraz z obietnicą niespodzianek w przyszłości. Kilka tygodni temu do poniedziałkowego wydania czytelnicy dostali wcześniej niedołączany dodatek historyczny *Ale historia!* Uzyskałem potwierdzenie, że był to element testów związany z planowanymi zmianami.

Agora wzięła sobie do serca inwestycje w cyfrową dystrybucję swoich tytułów. 16 marca br. pojawił się ważny dodatek niedostępny wcześniej zarówno w wydaniu *Gazety Wyborczej* na iPad jak i w Kindle Store. Myślę o *Wysokich Obcasach* ukazujących się co tydzień wraz z *Gazetą Świąteczną* w sobotę. Od pewnego czasu ukazuje się także *Ale Historia!* Porównując wydanie elektroniczne *Gazety* dostępne na iPadzie oraz tradycyjne, brakuje jedynie dodatków lokalnych. Ile zapłacimy za miesięczną prenumeratę zbliżoną zawartością do tradycyjnego wydania?

Gazeta Wyborcza, w skład której wchodzi tzw. grzbiet główny, *Duży Format* oraz *Magazyn Sport* kosztuje miesięcznie 6,99€, *Wysokie Obcasy* 1,99€, a *Ale Historia!* 1,79€. W sumie koszt miesięczny wynosi 10,77€. Przeliczając tę sumę na złotówki koszt miesięcznej prenumeraty wychodzi 47,37 zł*.

Podobnie kształtuje się cena, gdy dziennik kupimy w Kindle Store, a dodatki w Newsstand. Koszt *Wyborczej* w sklepie Amazon.com, to 8,99 \$, a magazynów na iPad – 3,78€, co w przeliczeniu na złotówki daje porównywalny koszt miesięczny 46,54 zł*.

W Nexto.pl miesięczny koszt prenumeraty w PDF, gdzie wydanie jest cyfrowym odbiciem wydania egzemplarzowego, wynosi 39,42 zł. Sporo taniej niż w Newsstand Apple czy Kindle Store, jednak nie wyobrażam sobie powrotu do formatu opracowanego przez Adobe.

Poza *Wyborczą* jest naprawdę sporo tytułów dostępnych na iPad ze stajni Agory: miesięczniki czy inne periodyki stanowią ciekawą alternatywę dla wydań papierowych.

Niestety, użytkownicy innych systemów niż iOS są skazani jedynie na aplikację Kindle, by przeczytać główny tytuł koncernu, a wydanie PDF (dostępne choćby w nexto.pl) im nie odpowiada.

Agora wraz z innymi wydawcami konsekwentnie wdała się w irracjonalną walkę z Google i jego usługą Google News, o której można przeczytać w artykule *Portugalia dołącza do wojny przeciw Google'owi*. Dzięki temu w androidowym sklepie Google Play nie znajdziemy żadnych tytułów prasowych wydawanych przez Agorę na urządzenia mobilne z systemem Google. Owszem, możemy pobrać aplikacje obsługujące portal Gazeta.pl, czy Sport.pl. Jednak aby kupić numer dziennika, musimy posłużyć się wersją przeznaczoną na Kindle, bo tradycyjnej gazety (podobnej do tej z Newsstand Apple) nie znajdziemy. Jest to paradoks, bo na polskim rynku dominuje Android. Wydawca powinien być żywo zainteresowany obecnością swoich tytułów na tej platformie.

Agora jednak także tutaj nie jest konsekwentna i robi wyłomy, udostępniając niektóre swoje tytuły prasowe w sklepie Samsung Apps dostępnym w urządzeniach z Androidem wyprodukowanych przez Samsunga. Wśród nich znajdziemy: *Logo*, *Cztery Kąty*, *Ładny dom*, *Dziecko*. Co ciekawe, powyższe tytuły dostępne są za darmo. Podobno rozważane jest poszerzenie portfolio tytułów, jeśli taką potrzebę wyrażą czytelnicy tytułów Agory.

Po okresie chaosu i niepotrzebnym mnożeniu kanałów dystrybucji, prasowy koncern postanowił wziąć się za porządk. Jeśli jeszcze wykorzysta potencjał swojej księgarni Publio.pl oraz udostępni wersje elektroniczne innych dodatków *Gazety Wyborczej* podobnie jak *Magazyn Świąteczny* w formacie mobi lub epub, może stać się prawdziwym potentatem na rynku e-prasy.

*Przeliczenia z euro i dolarów na złotówki na podstawie moich ostatnich zakupów w Kindle i AppStore za pomocą karty debetowej banku Alior Sync.

E-WYDAWCY

Katarzyna Krzan: Wydawnictwo e-bookowo. Cyfrowe książki

Wydawnictwo [e-bookowo](#) rozpoczęło działalność w październiku 2008 roku. Jak dotąd ukazało się ponad 600 publikacji elektronicznych, które obecnie dostępne są w niemal wszystkich księgarniach internetowych, takich jak: Allegro, Zixo, Nexto, eClicto, Bezkartek, Bookoteka, Bookio, eLib, Virtualo, Empik, iFormat, Ppublio, Ebookpoint i inne.

E-bookowo stawia przede wszystkim na debiutantów, którym niezwykle trudno jest zaistnieć na rynku wydawnictw papierowych, pomimo mnogiej ilości wydawców. Przez cały czas kierujemy się zasadą, że Autor jest u nas najważniejszy. E-bookowo wydaje prace naukowe, teksty publicystyczne, prozatorskie, a także poezję, poradniki i... utwory muzyczne. Autorzy to absolwenci uczelni, debiutujący pisarze, twórcy mający za sobą już pewien dorobek literacki, a także pisarze mieszkający na stałe za granicą, m.in. we Francji, Stanach Zjednoczonych, Kanadzie czy Wielkiej Brytanii. Wśród „naszych” ludzi są także graficy, autorzy okładek i ilustracji, a także tłumacze i redaktorzy, wszyscy rozsiani po świecie. Ważnym projektem jest własny portal literacki Strefa Autora (www.strefaautora.pl), ściśle powiązany z wydawnictwem. Posiadamy także usługę druku na życzenie. Aktywnie uczestniczymy w życiu literackim, organizując spotkania autorskie i biorąc udział w konferencjach i targach książki. Nasi autorzy biorą udział w konkursach literackich. Posiadają spore grono stałych czytelników. Obecnie rozpoczynamy współpracę z księgarniami w USA i Kanadzie. Nasze publikacje są już w Apple iBookstore oraz kilkudziesięciu innych księgarniach zagranicznych. W najbliższych miesiącach wchodzimy na rynki szwedzkie.

Wciąż pracujemy nad udoskonaleniem naszego systemu sprzedaży i kontaktu z Czytelnikami, posiadamy system płatności dotpay i paypal, możliwość logowania do konta czytelnika (osobista biblioteczka z zamówionymi ebooków), dodawanie recenzji i ocen publikacji. Czytelnik ma możliwość wyboru formatu pliku (PDF, epub, mobi, mp3, książka papierowa).

Autor, korzystający z usług wydawnictwa e-bookowo, otrzymuje gratis korektę, skład, konwersję do formatów PDF, epub i mobi oraz przygotowanie do druku, jeśli korzysta z opcji druku na życzenie. Jego wkład ogranicza się jedynie do kosztów samego druku.

Wykonujemy także usługi konwersji publikacji do formatów epub i mobi dla innych wydawców. Do naszych klientów należą m.in. Helion, Damidos, Via Medica, Benefit i inne.

Współpracujemy z kilkoma portalami i blogami literackimi, gdzie zamieszczane są recenzje naszych ebooków. Obecnie planujemy poszerzyć działalność o audiobooki i e-szkolenia.

Katarzyna Krzan, doktor nauk humanistycznych, właścicielka wydawnictwa e-bookowo oraz Agencji Internetowej A3M, autorka poradnika Praktyczny Kurs Pisarstwa, prowadzi kursy kreatywnego pisania, mama trzech córek.

E-BOOKOWO POLECA:



Kazimierz Turaliński: JAK KRAŚĆ? PODRĘCZNIK ZŁODZIEJA

Współczesna Polska to raj dla złodziei, a piekło dla ludzi uczciwych. Aby przetrwać w chaszczach i cierniach codzienności musisz zgłębić obowiązujące w niej reguły gry. Podstaw prawa, ekonomii, politologii i metodyki popełnianych przestępstw nauczy Cię praktyk-specjalista ds. bezpieczeństwa i wywiadu gospodarczego.

W cenie jednej porady u radcy prawnego otrzymasz obszerny pakiet informacji i sztuczek prawniczych, za które liderzy warszawskich gangów, Mafii Paliwowej i zamieszani w liczne afery politycy płacili asom palestry setki tysięcy złotych. Dziś ta sama wiedza znajduje się w Twoim zasięgu. Dowiesz się, jak legalnie:

- unikać obowiązku składania zeznań w każdym postępowaniu karnym
- uniemożliwić egzekucję komorniczą
- zupełnie pozbawić wiarygodności dowody zebrane przez przeciwnika procesowego lub prokuratora
- oszukać wykrywacz kłamstw
- uchylić się od zapłaty faktury VAT
- ochronić swój prywatny majątek
- zniechęcić organa ścigania do węszenia
- oszukać... tzn. nie dać się przechytrzyć kontrahentowi.

Po lekturze zrozumiesz, dlaczego w Polsce „białe kołnierzyki” nie idą do więzienia, a szarym obywatelom sądy nie okazują litości. Słuchając wieczornych wiadomości, bez trudu ocenisz, w jaki sposób zakończy się właśnie ujawniona afery i dlaczego umorzeniem śledztwa.

Przekonasz się, jak łatwo unikać płacenia podatków i dlaczego zwalczanie procederu prania brudnych, mafijnych pieniędzy to nad Wisłą fikcja. Nauczysz się niskim nakładem konstruować pozornie wiarygodne, międzynarodowe holdingi spółek kapitałowych z centralą w rajach podatkowych. Zgorszy Cię świadomość powszechnego okradania klientów przez banki oraz firmy ubezpieczeniowe. Przestaniesz ufać giełdzie i banknotom w Twoim portfelu. A jeśli nudzi Cię wielki biznes, w wolnej chwili zgłębisz tajemnice włamywaczy i złodziei samochodów. Kto wie, może kiedyś zostaniesz jednym z nich? A nawet jeśli nie, to chociaż będziesz wiedział, jak zabezpieczyć przed niedoszłymi „kolegami” własny dom lub auto...

Znając sposób myślenia złodziei, oszustów, finansistów i polityków, nie dasz się więcej nabrać na ich kłamstwa. I tylko od Ciebie zależeć będzie, czy pozyskaną wiedzę wykorzystasz w dobrym czy złym celu. Publikację szczególnie polecić należy osobom planującym karierę: przestępcy, biznesmena, prawnika, ekonomisty, specjalisty ds. bezpieczeństwa, prywatnego detektywa, windykatora, policjanta lub funkcjonariusza innych formacji powołanych do ochrony bezpieczeństwa publicznego, sędziego, kontrolera podatkowego, dziennikarza śledczego, politologa, lobbysty, a także wszystkim tym, którzy nie chcą być nabijani w butelkę przez cwaniaków.

Kazimierz Turaliński: doktorant nauk prawnych, studiował prawo, nauki polityczne oraz ekonomię w specjalizacji podatkowej. Uczestniczył w szkoleniach prowadzonych przez specjalistów służb cywilnych i wojskowych: polskich, amerykańskich, izraelskich i rosyjskich. Przez szereg lat zawodowo zajmował się wywiadem gospodarczym i windykacją karno-gospodarczą. Uprawnienia do licencji II stopnia ochrony osób i mienia.

Autor kilkudziesięciu reportaży publikowanych w prasie polskiej, brytyjskiej i niemieckiej, a także sześciu publikacji książkowych z zakresu przestępczości zorganizowanej oraz aspektów prawno-finansowych międzynarodowej przestępczości gospodarczej.

Od 2000 roku związany z prywatnym sektorem bezpieczeństwa gospodarczego, włącznie z organizacją i zarządzaniem pionami wykonawczymi (obsługa prawna, detektywistyka) podmiotów operujących na rynkach m.in. Polski, Rosji, Ukrainy, Niemiec, Wielkiej Brytanii i USA.



Patrycja Żurek: KOBIETKI

Złot czarownic – tak nasze spotkania określał mój mąż. Coś w tym było, cztery różne kobiety, cztery punkty widzenia, cztery życiowe historie. Kochałam te spotkania i kochałam te dziewczyny. Były nieodłączną częścią mojego życia i nie wyobrażałam sobie, że mogłoby być inaczej.

Powieść dla kobiet o naprawdę mocnych nerwach...

Patrycja Żurek – początkująca matka, młoda kobieta i... pisarka? Wrażliwa dziewczyna, która posiada zmysł obserwacji, a jej największą pasją jest pisanie. Do tej pory pisząca do szuflady, postanowiła dać szansę sobie i czytelnikom. Ma nadzieję, że pokochają jej książki tak, jak kocha je ona.



Justyna Stankowska, Izabela Mikrut:

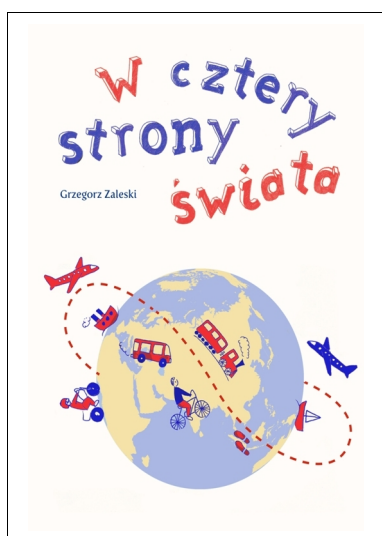
PRZEBIERANKI ANKI I KOLOROWANKI

Świat potrafi być bardzo kolorowy. Jednego dnia całkiem zielony, drugiego błękitny jak niebo, a trzeciego szary. Świat w kolorowankach może być jeszcze bardziej kolorowy – wszystko zależy od tego, jakie macie kredki, farbki i flamastry. Bo przecież Anka jednego dnia nosi różową sukienkę, a już następnego – pomarańczową w fioletowe kwiatki. Anka uwielbia kolory!

Izabela Mikrut, pseudonim Mrówka (ur. 1983) – satyryk, badacz humoru. Współpracuje m.in. z katowicką Kabaretową Sceną Trójki. Interesuje się siatkówką, z okna fotografuje zachody słońca, recenzuje książki (autorka blogu krytycznoliterackiego tu-

czytam.blogspot.com).

Publikuje w *Śląsku*, *Toposie*, *Guliwerze* i dwutygodniku internetowym *artPapier*.



Grzegorz Zaleski: W CZTERY STRONY ŚWIATA

Dzisiaj rano przeczytałem w Internecie artykuł o ludziach, którzy postanowili porzucić swoje dotychczasowe życie i wybrać się w roczną podróż dookoła świata. Taki wpis umieściłem w pamiętniku dokładnie na rok i dwa miesiące przed wyjazdem. Wtedy był to jedynie kiełkujący pomysł zakochanych w sobie narzeczonych, po których spodziewano się, że po ślubie (nastąpił trzy miesiące później) postarają się o dziecko i będą żyli jak Bóg przykazał. Tak się jednak nie stało. Wraz z Asią postanowiliśmy bowiem wybrać się w podróż dookoła świata...

W trakcie tej wspaniałej dziesięciomiesięcznej podróży odwiedziliśmy Rosję, Uzbekistan, Kazachstan, Mongolię,

Chiny, Wietnam, Kambodżę, Birnę, Malezję, Indonezję, Peru, Boliwię, Paragwaj i Argentynę. Podróżowaliśmy autobusem, samolotem, statkiem, pociągiem, samochodem, motocyklem, na koniach, a w końcu pieszo. Spaliśmy w hotelach, motelach, domach tubylców, w namiocie, na łódce, i gdzie tylko popadło. Widzieliśmy mnóstwo fantastycznych rzeczy i przeżyliśmy wiele, wiele wspaniałych chwil.

W trakcie podróży wszystkie przeżycia zapisywałem na naszym podręcznym komputerze. Dzięki uprzejmości portali gazeta.pl i naszemiasto.pl publikowane były one w formie relacji z podróży przez cały okres jej trwania. Stare pisarskie porzekadło brzmi jednak, że pisze się raz, aby później już tylko przepisywać. Wszystkich tych, którzy mieli więc wcześniej styczność z naszymi tekstami, chcemy zapewnić, że teraz po prostu są jeszcze lepsze. Ponadto udało nam się dodatkowo w ebooku zawrzeć 105 najlepszych fotografii z podróży, które czasem więcej mówią niż same słowa.

Całkowicie świeże są natomiast porady praktyczne zawarte pod każdym podrozdziałem, jak i w osobnym rozdziale na końcu książki. Pod każdym podrozdziałem zamieściliśmy adresy agencji turystycznych, sprawdzone hostele i inne przydatne informacje dotyczące wyżej opisanego kraju. W rozdziale PORADY PRAKTYCZNE na końcu książki zawarliśmy natomiast ogólne wskazówki ważne podczas całej naszej podróży.

Jeśli więc chcecie dowiedzieć się co to jest „wódka dla duszy”, jak wygląda taniec mongolskiego szamana, kto jest dla Chińczyków prawdziwym mężczyzną, dlaczego w Tybecie córka może mieć czterech ojców, gdzie jeżdżą prawdziwi „Easy Riders”, czy jak w końcu smakuje miłość w hotelu na godziny – sięgnijcie po tę książkę.



Joanna Bąk: PAN TU NIE LEŻAŁ

Z recenzji: To poezja, która nie boi się paradoksalnych point i kalamburów – świat rzeczy i świat słów przeplatają się tu niespodziewanie, realizm okazuje się podszyty surrealizmem, dystans wobec rzeczywistości raz jest ironicznie daleki, a raz boleśnie mały. (*Michał Rusinek*)

Główne walory tej liryki to mądry namysł nad życiem, doświadczanie świata i wartości, w które warto wierzyć. Próba autobiografii – znaczący głos przeciw alienacji, wyjaławiającemu odosobnieniu. Poszukiwanie ścieżki prowadzącej do Domu. A w sferze formy: wyraźnie własny warsztat, oszczędność słów, zmysł kompozycji,

twórczy stosunek do języka. Czegóż chcieć więcej? Ta poetka jeszcze niejednym nas zadziwi... (*Krzysztof Lisowski*)

Wiersze Joanny Bąk intrygują. Są grą (kapitalny wiersz pod tym tytułem!) z Tajemnicą, z Mówieniem, które więcej zasłania niż odsłania; wścibską próbą zajrzenia pod podszewkę Oczywistego. Podoba mi się podejrzliwość autorki w stosunku do języka i do uczuć, które zbyt łatwo uciekają się w stronę frazesów i „gotowców”. Wiersze z tomiku *Pan tu nie leżał* są wieloznaczne, można do nich wielokrotnie wracać. Najczęściej trud rozszyfrowania jej lingwistycznych szarad okazuje się opłaczalny. (*Józef Baran*)

Joanna Bąk (ur. 1986 r.) – absolwentka filologii polskiej z edytorstwem i komunikacją medialną Uniwersytetu Pedagogicznego w Krakowie, studium dziennikarskiego oraz podyplomowych studiów z zakresu technologii multimedialnych i grafiki komputerowej.

Autorka tomiku *między*, tekstów poetyckich, prozatorskich i dziennikarskich publikowanych m.in. w *Dzienniku Polskim*, *Akancie*, *Fragile*, *Gazecie Kulturalnej*. Laureatka licznych konkursów; otrzymała tytuł Honorowego Laureata Międzynarodowego Festiwalu Artystycznego FAMA, nominację w plebiscycie 7 Nadziei Miasta Krakowa, literacką przepustkę *Zwierciadła* za dziennik *Z perspektywy domu* czy nagrodę w ogólnopolskim konkursie JESTEM_MAM_GŁOS za tekst dramatyczny *Twoje sypialnie*.

Ma na koncie wiele wystaw fotograficznych. Jedna z nich, należąca do projektu „Na miotle przez świat – Peru, Boliwia”, towarzyszyła spotkaniu z cyklu „Dorwać Mistrza” z Noblistą Mario Vargasem Llosą. Jej zdjęcia wykorzystywane są także jako ilustracje książek i czasopism.



Katarzyna Gołąbek, Karol Bąk: KRÓLESTWO METAFORY

Królestwo Metafory – to wyjątkowy album malarsko-poetycki wybitnego polskiego malarza Karola Bąka i młodej poetki Katarzyny Gołąbek, która nagle pojawiła się w świecie sztuki i czaruje malarzy jako księżniczka metafory.

Spotkali się razem w tym przepięknym albumie. Czytając teksty poetki i oglądając powiązane z nimi obrazy Karola Bąka, czy też odczuwając to odwrotnie, wchodzimy do Królestwa Metafory. Kiedy kosztujemy zmysłami te ciekawe związki, wierzyć się nie chce, że nie opracowała tego wszystkiego jedna dusza i ręka.

To ujednienie – pierwiastka męskiego i żeńskiego – jakie nastąpiło w tym fascynującym albumie jest tak samo zdumiewające, jak zaskakujące. Można tylko cieszyć się, że takie spotkanie nastąpiło. Albumem tym rozpoczynamy podsumowanie twórczości malarskiej Karola Bąka. Podsumowanie wyjątkowe, urzekające w swojej nietypowej formie.

Album *Królestwo Metafory* stanowi pierwszy z trzech albumów, które tworzą intrygującą całość, wzajemnie powiązaną w swym następstwie.



Paweł Bitka Zapendowski: JAK Z ALMODOVARA

Seks i wymuszenia, prowincjonalny „miś” w agencjach towarzyskich stolicy, kobieta sukcesu w rękach mafii, niewolnik senator, kariera po małżeńskim trupie i odzyskiwanie uczuć.

Żeńskie – męskie, dominacja i uległość, odchylenia od normy i szukanie równowagi – komedia *Jak z Almodovara* każe zweryfikować wszystko, co wiedzieliśmy na ten temat.

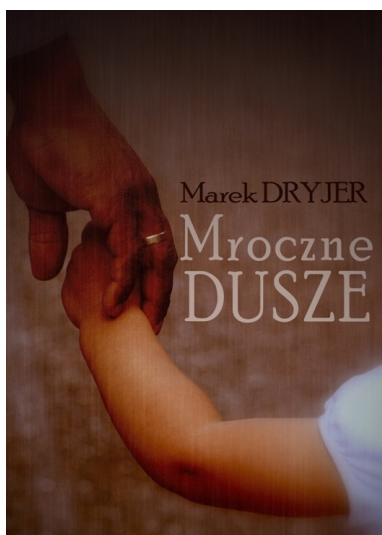
Tekst jest napisany dowcipnie i sprawy rodzajowe dość inteligentnie mieszają się z diagnozą obecnego stanu rzeczy, a więc społeczeństwa chorego na konsumpcję i usługi. *Maciej Wojtyzsko, dramaturg, reżyser (Festiwal Komедii X Talia'06)*

Tekst ma w sobie dużą potencję literacką i energię na wywołanie śmiechu. *Andrzej Sadowski, reżyser*

Sztuka zdobyła nagrodę na Festiwalu Komедii X Talia'06.

Jak z Almodovara to zwariowana komedia no limit o „seksie w wielkim mieście – inaczej”. Niejaka Bożenka – mieszkanka Obciachowa, w stolicy znana jako Mistresa

Żizela, amatorka seksownej bielizny, pejcza, kija oraz pewnego senatora, który z lubością oddaje się maltretowaniu – namówiwszy swojego małżonka-szowinistę, aby wszystkie pieniądze zainwestował w kupno kamienicy, rozwodzi się z nim. Przy wsparciu przyjaciółek – niezadowolonych ze związków z facetami – udaje jej się wyciągnąć od męża cały majątek, który odegra niemałą rolę w zasadniczej przemianie, jaka w jej życiu się dokona. Bożenka wyjeżdża do stolicy, gdzie wspólnie ze swą przyjaciółką, specjalistką od rozliczeń skarbowych, zakłada agencję „Zrób mi Pit-a”. Pod tą nazwą, wbrew skojarzeniom z pewną formą seksualnego zbliżenia, ukrywa się agencja doradztwa skarbowego. Nie tylko czytelnik o kosmatych myślach daje się zwieść żartom autora, ale także pierwszy klient tejże agencji. Mężczyzna, który po usłyszeniu komendy „proszę pokazać swojego pit-a”, dokonuje artystycznego striptizu, niekoniecznie poszukiwał w gabinecie Bożenki metod obejścia systemu podatkowego. Ale Bożenka szybko orientuje się, że ta profesja nie pozwoli jej na szybkie wybitcie się ponad klasę średnią. Poza tym agencja towarzyska dałaby jej możliwość zemścić się na męskich oprawcach. W gazecie zamieszcza anons: „Bydlaku Bezproblemowo zrealizujesz swe marzenia...”. Do Salonu Kobiecej Dominacji, którego grafik pęka w szwach, nie jest łatwo się dostać. Zwłaszcza że Żizelę oraz jej współpracownicy zaczyna nudzić nieefektywne zękanie się nad facetami. Tymczasem Golo, klasyczny „burak”, który aby wysłać maila musi prosić swojego przyjaciela-fetyszystę o pomoc, w wielkim mieście się nie odnajduje... Odnajduje za to Żizel. Spotykają się w przebraniach: on w stroju Zorro, ona jako kobieta-wamp...

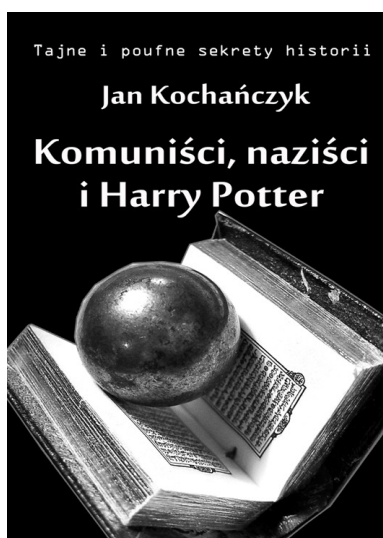


Marek Dryjer: MROCZNE DUSZE

Mity zostały obalone. Skończył się kalendarz Majów. Na Słońcu dochodzi do gigantycznych wybuchów, upadają legendy sportu (mistrz kolarstwa, niepełnosprawny lekkoatleta), abdykuje Papież, na Ziemię spada deszcz meteorów. *Mroczne dusze* to opowieść o ojcu i jego córce, którym udało się przeżyć wielką tragedię. Kiedy większość ludzi od dawna już nie żyła, oni cudem trafili do piwnic wielkiego rządowego budynku, gdzie w piekielnych ciemnościach stoczą morderczy bój o przetrwanie. Jest to książka o walce z ludzkimi słabościami, o wielkiej miłości ojca do córki, o nigdy niegasnącej nadziei, i wierze, która czasami w nas gaśnie, by po jakimś czasie odrodzić się na nowo. To książka o

człowieczeństwie, o życiu i śmierci, ale nade wszystko o prawdziwej miłości. *Mroczne dusze* wzbogacone są wyrażeniami zaczerpniętymi ze Słownika Staropolskiego. W tekście występuje wiele biblijnych akcentów i cytatów oraz odwołań do literatury. Powieść zamyka trylogię z gatunki fantastyki

postapokaliptycznej i prozy egzystencjalnej (*Droga ślepców*, *Szklane miasto*, *Mroczne dusze*). Każda z tych opowieści jest odrębną historią, ale można się w nich także doszukiwać wspólnych akcentów. Tam, gdzie wzrok nic nie znaczy, a inne zmysły pozwalają przeżyć, toczy się zaciekle walka o życie. Tam, gdzie człowiek staje się zwierzyną, nic nieznaczącym kawałkiem mięsa, wszelkie reguły tracą ważność. To miejsce pozbawione świętości. Bo w ciemności czai się zło, okrutny, niemy prześladowca. Najwyższy już czas, by stawić mu czoła.



Jan Kochańczyk: KOMUNIŚCI, NAZIŚCI I HARRY POTTER

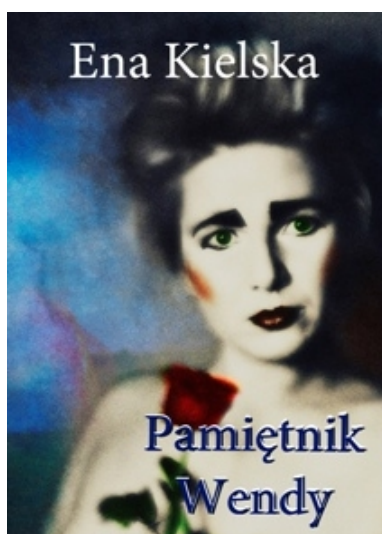
Jak to się dzieje, że nawet wojujący ateści tworzą nowe religie i nowych bogów? Jaki jest dystans między Panem Wszechświata a znikomym pyłkiem na Ziemi – człowiekiem?

Książka omawia różne koncepcje Boga i boskości w różnych religiach (katolicyzm, prawosławie, protestantyzm, islam, buddyzm, hinduizm i in.), a także ideały masonów, oświeconych ateistów, komunistów, nazistów i rozmaitych sekt neopogańskich.

Czy uroczy Harry Potter i współczesne czarownice są zagrożeniem dla naszej cywilizacji? Czy gry komputerowe wprowadzają dzieci i młodzież w diabelski

krąg zła?

Oto są pytania dla wszystkich ludzi, którzy (czy tego chcą, czy nie chcą) noszą religijne okulary. Bo religijność jest wpisana w samą naturę Homo Sapiens, jak twierdzą wybitni naukowcy XXI wieku.



Ena Kielska: PAMIĘTNIK WENDY

Prawdopodobnie umrę z końcem. Czuję, jak z każdym słowem jest mnie mniej, znikam w sekundzie. Jakaś postać pochyla się mocno i kładzie, zapina pas na klatce piersiowej, wokół nadgarstków, kolejno unieruchamia stopy. Harry, słyszysz mnie?

Przyklejeni do niebieskich lamperii trzęsą się jak osiki lub kręcą twarz, z oczodołów wychodzą glisty i wchodzą. W podnieceniu odsłaniają kości, które pod ciężarem powietrza uginają się i łamią, i biją w podłogę, wydając głos. Ktoś płacze, a komuś płynie krew. W ogóle nie zwracaj uwagi, podpowiada damski głos, dopóki ukrywasz strach, nie stanie się nic. Pospiesznie prowadzi wózek ze mną ku drzwiom na końcu korytarza, które

miast przybliżać, oddalają się. Perspektywa dłuży.

Ena Kielska – ur. 3 lutego w Sosnowcu, filolog. Ukończyła studia na wydziale anglistyki o kierunku kultura i literatura brytyjska i amerykańska. Napisała tomik poezji *Witam państwa w mojej audycji gotyk i seks* (2008). Laureatka dwóch turniejów poetyckich, brała udział w 3. Dyskordianka. Publikowała m.in. w: Polskim Kulturalnym Podziemiu PKPzin (2007, 2008, 2009, 2010, 2011), Sosnowieckim Magazynie Kulturalnym Sosnart (2008, 2010, 2011), Kwartalniku Literacko-Artystycznym Szafa (2009, 2010).



Katarzyna Krzan: EKSTAZA W WERSJI POP. POSZUKIWANIA MISTYCZNE W KULTURZE POPULARNEJ

Książka o wzajemnym przenikaniu się kultury popularnej i sakralnej, które tworzą wzajemnie wspierający się i uzupełniający związek. Miejsce doznań mistycznych w kulturze popularnej.

Ekstaza w wersji pop wychodzi od zreferowania założeń i treści przekazywanych przez tradycyjną mistykę, by następnie pokazać jej mutacje w kulturze popularnej aż do pełnego rozkwitu poszukiwań mistycznych w ramach tworu zwanego Erą Wodnika.

Uwagi do wydania drugiego:

Ekstaza w wersji pop powstała na bazie pracy doktorskiej obronionej przeze mnie w maju 2006 roku na Uniwersytecie Śląskim w Katowicach. Dwa lata później ukazała się drukiem nakładem Wydawnictw Akademickich i Profesjonalnych. W 2010 roku wydawnictwo to zostało przejęte przez Oficynę

Wydawniczą Łośgraf. Wtedy też pojawiła się koncepcja wydania książki w wersji elektronicznej w prowadzonym przeze mnie wydawnictwie e-bookowo.

Obecna wersja została wzbogacona o dwie recenzje znajdujące się na końcu publikacji. Zachowano ponadto oryginalną treść, dokonując jedynie nieznacznych poprawek, gdyż jak okazało się po tych kilku latach, wiele kwestii pozostało nadal aktualnych, a te, które już się zdezaktualizowały, zostały bądź zmodyfikowane, bądź pozostawione jako świadectwo stanu nauki i myślenia swojego czasu. Pozostaje mi jedynie zaprosić do lektury.

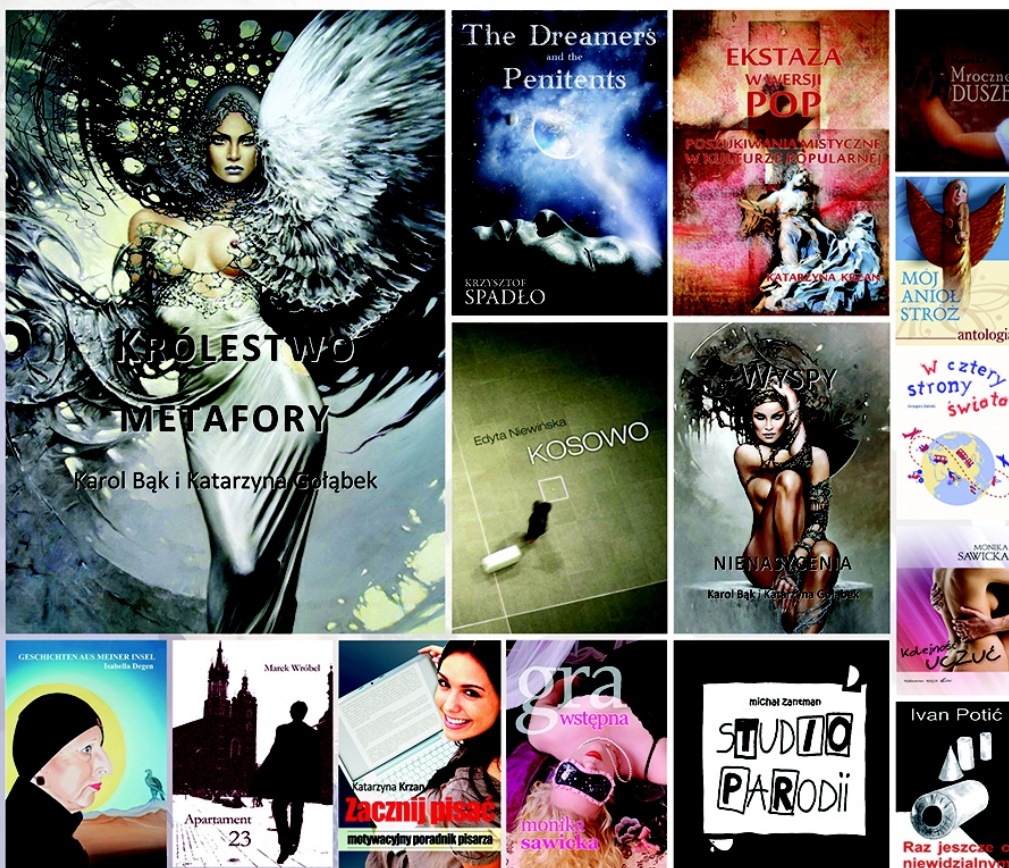
e-bookowo.pl

WYDAWNICTWO INTERNETOWE

Wydawnictwo e-bookowo (www.e-bookowo.pl) rozpoczęło działalność w październiku 2008 roku. Jak dotąd ukazało się ponad 600 publikacji elektronicznych, które obecnie dostępne są w niemal wszystkich księgarniach internetowych, takich jak: allegro, nexto, eclicto, bezkartek, bookoteka, eLib, virtualo, empik, amazonka, iFormat, publico, ebookpoint, i wiele innych.



E-bookowo stawia przede wszystkim na debiutantów, którym niezwykle trudno jest zaistnieć na rynku wydawnictw papierowych, pomimo mnogiej ilości wydawców. Przez cały czas kieruje się zasadą, że Autor jest najważniejszy. E-bookowo wydaje prace naukowe, teksty publicystyczne, prozatorskie, a także poezję, poradniki i... utwory muzyczne. Autorzy to absolwenci uczelni, debiutujący pisarze, twórcy mający za sobą już pewien dorobek literacki, a także pisarze mieszkający na stałe za granicą, m.in. we Francji, Stanach Zjednoczonych, Kanadzie czy Wielkiej Brytanii. Wśród „naszych” ludzi są także graficy, autorzy okładek i ilustracji, a także tłumacze i redaktorzy, wszyscy rozsypani po świecie.



strefa autora.pl

Posiadamy portal literacki strefa autora (www.strefaautora.pl), ściśle powiązany z wydawnictwem. To projekt wydawniczy mający umożliwić Autorom pokazanie swojej twórczości zanim wydadzą swoją pierwszą książkę. Nie jest to zwykły portal literacki, a miejsce spotkań autorów.

Wprowadziliśmy także usługę druku na życzenie (print on demand), w ramach której autor może zamówić dowolną ilość wydrukowanych egzemplarzy swojego e-booka.

Aktywnie uczestniczymy w życiu literackim, organizując spotkania autorskie i biorąc udział w konferencjach i targach książki. Nasi autorzy biorą udział w konkursach literackich. Posiadają spore grono stałych czytelników. Prowadzimy także blog wydawniczy oraz fanpage na Facebooku.

Karol Bąk i Katarzyna Gołąbek

WIEŚCI Z RYNKU

Piotr Lipiński: Cud nad Wisłą, czyli jak nie nadszedł Amazon

Tekst pochodzi ze strony Spidersweb.pl

Właściwie to mamy lepiej niż Amerykanie. I to technologicznie. Co prawda za komputery, paliwo i ubrania płacimy więcej niż w USA, ale przynajmniej mamy ebooki bez dziwacznych, antypirackich zabezpieczeń. Cieszymy się więc chociaż z tego drobiazgu. Cóż za piękny widok – jak powiedział pewien pan, wisząc nad przepaścią.

Mniej więcej rok temu do Polski miał – według plotek – zawitać amerykański Amazon. Choć niestety nie dotarł do kraju nad Wisłą, to zapowiedź spowodowała chyba więcej dobrego, niż gdyby sam zawitał.

W czasach przed-plotkowo-amazonowych rynek wyglądał kiepsko. Na półkach w internetowych księgarniach hulał cyfrowy wiatr, za to jeśli już znaleźliśmy jakąś książkę, to była zabezpieczona przez DRM. To taki sprytny system, podobno antypiracki, choć generalnie przede wszystkim utrudniający życie uczciwym czytelnikom. Nigdy nie kupiłem elektroksiążki zabezpieczonej w ten sposób. Moją potrzebę lektury zaspokajało zapoznanie się z opisem procedury, jaką musiałbym przejść, zanim zajrzałbym do tytułu. Dzięki DRM czytanie jeszcze nigdy nie było tak trudne. Ale dziś właśnie z powodu DRM jesteśmy lepsi od Amerykanów. Bo o ile Amazon wciąż stosuje taki sposób zabezpieczeń wielu sprzedawanych przez siebie ebooków, to w Polsce DRM prawie zniknął z rynku.

Oczywiście zawsze była dość istotna różnica – DRM używany u nas był dla czytelnika uciążliwy, a amazonowe zabezpieczenia praktycznie niewidoczne. Tam wystarczyło kliknąć – i książka po chwili lądowała w czytniku Kindle. Ale to wszystko wyglądało dobrze, dopóki chcieliśmy korzystać z księgarni Amazonu. A co, jeśli postanowiliśmy odejść do konkurencji, bo na przykład nie spodobało nam się, że „pracowników Amazonu pilnowali naziści”? Wtedy sprawy się komplikowały – w najgorszym wypadku mogliśmy pożegnać się z całą naszą elektrobiblioteką. Albo musieliśmy sami zdjąć zabezpieczenia z kupionych w Amazonie książek, aby przenieść je do urządzenia, którego nie obsługuje oprogramowanie Kindle. Co nie jest łatwe, proste i przyjemne.

Tymczasem polskie e-księgarnie w ciągu ostatniego roku stały się zdecydowanie bardziej elastyczne. Mało, że sprzedają e-książki bez DRM, to na dokładkę bardzo często od razu w dwóch formatach – mobi i epub. To bardzo ważne – mobi „działa” na najpopularniejszym w Polsce czytniku Kindle, a epub na przykład na Onyxiu czy iPadzie. Dziś mobi i epub najczęściej kupujemy w jednej cenie. Do niedawna dostawaliśmy jeszcze czasami PDF, ale ponieważ jest kiepsko przystosowany do czytników z niewielkimi ekranami, to wydawcy z niego rezygnują.

Kryje się tu jednak pewien haczyk. Kupioną wysyłkowo papierową książkę możemy oddać do księgarni. Ale jak tu zwrócić ebooka? Otóż jest to możliwe, ale niestety właśnie w Amazonie, który słynie z niesłychanie przyjaznego podejścia do klientów. Po prostu zgłaszamy, że chcemy oddać i już. Dociekliwym poszukiwaczom darmowej lektury wyjaśniam – jeśli ktoś oddaje kilka książek pod rząd, to Amazon prawdopodobnie zawiesi mu konto. Czyli mówiąc ludzkim językiem, stwierdzi, że z taką osobą nie chce robić interesów. Dla pełnego obrazu dodam, że pewnej grupie autorów nie spodobało się takie liberalne podejście, co opisywał „Świat Czytników” w tekście *Autorzy protestują przeciwko... polityce zwrotów ebooków w Amazonie*.

A spróbujcie oddać ebooka w Empiku. I to na przykład z tego powodu, że kupiliście niewłaściwy format. Dwa miesiące temu Empik nadal sprzedawał osobno mobi i epub. Mój kolega, który zna się na pisaniu książek na tyle dobrze, że dostał nominację do Nike, niestety jest mniej biegły w formatach ebooków. Niestety kupił pokaźną liczbę epubów z myślą o przeczytaniu ich na Kindle. To jakby nabyć apple’owe iWork z myślą o zainstalowaniu na Windowsach – nie da się. Reklamacja nie pomogła – Empik nie wymienił książek na mobi. Pozostała konwersja domowym sposobem, co w sumie drogą wyjaśnień mailowych zajęło nam kilka godzin. Dziękujemy ci, Empiku, za mile spędzony czas!

Plotka o zbliżającym się Amazonie spowodowała jednak coś ważniejszego, niż tylko zlikwidowanie DRM-ów i sprzedawanie ebooków na raz w różnych formatach. Najważniejsza zmiana, jak dokonała się w ubiegłym roku, to fakt, że w Polsce pojawiło się wreszcie dużo ebooków. Polscy wydawcy, jakby bojąc się nadejścia amerykańskiego giganta, zabrali się energicznie za wydawanie elektroksiążek. I w ten sposób dziś większość bestsellerowych nowości wychodzi zarówno w wersji papierowej, jak i ebookowej! Uważam, że należy docenić polskich wydawców za ogromną pracę, jaką wykonali w ciągu tego roku. Zwłaszcza że traktowali to bardziej jako inwestycję na przyszłość, niż licząc na szybkie zyski. Wciąż sprzedaż ebooków raczej nie przekracza 10 procent nakładu papierowego.

Wygląda na to, że wydawcom wyraźnie zależy na stworzeniu rynku ebooków, a już na pewno na zajęciu na nim solidnej pozycji. Temu służą dziesiątki promocji. Codziennie wszystkie ważne księgarnie proponują po kilka dobrych tytułów w obniżonych cenach. Czasami nawet możemy kupić coś interesującego za mniej niż 10 złotych.

Amazon, zdaje się, na jakiś czas odpuścił sobie polski rynek. Mało, że nie wkroczył do Polski ze swoją księgarnią, to nawet wciąż nie wspiera języka polskiego w ebookowych publikacjach. Stąd wybór rodzimych tytułów w amerykańskiej księgarni jest raczej niewielki. Ponad rok temu można było w dość pokrętny sposób umieścić swoją książkę na półkach Amazonu. Wybrałem drogę selfpublishera, wznawiając swój tytuł, który wcześniej ukazał się w wersji papierowej. Tak zawędrowałem tam z

moim ebookiem *Piąta Komenda*, co opisałem na Spider'sWeb w tekście „Spiracili mi książkę”. Nie obraziłem się ani nie poszedłem na policję, bo „iBóg żyje wiecznie”.

Po kilku miesiącach Amazon przeprowadził czystkę, wywalając sporą część polskich książek. Nie wiadomo, czym się kierował, bo potrafił usunąć kilka tytułów jednego autora, pozostawiając inne. Całą akcję opisywałem tym razem u mnie na blogu. Niedawno sprawdziłem, że znowu udaje się wstawić swoją polskojęzyczną książkę na półki Amazonu – ostatnio dodałem ebooka *Humer i inni*. Ale to wciąż takie wrzucanie czegoś przez siatkę do ogródka Jeffa Bezosa.

Tymczasem w Polsce nie ma z tym żadnego problemu. Samowydawca bez problemu zawędruje do największych księgarni Virtualo, Empik, Merlin. Choć akurat w Polsce selfpublishing nie osiągnął sukcesu odrobinę nawet zbliżonego do tego w amerykańskim wydaniu. Ale też cały polski rynek książki – i ebookowy, i papierowy – szoruje po dnie i żyje głównie z nadziei na lepsze jutro. Podejrzewam, że wydawcy, który przygotowuje teraz moją „papierową” książkę, będę musiał niedługo wozić obiady w menażkach.

Bo niestety do książek oprócz autorów potrzeba jeszcze czytelników. A tych w Polsce – wbrew wielu mitom – nigdy nie było zbyt wielu. Łukasz Gołębiowski w książce *Gdzie jest czytelnik?* opisał nasze dzieje nie-czytania: „W Rzeczypospolitej szlacheckiej książka nie decydowała o randze gospodarza, na dworze rzadko gromadzono podręczne księgozbiory. Tak jak dziś z Google czy z Facebooka, tak wówczas wiedzę czerpano z kalendarza, czyli z krótkich, wyrwanych z kontekstu cytatów, wypisów, historycznych rocznic i wspomnień, porad etc. Lata PRL były krótkim okresem, kiedy w społeczeństwie wyrobił się snobizm na kupowanie i kolekcjonowanie książek, najchętniej tych „spod księgarskiej lady”, trudno dostępnych, wcale niekoniecznie czytanych, ale ustawianych na półkach, subskrybowanych, wystawianych na pokaz”.

I dziś to jest największa bariera dla rozwoju ebooków. Nie to, że wybór wciąż jest skromny – przynajmniej jeśli chodzi o wznowienia tytułów sprzed lat – albo że ebooki są drogie. Być może nawet „chomik” nie jest najważniejszym problemem, bowiem nie każdy, kto ściągnie książkę, w innym wypadku by ją kupił. Problem to raczej brak czytelników. Z książki Łukasza Gołębiowskiego możemy poznać zatrważające statystyki. Według badań z 2010 r. co czwarty Polak z wykształceniem wyższym lub licencjackim przyznawał się, że nie czyta książek! Biblioteka Narodowa ustaliła, że do książek nie zagląda 36 proc. ludzi sprawujących stanowiska kierownicze. Być może jedyny ich kontakt ze słowem pisanym to wyciąg z konta bankowego. Podobnie fatalnie wyglądają liczby, jeśli zapytamy o czytelnictwo tekstów dłuższych niż trzy strony albo trzy komputerowe ekrany. Prawie co drugi Polak badany przez Bibliotekę Narodową oświadczył, że w ciągu ostatniego miesiąca nie przeczytał tak „długiego” tekstu. Na szczęście właśnie wspólnie przekroczyliśmy

owe magiczne trzy strony. Jest więc nadzieja, że słowo pisane przetrwa, a pisarze nie podzielą losu dinozaurów.

Piotr Lipiński – reporter, fotograf, filmowiec. Pisze na zmianę o historii i nowoczesnych technologiach. Autor kilku książek, między innymi *Bolesław Niejasny* i *Raport Rzepeckiego*. Publikował w *Gazecie Wyborczej*, *Na przelaj*, *Polityce*. Wielokrotnie wyróżniany przez Stowarzyszenie Dziennikarzy Polskich i nominowany do nagród „Press”. Laureat nagrody Prezesa Stowarzyszenia Filmowców Polskich za dokument *Co się stało z polskim Billem Gatesem*. Bloguje na www.piotrlipinski.pl. Żartuje ze świata na www.twitter.com/PiotrLipinski. Nowy ebook *Humer i inni* w księgarniach Virtualo.

Maciej Śłużyński: VAT na ebooki

Najpierw krótkie przypomnienie, dlaczego jest tak, jak jest: otóż zgodnie z dyrektywą unijną (2006/112/WE) państwa członkowskie (a więc także i Polska) mogą stosować obniżoną (czyli w wysokości 5 proc.) stawkę VAT wobec książek czy czasopism zapisanych na nośnikach fizycznych. Dotyczy to zatem książek drukowanych lub wydawanych na dyskach, płytach, taśmach oraz innych nośnikach. Przepisy te nie przewidują takiej możliwości wobec ebooków czy e-gazet, o ile ich sprzedaż odbywa się za pośrednictwem internetu.

W konsekwencji tej dyrektywy w Polsce książki drukowane objęte są obniżoną, czyli 5 proc. stawką VAT. Natomiast w odniesieniu do ebooków, a więc książek elektronicznych kupowanych i – co znacznie ważniejsze – PRZESYŁANYCH przez internet, obowiązuje stawka VAT jak na... usługi świadczone drogą elektroniczną, czyli 23 proc.

Jeszcze na początku 2013 roku europoseł PO Filip Kaczmarek zwrócił się do Komisji Europejskiej o obniżenie podatku VAT na ebooki. Na dyskryminację e-książek zwracają też uwagę parlamentarzyści PO w kraju. Resort finansów niezmiennie zaś odpowiada, że w tej kwestii wiąże nas prawo unijne.

Europoseł Filip Kaczmarek argumentuje w sposób następujący: „Dzisiaj jest tak, że poszczególne kraje członkowskie mogą stosować obniżoną stawkę VAT, ale tylko na książki drukowane. Intencja jest taka, żeby chronić czytelnictwo, czyli żeby ludzie czytali. Ale przecież książki na nośnikach elektronicznych mają taką samą zawartość jak książki drukowane. Niełatwo jest w ogóle zachęcić do czytania. Mam 16-letniego syna: trudno go zagonić do tradycyjnej książki”.

Dlatego też w skierowanym w styczniu bieżącego roku piśmie do Komisji Europejskiej europoseł zwraca uwagę, że przecież książki elektroniczne spełniają identyczne funkcje, jak książki drukowane, a od tych papierowych różnią się jedynie nośnikiem, który w wypadku klasycznych książek jest w dodatku... nieekologiczny.

Z kolei senator PO Jarosław Lasecki w oświadczeniu skierowanym jeszcze w 2012 r. do Ministerstwa Finansów napisał o „dyskryminowaniu dystrybucji książek w formie elektronicznej”. Zwrócił też uwagę, że Francja i Luksemburg stosują obniżoną stawkę VAT na ebooki. Jak to się dla tych krajów skończyło, wszyscy wiemy, sankcje jakieś są w drodze i wesoło nie jest... Ale jakoś jest.

Nasze Ministerstwo Finansów, powołując się na przepisy unijne, uparcie twierdzi, że obniżonych stawek VAT nie można stosować do usług świadczonych drogą elektroniczną – a do takich zaliczono w rozporządzeniu właśnie dostarczanie obrazów, tekstu i informacji oraz udostępnianie baz danych, w tym książek w formie cyfrowej. Według MF „niezastosowanie się przez państwo członkowskie do zaleceń Komisji skutkuje – co do zasady – skierowaniem sprawy przed Trybunał

Sprawiedliwości UE, a to może wiązać się z sankcjami finansowymi”. Resort wprawdzie przyznał, że istotnie Francja i Luksemburg stosują obniżoną stawkę VAT do ebooków, ale – jak zastrzegł – robią to jako jedyne z 27 krajów członkowskich. I na własną odpowiedzialność...

I to w zasadzie zamknęłoby dyskusję, gdyby nie pewien drobny fakt. Pod koniec marca 2013 roku premier Donald Tusk na konferencji prasowej po posiedzeniu rządu, na którym przyjęto „Strategii Rozwoju Kapitału Społecznego 2020” powiedział jasno i wyraźnie, że „stawka podatku VAT na ebooki powinna być taka jak na książki tradycyjne; taki postulat został zapisany w „Strategii Rozwoju Kapitału Społecznego 2020”.

Na różnicę w opodatkowaniu książek papierowych i ebooków zwraca też uwagę rzecznik praw obywatelskich Irena Lipowicz. W piśmie do MF wskazała na swoje wątpliwości z punktu widzenia konstytucyjnej gwarancji równości oraz wolności dostępu do dóbr kultury a także na potrzebę sprzyjania rozwojowi czytelnictwa. A z tym jest u nas rzeczywiście nie najlepiej – według danych Biblioteki Narodowej w 2010 roku 56 proc. Polaków nie zajrzało do ani jednej książki, a tylko 12 proc. Polaków przeczytało więcej niż 6 książek w ciągu roku. Badania wykazały, że ani jednej książki w ciągu roku nie przeczytało aż 25 proc. osób z wyższym wykształceniem, a także ponad 30 proc. osób na stanowiskach kierowniczych i specjalistów.

Za zmianą przepisów opowiada się także szefowa sejmowej komisji kultury i środków przekazu Iwona Śledzińska Katarasińska (PO), która mówi: „Znam tę sprawę, rozmawiałam o tym z parlamentarzystami francuskimi – ponieważ nie uzyskali zgody na obniżenie VAT na ebooki – podobnie jak my – zdecydowali się na jego obniżenie na własną odpowiedzialność. Być może Francji ujdzie na sucho, ale lepiej zmienić prawo unijne, niż liczyć na łut szczęścia. Unia powinna zmienić dyrektywę vatowską; z naszej strony są o to starania od lat, ale nie przynosi to efektu”.

Cóż zatem można zrobić w tej sytuacji? Jedno jest pewne – obecny stan trzeba zmienić, ponieważ dyskryminuje wydawców ebooków. Pytanie tylko: w jaki sposób zrobić to najlepiej?

E-KSIĘGARNIE

Największa naukowa wypożyczalnia online już działa!

Ponad 50 000 czytelników już wypożycza online.



Chyba każdy zgodziłby się z twierdzeniem, że forma elektroniczna książki powoli wypiera papierowe wydania. Jednocześnie ebooki wciąż postrzegane są jako pozycje drogie. Jak wynika z badań przeprowadzonych przez Wydawnictwo PWN, idea udostępniania ebooków na zasadzie wypożyczania i czytania online jest pomysłem, który doskonale odpowiada na potrzeby dzisiejszego odbiorcy, zwłaszcza odbiorcy korzystającego z wiedzy fachowej, bo taki jest profil serwisu. – Ibuk jest inicjatywą, która wytycza trendy na rynku publikacji profesjonalnych, ale w czasach, gdy liczą się tylko cyfry, to odbiorca jest dla nas

najważniejszy – podkreśla Natalia Wojciechowska dyrektor ds. ecommerce Wydawnictwa PWN – stąd pomysł na wypożyczalnię online, która ma nareszcie obniżyć cenę za dostęp do treści elektronicznych.

Prywatny study room w Internecie

Centrum usługi stanowi myIBUK, czyli połączenie prywatnego study room w internecie z aplikacją czytelnika online. Tutaj użytkownik gromadzi i organizuje swoją bibliotekę, czyta elektroniczne książki a wraz z wykupieniem usługi MyIBUK PLUS zyskuje dostęp do zestawu unikalnych funkcji, niedostępnych w innych czytnikach, takich jak: tworzenie projektów, archiwizacja własnej pracy z książkami w formie zbiorczego kompendium, dodawanie własnych dokumentów czy cytowanie fragmentów wraz z pobieraniem bibliografii cytowanej pozycji. Jest to rozwiązanie, które wykorzystują osoby, które często sięgające po treści z książek profesjonalnych.

MyIBUK PLUS to jedyny czytnik ebooków, który jest dostosowany do pracy z książką naukową.



Centrum usługi stanowi MyIBUK, czyli połączenie prywatnego study room w internecie z aplikacją czytnika online. Z książek można korzystać na dowolnym urządzeniu: laptop, smartfon, tablet.

25 książek bezpłatnie i mobilnie dla studentów.

– Projektując usługę, braliśmy pod uwagę, przede wszystkim, fakt, żeby zaspokoić potrzebę mobilności. Studenci coraz więcej czasu spędzają online i korzystają z mobilnych usług, dlatego naturalnym krokiem było umożliwienie korzystania z publikacji używanych do nauki na każdym urządzeniu: tablet, smartfon czy laptop – podsumowuje Wojciechowska. W ramach myIBUK PLUS uruchomiono dostęp testowy, podczas którego użytkownik może korzystać z 25 pozycji książkowych zupełnie bezpłatnie.

Więcej informacji na www.ibuk.pl



WYPOŻYCZASZ - CZYTASZ ONLINE

Dostęp do
25
książek
za darmo!

ponad 11 000
publikacji
naukowych



IBUK to największa wypożyczalnia publikacji fachowych i naukowych – ponad 11 000 tytułów od 40 najlepszych polskich wydawców.

Wypożyczasz na jeden dzień lub potrzebujesz pakietu książek na kilka miesięcy – ceny w IBUK dopasują się do Twoich potrzeb. Wypożyczalnia jest **dostępna na tablecie, laptopie, smartfonie** – możesz ją mieć zawsze przy sobie zupełnie legalnie! Możesz korzystać z katalogu **IBUK także w Twojej bibliotece**. Poproś bibliotekarza o dostęp do Ibuk Libra.



Jeśli Twoja biblioteka nie ma dostępu do Ibuk Libra napisz do nas: oferta@libra.ibuk.pl

Wypożyczaj książki online
Wejdź na www.ibuk.pl

Dlaczego nie Kindle?

(oraz inne pytania, jakie macie do twórców *Czytaj bez limitu*)

Już od blisko pół roku Legimi.com udostępnia usługę *Czytaj bez limitu*. Przypomnijmy – to taki odpowiednik Spotify, tyle że zamiast czasowego dostępu do puli utworów muzycznych uzyskujecie dostęp do ebooków, które możecie czytać na smartfonach i tabletach. Propozycja Legimi jest na tyle nowatorska, że wciąż macie do niej mnóstwo pytań – postanowiliśmy odpowiedzieć na najpopularniejsze z nich.

Dlaczego dostęp czasowy?

Bez wątplenia każdy z nas ma książkę, do której wraca. Zajmuje ona poczesne miejsce na półce (nawet wirtualnej), raz na kilka lat czujemy nagłą, nieznosną potrzebę przeczytania jej ponownie (mimo że moglibyśmy ją wyrecytować wspaniale). Ale poza tym... zdecydowana większość książek, które przeczytaliśmy, wraca do biblioteki, znajomych czy też ląduje na półce – i nigdy do nich nie wracamy. Pół biedy, gdy zakupiona pozycja przypadła nam do gustu. Nie ma chyba nic gorszego niż tytuł, który porzucamy w połowie (niezależnie od tego, czy dzieje się to z powodu beztalencja autora, braku czasu czy złej koniunktury planet). Po co zatem kupować pojedynczy tytuł, skoro można dowolnie przebierać z szerokiej gamy książek i, w sytuacji gdy po przeczytaniu dowolnej jej części chcemy zrezygnować, nie mamy poczucia płacenia za coś, co nam się nie podoba?

Dlaczego tyle tytułów?

Cóż, nie każdy chce/może być w awangardzie. Jak w każdym biznesie, również w książkowym są wydawcy, którzy są forpocztą zmian i współtworzą nową rzeczywistość. Do nich bez wątplenia należą Insignis, Muza, G+J, Bellona czy Drzewo Babel. Jest jednak grupa, która woli przyjrzeć się nowemu modelowi dystrybucji i decyzję o udostępnieniu swoich tytułów podejmie za pewien czas (wiadomo – może to być decyzja odmowna). Jeszcze kilka lat temu zbiór wszystkich

legalnych ebooków polskich wydawców nie przekraczał tysiąca. W 2013 r. zbliżamy się powoli do wartości dziesięciokrotnie większej. Co prawda jest to wciąż ułamek wszystkich publikacji, ale najważniejsze jest to, że coraz więcej książek (w tym najciekawsze tytuły) ma jednoczesną premierę w wersji papierowej i elektronicznej. Ba! Jak wynika z comiesięcznych zestawień tworzonych przez Roberta Drózda, autora zdecydowanie najpopularniejszego blogu poświęconemu e-czytaniu (SwiatCzytnikow.pl), już ponad 2/3 bestsellerów książkowych ma swoje elektroniczne odpowiedniki. Za pewien czas będziemy mogli prawdopodobnie to samo napisać w kontekście tytułów dostępnych w usłudze abonamentowej.

Jak działa okres próbny?

Warto uczyć się od innych. Dlatego też wprowadzony został wygodny (zarówno z punktu widzenia czytelnika, jak i księgarni) model odnawialnej płatności (za pomocą karty kredytowej lub konta PayPal). W związku z tym aktywacja okresu testowego (trwającego 7, a w czasie promocji nawet 14 dni) związana jest z podaniem danych karty. Dzięki temu po zakończeniu okresu testowego nie trzeba pamiętać o jego przedłużeniu. Czy jest coś gorszego niż komunikat o zakończeniu okresu próbnego na kilka stron przed końcem czytania? Dobra, pewnie parę takich strasznych momentów w życiu się trafi, ale nie dla mola książkowego.

Dlaczego nie na Kindle?

To chyba najczęściej zadawane pytanie, więc należy się i nad nim pochylić. Niezwykle ważny jest aspekt technologiczny. Usługa abonamentowa oznacza konieczność niezwykle precyzyjnej kontroli nad plikami. Stworzenie systemu, który będzie to umożliwiał nie jest obecnie możliwe do wykonania na czytniki (a w szczególności Kindle). Co innego smartfony i tablety. Właśnie dlatego ekosystem Legimi – Czytaj bez limitu – został przygotowany z myślą o posiadaczach tych urządzeń.

Poza tym wystarczy zadać sobie pytanie: czy tworzenie usługi, której funkcjonowanie zależne byłoby od planów biznesowych globalnego hegemonu na rynku ebooków, jest racjonalne? Przekładając to na polski rynek – opieranie strategii na udostępnianiu ebooków w formacie mobi i przyzwyczajanie do tego standardu może być dla wielu rodzimych podmiotów podcinaniem gałęzi, na której siedzą.

Mamy nadzieję, że udało nam się rozwiązać szereg wątpliwości dotyczących czytania bez limitu. Pozostaje jedno – kluczowe. Czy model zaproponowany przez Legimi sprawdzi się wśród polskich czytelników i czytelniczek? Pierwsze wnioski będzie można wyciągnąć za kilka miesięcy, bez wątpienia jednak nowy sposób korzystania z ebooków już wywołał gorącą dyskusję na temat rynku i pobudził wydawców do aktywniejszych działań na tym polu.

Legimi

Żyjesz bez limitu?



Czytaj bez limitu
7 dni za darmo

www.Legimi.com

NOWOŚCI i ZAPOWIEDZI WYDAWNICZE

Nasza oficyna na przyjemność przedstawić premierowe tytuły wiosny 2013:

Piotr Mrok: LUBELSKA MASAKRA kotem podwórkowym



wydawca: RW2010

e-premiera: kwiecień 2013

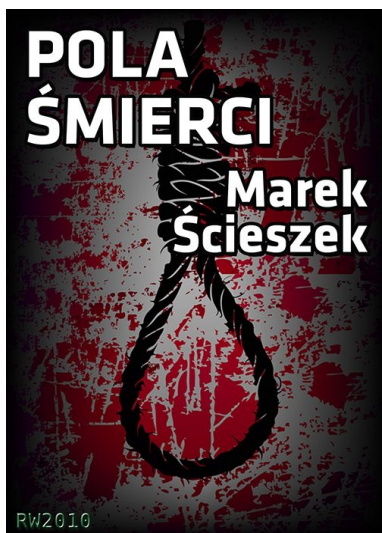
powieść fantastyczna

Szalona przygoda w zwariowanym świecie wyobraźni

Dariusz jest nastoletnim pisarzem, z głową pełną marzeń, ale też kompleksów. Spotkanie z bratem w jednej z lubelskich kawiarni staje się początkiem jego obłądnej przygody. Na drodze chłopaka staje zakonnica i wielki gość w białym kapeluszu, przy którym Kuba Rozpruwacz to niewinna pensjonarka. Darek otrzymuje od tajemniczej pary propozycję nie do odrzucenia. Rozróżba ma szeroki zasięg. W sprawę zamieszani są faszyci, elfy, agenci służb, zombie, centaury, młodociani czarodzieje, fanatycy religijni i wielu innych. A że na wojnie i w miłości wszystkie chwytły dozwolone, wolno używać nawet

kotów. Acz potem można żałować.

Marek Ścieszek: POLA ŚMIERCI



wydawca: RW2010

e-premiera: kwiecień 2013

powieść fantasy

W zamęcie granica między katem a ofiarą zanika

Na początku pola śmierci miały być tylko interesem, nieludzkim, bluźnierczym, ale prowadzącym do łatwego zarobku. W świecie fantasy w sprawy zwykłych ludzi lubią się jednak mieszać siły nadprzyrodzone. Przy czym nie sposób jednoznacznie stwierdzić, w którym miejscu przebiega granica porządku. Nic nie jest albo czarne, albo białe. W szarościach niknie pewność co do istoty zła. Zamęt, mroczna siła stojąca w opozycji do Natury, powołuje do życia Bestię, która dzieło ludzi postanawia kontynuować na własnych warunkach. Konflikt jest nieunikniony.

Piotr Sikorski: STREFA LĘKU

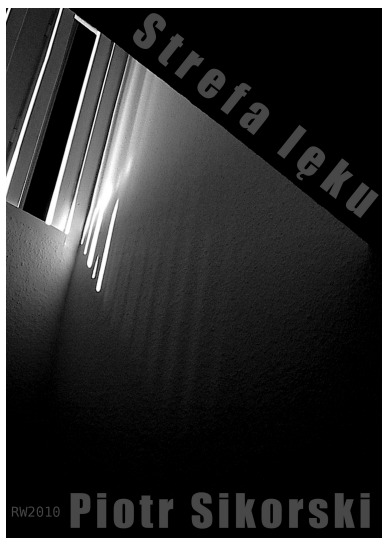
wydawca: RW2010

e-premiera: maj 2013

zbiór opowiadań, thriller, groza

Patrz prosto w wielkie oczy strachu

By zapanować nad naszą wewnętrzną strefą lęku, musimy najpierw ją nazwać, zdefiniować jej przyczyny, a potem



stanać twarzą w twarz z naszymi największymi koszmarami. Bohaterowie zbioru opowiadań „Strefa lęku” wpadli w sidła strachu. Czy zdołali się z nich wydostać? Strach jest częścią naszego życia, towarzyszy nam od dzieciństwa. Czy można przed nim uciec? A może lepiej nauczyć się go kontrolować?

Marian Kowalski: STRAŻNICY ZMARŁYCH

wydawca: RW2010

e-premiera: marzec 2013

zbiór opowiadań, sensacja, kryminał, marynistyka

Umarli wiedzą lepiej

Zbiór opowiadań sensacyjno-kryminalnych, głównie o tematyce marynistycznej, w której bohaterami są marynarze, piękne kobiety, chciwi piraci i okrutni esbecy. To opowieści ze zbrodnią w tle, uwodzące klimatem tajemnicy, egzotyki; inne historie porażają historyczną prawdą oglądaną z okna lub... opatrzoną kryptonimem. Dzięki lekturze zagłębiamy się w tygiel skrytych żądź, marzeń, których spełnienie może oznaczać śmierć. Twoją lub cudzą. Dlatego uważaj, czego pragniesz. Strażnicy zmarłych czuwają.



Marcin Królik: DRZEWO RÓŻANE



wydawca: RW2010
e-premiera: maj 2013
powieść obyczajowa

Nasze cienie nigdy nie odchodzą

Kości umarłych, choć milczące, domagają się głosu. Pewne tematy, choć tak straszne, iż chciałoby się zamieść je pod dywan, muszą zostać poruszone. W przeciwnym razie będą cię do końca życia nawiedzać w snach. Przekonuje się o tym dziennikarz prowincjonalnej gazety, gdy pewnego dnia w jego życie wkracza stary profesor. Okazuje się, że mają ze sobą więcej wspólnego, niż obaj podejrzewali. Przeszłość nie spocznie w spokoju, dopóki ich światy się nie przenikną.

Marcin Orlik: KSIĘGA STUDENCKA, tom I



wydawca: RW2010
e-premiera: maj 2013
zbiór opowiadań, humor, groteska, fantastyka

O Vademecum studenta każdy student pamięta!

Studia to magiczny okres w życiu człowieka. Przekonują się o tym na własnej skórze dwaj studenci, kiedy to z głębin nieznanymi człowiekowi na padole ziemskim pojawia się Pan Bajzelhaus, obecnością swą czyniąc porządek w mieszkaniu studenckim, co jest absolutnie nie do przyjęcia. A to dopiero początek studiów! Jak więc sobie na nich poradzić? Z pomocą przychodzi *Vademecum Studenta*, obowiązkowa lektura każdego pierwszorzoczniaka, pomagająca się odnaleźć w wysokoprocentowej atmosferze studiów.



Emma Popik: WYWIAD Z BOGIEM

wydawca: RW2010

e-premiera: czerwiec 2013

zbiór opowiadań science fiction

Ideałów nie ma

Bogowie jak ludzie: leniwi, gniewni, chciwi. Oczekują zapłaty i sutego poczęstunku, jednakże czynią cuda. Tworzą nowe istoty, wymyślają zasady, a jeśli wcielają je w życie – niszczą świat.

I ludzie jak bogowie: wszechmocni. Spadają z nieba jak niewidzialne fatum, niosąc śmierć. Łączą się myślą i psychiką z maszynami. Tworzą nowe metody naukowe, by żyć wiecznie. Produkują automaty, które są od nich sprawniejsze, a jednak... i one zawodzą, bo są równie

niedoskonałe jak ludzie. Bo ideałów nie ma.

Katarzyna Woźniak: HYDRA PAMIĄTEK

wydawca: RW2010

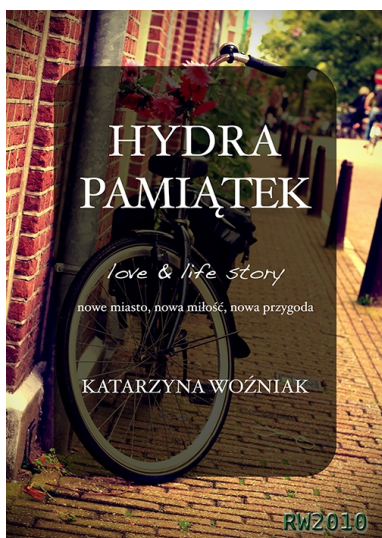
e-premiera: czerwiec 2013

powieść obyczajowa

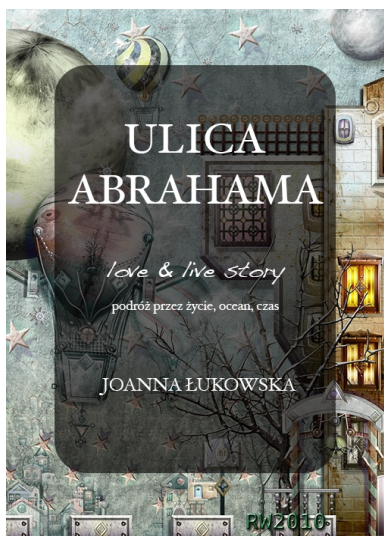
Nowe miasto, nowa miłość, nowa przygoda

Historia jednej podróży, która staje się opowieścią o miłości i spełnianiu marzeń. Czy pracownica banku może przeobrazić się w artystkę, czarującą słuchaczy głosem i grą na gitarze? Czy pełna kompleksów kobieta może rozkochać w sobie mężczyznę odważnie podążającego za swymi pragnieniami? Czy Polka i Węgier odnajdą w Amsterdamie wspólne szczęście i drogę do swoich serc?

Czy można zapomnieć o bagażu przeszłości, który dźwigamy jak niechciany garb? Czy potrafimy wystawić za drzwi walizki wyuczonych zasad i narzuconych priorytetów, które nie pozwalają nam iść od przodu?



Joanna Łukowska: ULICA ABRAHAMA



wydawca: RW2010

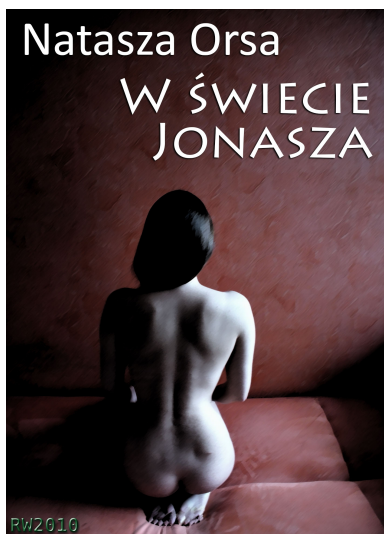
e-premiera: czerwiec 2013

powieść obyczajowo-historyczna

Podróż przez życie, ocena, czas

Magiczna opowieść o poszukiwaniu swojego miejsca w życiu, o marzeniu, które powiedzie Abrahama Zimmermana za ocean. O innym Abrahamie, który po półtora wieku podejmie dzieło swego przodka. Historia przyjaźni między żydowskim chłopcem, spragnionym wiedzy i książek, a starym Szkotem, księgarzem i agnostykiem. Powieść o zadawaniu pytań i szukaniu odpowiedzi; o dorosłej przyjaźni między ojcem a synem. Rodzaj literackiej metafory, współczesnej przypowieści o życiu, odchodzeniu, braniu odpowiedzialności za siebie i innych.

Natasza Orsa: W ŚWIECIE JONASZA



wydawca: RW2010

e-premiera: lato 2013

powieść erotyczna

Intymna podróż w poszukiwaniu miłości

Monika wkracza w pełen erotyki świat Jonasza. Mężczyzny tajemniczego, niebezpiecznego, który działa na nią jak żaden inny dotąd. Nie pojmuje, co się z nią dzieje. Nigdy tak nie reagowała, nigdy nie była tak bezwstydna. Śmiałe seksualne doświadczenia są dla młodej kobiety fascynującą, choć nieco zatrważającą nowością. Zwłaszcza że Jonasz, wprowadzając kochankę w świat zmysłów i żądzy, ma swój cel.

Chce niewiele i bardzo dużo zarazem. Nie broń się przede mną – żąda – i... kochaj mnie. Ale zraniona, nieufna Monika boi się miłości. Czy spotka ją za to kara?

RECENZJE

Jagna Rolska: Lubię książki napisane pięknym językiem.

Pillon i Synowie Marka Hemerlinga

Recenzja pochodzi z serwisu Fahrenheit.net



Marek Hemerling: PILLON I SYNOWIE

wydawca: RW2010

e-premiera: marzec 2013

powieść science fiction

Lubię książki napisane pięknym językiem. Jestem zdania, że to, jak się pisze, jest równie istotne, jak to, co się pisze. Brzmi banalnie, prawda? Może i tak, ale w zalewie przeróżnych zachodnich (i nie tylko) szmirowatych powieści, w których język jest wyłącznie maksymalnie uproszczonym narzędziem, służącym do opowiedzenia pewnej historii, książka napisana dobrze staje się coraz większym ewenementem.

Tym bardziej cieszy, gdy jest okazja do zrecenzowania powieści, w której brak różnej maści potworków

stylistycznych. Niezwykle trafnymi porównaniami i pięknymi opisami miejsc akcji w tekście *Pillona i Synów* zwyczajnie się delektowałam. Marek Hemerling to autor doświadczony. Ma w swoim dorobku dwie opublikowane powieści (*Diabelska maskarada* oraz *Biały jest tylko śnieg*) oraz wiele opowiadań, a najnowszą publikacją potwierdza wysoki poziom swojego warsztatu pisarskiego. Czyli już wiemy, jak rzecz jest napisana, więc warto się przyjrzeć treści.

Synowie Dominika Pillona przychodzą na świat w odstępach dwudziestoletnich. Główny bohater, Filip, a także wielu jego starszych braci nigdy nie poznało ojca, który nie żyje od wielu dziesiątek lat. Nestor rodu zadbał o przedłużenie linii, by w ten nietypowy sposób zapewnić ciągłość zarządzania swoim potężnym imperium finansowym. Imperium, którego interesy przekraczają granice odległych galaktyk. Jednym z projektów firmy jest odległa planeta i jej mieszkańcy.

Nie będę więcej zdradzać, powiem tylko, że Filip Pillon wyrusza w podróż do tego odległego miejsca. Pech chce, że jego statek ulega uszkodzeniu, więżąc chłopaka w obcej galaktyce. To wydarzenie zmieni nieodwracalnie losy rodzinnego imperium na Ziemi, mieszkańców dalekiej planety i oczywiście samego Filipa.

Tu kilka słów na temat konstrukcji tekstu. Historia została opowiedziana z dwóch punktów widzenia. Z jednej strony mamy relację typowo „ziemską”, przedstawianą przez „ludzkiego” narratora, a z drugiej opowieść zostaje poprowadzona z punktu widzenia przedstawicieli obcej cywilizacji. Autor zadbał o każdy aspekt spójności przedstawionego świata i z dużą pieczołowitością stworzył jego faunę, florę i system

społeczny oraz religijny. Całość jest logiczna, przemyślana i interesująca. Osobiście wolałabym, żeby autor rozbudował ten świat jeszcze bardziej i dołączył kilka wątków pobocznych, bo książka pozostawiła we mnie niedosyt. Wydaje mi się, że można było wciągnąć czytelnika jeszcze głębiej, podsunąć mu więcej szczegółów, może nawet pokusić się o przybliżenie losów bohaterów drugoplanowych, ale być może ta oszczędność słowa była przez autora zamierzona i miała na celu uwypuklenie łatwości, z jaką społeczności opierają swoje wierzenia religijne na zdarzeniach, których nie potrafią racjonalnie wyjaśnić.

Podsumowując, czytelnik ma okazję do przeczytania naprawdę niezłej książki i zawiedziony z pewnością nie będzie. Szkoda tylko, że na razie przewidziana jest jedynie wersja elektroniczna. W końcu papier to papier...

Marek Adamkiewicz: Autorka utalentowana... z pechem?

Recenzja ebooka *Po stronie mroku* Agnieszki Hałas

Recenzja pochodzi z portalu Szortal.com



Agnieszka Hałas: PO STRONIE MROKU

wydawca: RW2010

e-premiera: wrzesień 2012

zbiór opowiadań dark fantasy

Patrząc na karierę pisarską Agnieszki Hałas, nasunąć może się myśl, że jest to autorka tyleż utalentowana, co nieco pechowa. Jej pierwsza książka, *Między Otchłanią a Morzem*, ukazała się w dosyć niszowym wydawnictwie, Ares2. Obecnie skutkuje to tym, że nie dosyć, iż nie sposób jej dostać w normalnej sprzedaży, to jest też spory problem, by „ustrzelić” ją na popularnych serwisach aukcyjnych.

Wydawało się, że wszystko idzie w dobrym kierunku, gdy Ifryt opublikował powieść *Dwie Karty*. Jednak

wydawnictwo upadło, zatem kiedy ukaze się zapowiadana wcześniej kontynuacja, bogowie raczą wiedzieć. Z kolei najnowszy zbiór autorki zamiast na papierze, dostajemy w formie ebooka. Niby dobrze, że w ogóle mamy okazję przeczytać te teksty, jednak mimo rosnącej popularności czytelników, to wersja papierowa jest wciąż najpopularniejsza i ma szansę dotrzeć do większej ilości odbiorców. Dobrze, gdyby te opowiadania ukazały się kiedyś w takiej formie, gdyż na pewno na to zasługują (*ukazały się w marcu 2013 – przyp. wyd.*).

Na zbiór składa się dwanaście tekstów. Mimo dosyć dużej różnorodności, łączy je pewien motyw przewodni, a mianowicie Szeol – kraina, do której po śmierci trafiają niektóre ludzkie dusze. Konkretnie te bardziej grzeszne. Podczas lektury będziemy mieli okazję dać się ponieść akcji w tych tekstach, które mają charakter bardziej rozrywkowy, jak i znaleźć interesującą refleksję nad ludzkim życiem w tych bardziej melancholijnych. Krótko mówiąc, dla każdego coś miłego, jednak bez wrażenia rozstrzelenia stylistycznego.

Po stronie mroku, jak zresztą sam tytuł wskazuje, cechuje się dosyć mroczną atmosferą, jednak nie popada w skrajności. Żadnej makabry tu nie uświadczymy. Nacisk jest raczej położony właśnie na klimat poszczególnych opowieści. I trzeba przyznać, że wychodzi to zbiorowi na dobre. Właściwie nie można wskazać jakiegoś konkretnego tekstu, który byłby gorszy od pozostałych. To, że większość opowiadań w zbiorze trzyma się na stosunkowo równym poziomie i zachowuje integralność, stanowi jeden z jego największych atutów.

Mimo tego, że teksty mają zazwyczaj poważny wydźwięk i często traktują o ciemnej stronie ludzkiej natury, autorka znalazła miejsce dla paru akcentów humorystycznych. Znajdziemy je w tych bardziej rozrywkowych opowiadaniach, a objawiają się przede wszystkim w niektórych dialogach. Jest to bardzo udany zabieg i przyjemna odskocznia, biorąc pod uwagę dosyć ponury klimat reszty.

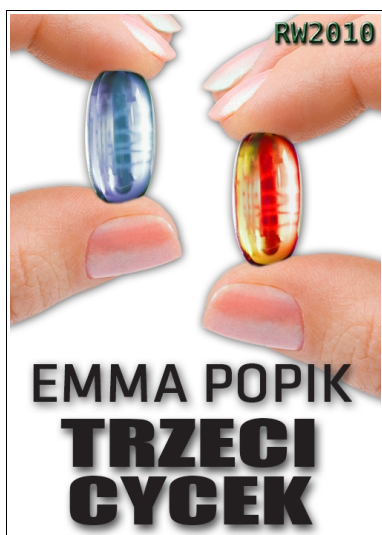
Flagowym dziełem Agnieszki Hałas są, w opinii wielu czytelników, historie o Krzyczącym w Ciemności. Tym razem mamy do czynienia z nieco inną scenerią, jednak nie sposób oprzeć się wrażeniu, że jeśli autorka w dalszym ciągu będzie rozwijać ten konspekt, to mamy szansę otrzymać cykl, który może nawet przewyższyć teksty ze świata Zmroczy. Intrygujące jest zwłaszcza przedstawienie Szeolu. W każdej chyba dziedzinie sztuki obraz Piekła był przedstawiany po wielokroć. Dosyć ciężko w takiej sytuacji wymyślić coś, co nie będzie sprawiało wrażenia zwykłej kalki. Jednak autorce się ta sztuka udało. Oczywiście teza, że jest to coś niezwykle oryginalnego, także mijałaby się z celem, jednak w tak wąskich ramach, jakie daje ta konkretna tematyka, można śmiało powiedzieć, iż prezentowane teksty wychodzą zdecydowanie obronną ręką. Dzieje się tak między innymi dlatego, że nie ma tu zwyczajnego podziału na Niebo i Piekło. Między dwiema głównymi krainami możemy znaleźć inne, pośrednie, a co najważniejsze – nieszablonowe.

To, że książkę czyta się tak dobrze, to także zasługa dobrego warsztatu pisarskiego Agnieszki Hałas. Czuć, że nie jest to debiutantka, ale autorka ukształtowana, której styl czytelnik może już rozpoznać. Praktyka robi swoje, praca zarówno nad powieścią jak i wcześniejszymi opowiadaniem procentuje tym, że te najnowsze czyta się wybornie. W świat przedstawiony zostajemy wciągnięci szybko i skutecznie. Nie ma siły, by czytać *Po stronie mroku* zbyt długo. Po prostu gdy się ją zacznie, bardzo ciężko jest się oderwać.

Pomijając narzekania na formę wydania, inne wady w najnowszej książce Agnieszki Hałas są praktycznie niezauważalne. Dużo zależy tu pewnie od gustów konkretnych czytelników, jednak w moim przypadku jest tak, że kupuję to właściwie bez żadnych zastrzeżeń. Znalazłem w *Po stronie Mroku* to, co lubię najbardziej, czyli świetne połączenie rozrywki z dodatkiem zastanowienia. Jeśli też lubicie takie połączenie, na pewno nie będziecie zawiedzeni.

Maciej Parowski: Kto się boi *Trzeciego cycka* Emmy Popik?

Felieton-recenzja



Emma Popik: TRZECI CYCEK

wydawca: RW2010

e-premiera: marzec 2013

zbiór opowiadań science fiction

Nie będę ukrywał, że miałem swój skromny udział w odkryciu twórczości Emmy Popik. Czasopismo *Fantastyka* zamieściło w marcowym numerze roku 1983 jej pierwsze opowiadanie *Mistrz*. Zostało ono później zaliczone do stu najlepszych polskich opowiadań i ukazało się w jubileuszowej antologii *Co większe muchy* (1992) grupującej najlepsze opowiadania z pierwszej dekady istnienia pisma (*Fantastyka* i *Nowa Fantastyka*). W roku 1986 ukazał się pierwszy zbiór opowiadań autorki: *Tylko Ziemia* i książka uznana została za

najlepszy debiut roku w ramach swego gatunku. Popik drukowała w *Fantastyce*, w *Nowej Fantastyce* oraz w *Science Fiction Fantasy i Horror*, magazynie prowadzonym przez Roberta Szmidta.

Wydała zbiory opowiadań: *Bramy strachu*, *Genetyka bogów* i *Plan*. Jest również autorką książki dla dzieci *Wejście do baśni*, przetłumaczonej na japoński przez Krystynę Hirayama. Opowiadania sf tłumaczyła na japoński i zamieściła w czasopismach Michiko Tsukada.

Zawodowo Emma Popik związana była głównie z dziennikarstwem jako redaktor naczelna *Nowego Kuriera Nadbałtyckiego*, czasopisma Wydziału Edukacji Urzędu Miejskiego w Gdańsku, redaktor prowadząca *Gazety WPiA UG*, pełniła również funkcję redaktora w wydawnictwie i przez czas krótki zajmowała się pracą dydaktyczną. Tyle bogatego życiorysu.

Zapytana, dlaczego pisze, Autorka odpowiada: „Pisarstwo jest posłannictwem, szczególnego rodzaju służbą dla człowieka, z tego więc względu piszę o tym, co jest dla mnie ważne. I choć jest to fantastyka naukowa, staram się mówić o sprawach aktualnych, dziejących się teraz, na naszych oczach”. Rzeczywiście, Emma Popik umiejętnie wyczuwa głębokie i podskórne trendy, które są dla wielu niewidoczne, dopóki w pewnym momencie nie wybuchną z wielką siłą. Najlepszym przykładem jest choćby opowiadanie *Telerodzinka*, zamieszczone w jej pierwszej książce *Tylko Ziemia*. Motyw w nim opisany ujawnił się później jako ekshibicjonistyczna „zabawa”, znana pod nazwą Big Brother, i kontynuowana w jej kolejnych wariantach, coraz bardziej podglądających osobiste życie uczestników.

Z kolei o zbiorze *Trzeci cycek* Autorka mówi: „Chciałam ukazać sytuację człowieka postawionego wobec wielkich i groźnych sił. System społeczny czy inteligentna technika – nieważne – pod spodem kryje się to samo: oszustwo i manipulacja. Bohaterowie moich opowiadań nie zdają sobie z tego sprawy, żyjąc beztrudnie i korzystając z rzekomych dobrodziejstw otaczającego ich świata. Aż docierają do momentu krytycznego, w którym system zabiera im wolność, tożsamość i to, w co wierzyli. I naraz jednostka musi się zmierzyć z czymś ponad jej siły. Każdy z bohaterów stacza swoją własną walkę, by stać się istotą ludzką i dowiedzieć się, kim jest. Oto moje przesłanie dla współczesnego świata. Gdybym miała pisać dla rozrywki, nie chciałoby mi się wziąć pióra do ręki”.

Na szczęście dla czytelników Autorce „wciąż się chce” – wróciła do pisania i znów zmusza nas do samodzielnego myślenia, i znów budzi w nas... strach. Zanurzając się w twórczość Emmy Popik, można bowiem odnieść wrażenie, że wkracza się w świat rodem z filmów Szulkina. Ta sama dziwność, mroczność, zagubienie, przeznaczenie zdające się być silniejsze od woli, życie sprowadzone do przetrwania – wśród ruin, śmieci, w pustce kosmosu, w pułapce losu, powtarzającego się wciąż i wciąż, w uścisku narzuconego odgórnie systemu albo... we własnym domu, którym rządzi komputer.

Światy z opowiadań Emmy Popik budzą lęk. Człowiek zredukowany jest w nich do roli trybu w maszynie. System decyduje, jak osobnik ma żyć, kochać, grzeszyć, odbywać pokutę. Rodzi się pytanie: skąd ten strach, skąd wypływa poczucie zagrożenia? Zdumiewające, biorąc pod uwagę, że to opowiadania z gatunku science fiction, czyli pozornie niemające nic wspólnego z prawdziwym życiem. Czy na pewno? Czy trzeci cycek z tytułowego opowiadania nie może wyrosnąć każdemu, skoro nawet środki chemiczne są „inteligentne”? I nagle wraz z tą „niechcianą naroślą” zmienia się nasze postrzeganie rzeczywistości, my się zmieniamy, a raczej szerzej otwieramy oczy, widząc więcej, dalej, jaśniej. Naraz dostrzegamy, że nie jesteśmy trybem, ale jednostką, której odebrano wolną wolę, marzenia, tożsamość, szansę. Kto lub co jest tym bezlitosnym manipulatorem? Jak z nim walczyć? Czy w ogóle się da? I czy musi to być walka na śmierć i życie? A może wystarczy jedna buntownicza myśl...? Ferment wątpliwości, zaczyn niezgody na zastaną rzeczywistość – to łączy opowiadania ze zbioru *Trzeci cycek*.

Tom rozpoczyna tytułowe opowiadanie, którego bohater-bohaterka nie wie, kim naprawdę jest. Nie potrafi nawet zadać takiego pytania. Świadomość Feler śpi, a ona sama staje się rzeczą i jak przedmiot jest traktowana. Przez błąd-przypadek odnajduje drogę do własnej seksualności i kobiecej tożsamości, i już nie chce, żeby było jak wcześniej, choć nowa tożsamość może łączyć się bólem, gwałtem, samotnością odrzucenia, a nawet ze śmiercią.

Natomiast jako „znawca” Emmy Popik stwierdzam, że opowiadanie, którym zamknęła tom, wyróżnia się na tle innych. Autorka potwierdza: „Istotnie, jest to

opowiadanie delikatne i kobiece. Niektórzy powiedzą, że nie pasuje do mnie, pisarki noszącej portki i patrzącej na totalitarne światy z męskiego punktu widzenia. Ale jestem kobietą, w spodniach czy bez. *Sama jasność* to tekst niosący nadzieję i pozostawiający czytelnika z pozytywnym nastawieniem. To także mój manifest: kobieta wie, czego potrzebuje, co lubi, a czego nie znosi, ma świadomość własnych pragnień i siebie samej. Wcześniej czy później każda z nas to odkrywa. Obie moje bohaterki, ta z *Trzeciego cycka* i ta z *Samej jasności*, również dochodzą do owego stanu wyzwolenia, ale jakże odmiennymi drogami. Jedna organizuje działania, druga poddaje się biegowi zdarzeń – osiągając zrozumienie poprzez okrutne doświadczenia. Niemniej obie podejmują decyzję”.

Motywnym przewodnikiem opowiadań zamieszczonych w tomie *Trzeci cycek* jest właśnie kwestia prawa do wyboru własnej drogi, bycia sobą na własnych warunkach, prawa do prawdy. A z drugiej strony zbiór przedstawia opowieści ludzi stłamszonych, kontrolowanych przez władzę, układ, system, program. Aura niemożności, uwikłania, przymusu, wielkiego oszustwa, a przede wszystkim wszechobecnej manipulacji towarzyszy czytelnikowi podczas lektury *Trzeciego cycka* cały czas.

I znowu wraca sprawa lęku. Czy ów cyniczny determinizm, ta nieustająca podległość sile wyższej – czym by ona nie była i czym by się nie kierowała (najmniej dobrem jednostki) – przerażają najbardziej?

Chyba Emmie Popik udało się coś więcej niż nas po prostu nastraszyć bezduszną strategią różnorodnych demiurgów. Opisywane przez Autorkę historie nie dzieją się odtąd – dotąd. Nie zaczynają się wraz z lekturą, nie kończą wraz z jej przerwaniem. One trwają cały czas, gdzieś tam, bez względu czy patrzymy, czy nie, wywołując tym samym mocno niepokojące wrażenie realności. Jakbyśmy zajrzeli komuś przez okno, wniknęli w kosmos jego dziwnego domu, i choć poszliśmy dalej, nie potrafimy zapomnieć o tym, co wiedzieliśmy. Czytelnik włącza się w pewnym momencie opowieści, stając się odkrywcą danego świata, nierzadko wraz z bohaterem, którego wiedza na temat otaczającej go rzeczywistości była niepełna lub opierała się na fałszywych przesłankach.

To właśnie budzi największe obawy. Bo czy my znamy niuanse świata, w którym egzystujemy? Czy nie zdarza nam się szeroko otwierać oczu ze zdumienia, gdy czarne okazuje się białym? Łatwo utożsamiać się z bohaterem, nierozumiejącym świata wokół, któremu tylko się wydawało, że go zna i jest szczęśliwy. Historie z *Trzeciego cycka* zakotwiczą się w głowie, sumieniu, sercu, potrzęsając naszym samozadowoleniem i budząc strach podejrzeniem, że nam też mogłoby się coś podobnego przytrafić. Bliźniaczego nie pod kątem fantastycznej treści, ale realnych emocji, poczucia osaczenia, oszukania, zmanipulowania.

Więc się bójmy, wszyscy, może ten strach nas wyzwoli...

W książce krytycznej *Czas fantastyki* (1990) tak podsumowuję pisarstwo Emmy: „Czytając Popik, doznajemy tego szczególnego zadowolenia, jakiego dostarcza rzecz

niechby ponura, ale konsekwentna i dobrze zrobiona”. W wydanej 20 lat później pracy *Małpy Pana Boga. Słowa* podobnie pozytywnie sumują literacką robotę Emmy oraz najciekawszych autorek i autorów z jej pokolenia: „Fantastyka nie jest już spetryfikowaną, rozpoznawalną na pierwszy rzut oka konwencją. Projektuje przyszłość, reinterpretuje przeszłość, bawi się w eksperyment literacki, podsuwa rzeczywistości zwierciadła gorzkiej alegorii. Zaczyna mówić artystycznym językiem o człowieczym losie i powinności, o Bogu i diable, o władzy. Jest wreszcie głosem w obronie słabych i okaleczonych (także nienarodzonych). Zyskuje to wszystko naprawdę znakomity kształt artystyczny w opowiadaniach i powieściach Marka Huberatha, Krzysztofa Kochańskiego, Marka Oramusa, Jacka Inglota, Grażyny Lason, Emmy Popik”. Tę ocenę z radością powtarzam w przypadku tomu opowiadań ze zbioru *Trzeci cycek*.

Marek Adamkiewicz: Na dobre rzeczy warto czekać.

Recenzja ebooka *Pośród cieni* Agnieszka Hałas

recenzja pochodzi z portalu [Szortal](#)



Agnieszka Hałas: POŚRÓD CIENI

wydawca RW2010

e-premiera: marzec 2013

powieść dark fantasy

Trochę trzeba było poczekać na drugi tom historii o Krzyczącym w Ciemności. W tzw. „międzyczasie” autorkę dotknęły pewne zawirowania wydawnicze i gotowa od dłuższego czasu powieść, światło dzienne ujrzała dopiero teraz. I można mówić, że długi okres oczekiwania zaciera nieco pamięć czytelnika – na pewno jest w tym sporo racji – ale prawdą jest też, że na dobre rzeczy warto czekać. I obronią się one same, gdy wraz z początkowymi stronami do głowy automatycznie wskoczy to, co już o danym bohaterze wiemy. Tak jest

właśnie w przypadku *Pośród cieni*.

Generalnie fabuła zasadza się na tym, że Krzyczący wciąż nie pamięta wielu szczegółów swojego poprzedniego życia (przypomnijmy, że w *Dwóch kartach* bohater obudził się dotknięty amnezją) i nadal poszukuje okruszków informacji w wielu dziwnych miejscach. Jednak krok po kroku, zbliża się do zdobycia wiedzy o swojej skrytej we mgle przeszłości. Wiedza ta może mu się jednak nie do końca spodobać. Wszak nie każdy lubi być marionetką w rękach potężnych graczy. Przy okazji bohatera nie omijają też kłopoty. To musi wymykać się oblławie zorganizowanej przez Srebrnych, innym razem z kolei organizuje schronienie dziewczynie, w której obudził się mroczny dar, i której życie może być w niebezpieczeństwie. Ręce ma, w każdym razie, pełne roboty.

W porównaniu z pierwszą powieściową odsłoną przygód Brune Keare można wyraźnie odczuć, że nieco zwiększyło się tempo prowadzenia akcji. Nie ma tak wyraźnych momentów przestoju, jak miało to miejsce w *Dwóch Kartach*. Autorka potrafiła tym razem lepiej wyważyć składowe i dobrze zestawić momenty bardziej nastrojowe z tymi pełnymi przygody. Wrażenie wciąż robi niezwykle sugestywna sceneria, w jakiej rozgrywa się fabuła. Podziemia, miejsca w strefie „bardziej astralnej”, miasto. Wszystko miesza się ze sobą w odpowiednich proporcjach, uwidaczniając dużą różnorodność. Jest to bezsprzecznie spora zaleta.

Zyskała też sama postać głównego bohatera, Brune Keare. Wciąż co prawda nie odzyskał on w pełni pamięci, ale teraz nie cierpi na tym przy okazji akcja. To, że

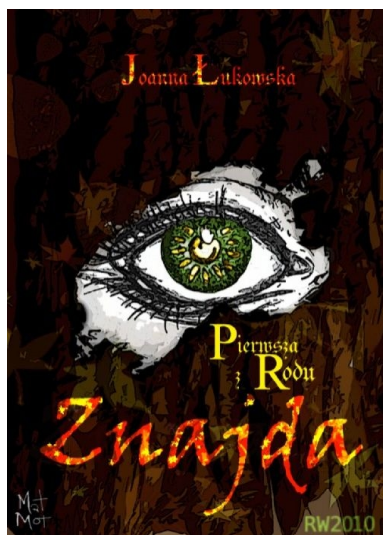
wiemy o nim nieco więcej, wpływa korzystnie na nasze postrzeganie całości. Żmij zaczął w końcu bardziej przypominać maga, jakiego pokochali czytelnicy opowiadań zamieszczanych przed laty w magazynie *Science Fiction*. Wykorzystuje swoje umiejętności bardziej świadomie, a to, że stosuje „złą” odnogę magii, dodatkowo utrudnia jednoznaczną interpretację.

Trochę rozczarować może jedynie fakt, że poza Brune cała reszta bohaterów niespecjalnie się wyróżnia, ale warto też w tym momencie zwrócić uwagę, że paru posiada jednak spory potencjał – by wnieść nieco więcej do historii w tomie wieńczącym trylogię i zmienić to niedopatrzenie. Jako taką widziałbym np. postać Anavri Vaneisen, wprowadzoną na scenę już w *Dwóch Kartach*. Tym razem budzi się w niej mroczny dar i oddana zostaje na naukę do Marshii Lavallo (swoją drogą, ta postać również aż się prosi, by wycisnąć z niej jeszcze więcej). Na razie nie jest ona specjalnie eksploatowana, ale bardzo bym żałował, gdyby taki stan rzeczy utrzymał się także w tomie trzecim. Anavri jawi się bowiem jako dziewczyna po traumatycznych przeżyciach, a jej umiejętności mogą być równie imponujące jak Krzyczącego. Mimo młodego wieku i arystokratycznego pochodzenia nie została przedstawiona jako rozpieszczona dzierlatka, ale osoba trzeźwo myśląca i twardo stąpającą po ziemi. A to wszystko przy braku większego skupienia się na tej bohaterce. Czyli, jak widać, potencjał jest.

Wypada wspomnieć, że *Pośród Cieni* ukazuje się w dosyć specyficzny sposób. Czytelnik ma do wyboru ebooka i tradycyjną, papierową książkę. W tym jeszcze nie ma niczego osobliwego, ale gdy dodam, że każdą wersję wydało inne wydawnictwo, to taki obrót spraw jawi się jako swoiste novum. W mojej osobistej opinii eksperyment jest całkiem ciekawy. Jak się przyjmie, pokaże przyszłość. Mnie na tę chwilę wystarczy wydany przez RW2010 ebook, ale ponieważ posiadam już *Dwie Karty* w wersji papierowej, pewnego dnia bez wątpienia także nabędę taką właśnie edycję. Dobrze, że wydawnictwa Solaris i RW2010 zdecydowały się na tę oryginalną kooperację.

Pośród Cieni to powieść ciekawsza niż *Dwie Karty*. Widać, że Agnieszka Hałas okrzepła jako powieściopisarka i z większym wyczuciem wprowadza i miesza ze sobą poszczególne elementy. Obok świetnych opowiadań, może się teraz chwalić także bardzo dobrą powieścią (bo ta pierwsza jest jednak „tylko” dobra). Z uwagą patrzę na jej bezsprzeczny artystyczny rozwój i czekam na więcej. Dobrze też wiedzieć, że autorka znalazła względnie bezpieczną przystań, w postaci wydawnictwa RW2010 (czy taką okaże się także Solaris, pokaże czas). Jestem przekonany, że pewność przyszłości i brak ciągłego martwienia się o perspektywy wydawnicze, odbije się korzystnie na dalszej karierze Agnieszki Hałas.

Maciej Śłużyński: *Pierwsza z rodu Joanny Łukowskiej*, czyli fantastycznie kobieca literatura



Joanna Łukowska: **PIERWSZA Z RODU: ZNAJDA**

wydawca: RW2010

e-premiera: listopad 2011

powieść fantasy

Co tu kryć – wychowałem się (i nadal się wychowuję) na typowej męskiej literaturze popularnej. Poczynając od przygód Tomka Wilmowskiego i dzielnych Indian z Gór Czarnych, poprzez żołnierzy i policjantów z powieści MacLeana, zagubionego, ale śmiertelnie groźnego Jasona Bourne'a, aż do ostatnich powieści Grzędowicza i Ziemiańskiego. Napisałem „typowej”, czyli operującej klasycznym schematem, klasycznym typem bohatera i dość klasyczną (choć w wielu przypadkach szalenie zawiłą) fabułą. Klasyczny typ bohatera – wystarczy

spojrzeć na przytoczone powyżej tytuły i wspomnieć nazwiska występujących w nich postaci literackich, z których przykład ostatni, czyli księżniczka Achaja, jest dla mnie także „męskim” bohaterem, mimo swojej płci. Ten rodzaj literatury tworzą właściwie wyłącznie mężczyźni i czytają chyba też tylko mężczyźni. My po prostu tak mamy...

Ale nie ukrywam też, że od czasu do czasu sięgam po literaturę kobiecą. Nie, nie chodzi tu o romans! Dla mnie klasycznym rozróżnieniem jest sposób budowania akcji. W literaturze męskiej – wartko, szybko, dużo jednocześnie, wszystko maksymalnie skomplikowane i pogmatwane, ale wyłącznie w sferze intryg, powiązań, kombinacji. Przykłady? Patrz powyżej. Literatura kobieca natomiast skupia się bardziej na uczuciach i odczuciach, na podbudowie psychologicznej, na motywacjach i reakcjach na akcję. Przykłady? Najpierw mężczyźni – Harris i jego trylogia o Hannibalu Lecterze (gdzie główną bohaterką dwóch części jest agentka Starling), Larsson i trylogia Millenium, Asimov i jeden z tomów cyklu o Fundacji (ten z Mułem w roli głównej). Z kobiet – Ursula Le Guin (w całości!), Andre Norton, Anne McCaffrey i... troszkę utknąłem, bo książek pisanych przez panie znam znacznie mniej.

Z tym większą ciekawością sięgnąłem jakiś czas temu po *Znajdę* Joanny Łukowskiej. Po pierwsze – polska literatura. Po drugie – fantastyka. Po trzecie – stworzona przez kobietę. Po czwarte – co dostrzegłem dopiero po zakończeniu lektury – doskonale wpisująca się w moją teorię podziału literatury na płcie; i chodzi mi tu przede wszystkim o... płć książki, a nie Autora czy Autorki.

Ostatnimi czasy polska fantastyka mężczyznami stoi. Do wymienianych już wyżej Grzędowicza i Ziemiańskiego dodać można jednym tchem choćby Pilipiuka czy Pawlaka, o Sapkowskim nie zapominając. Warto jednak zauważyć, że – zwłaszcza w przypadku dwóch pierwszych autorów – ich utwory, choć pozornie o czym innym traktują, są klasyczną „męską” literaturą. Intrygi szpiegowskie u Ziemiańskiego czy intrygi polityczne u Grzędowicza charakteryzują się stopniem skomplikowania tak wysoko postawionym, że cały Ludlum wydaje się przy tym prosty jak sznurek w kieszeni. Akcja goni akcję, sensacja – sensację, aż ciężko złapać oddech. I nie – ja nie krytykuję, bo bardzo lubię takie pisanie. Ja po prostu stwierdzam fakty.

Bardzo lubię takie pisanie, ale czasami czuję się nim zmęczony. I dlatego chętnie sięgam po „fantastyczne” kobiety, czyli choćby Emmę Popik, Agnieszkę Hałas czy Joannę Łukowską. Zwłaszcza ta ostatnia autorka stanowi dla mnie swoisty fenomen, ze względu na to, co napisała do tej pory i ze względu na to, jak napisała swoją pierwszą powieść fantastyczną.

Łukowska debiutowała prawie dwadzieścia lat temu klasycznym romansiem, który w pewnych kręgach zyskał miano kultowego. Czy słusznie – nie mnie oceniać, ale widząc na własne oczy, jak wygląda na dziś sprzedaż ebooka *Nieznajomi z parku* śmiem twierdzić, że coś jest na rzeczy. Później opublikowała – niestety tylko we fragmentach i w prasie – zbiór mocno ze sobą powiązanych głównymi postaciami opowiadań *Państwo Tamickie. Pierwsza z rodu: Znajda* jest jej pierwszą powieścią fantastyczną i... po prostu jest fantastyczną powieścią.

Nie tylko ja tak myślę. By nie być gołosłownym, przytoczę kilka opinii czytelników (opinie pobrałem ze stron: Empik, Weltbild, RW2010, Woblink, Publio, Nexto):

„Pierwsza od wielu lat (od czasu *Gar’Ingawi wyspa szczęśliwa* Anny Borkowskiej) polska powieść fantasy, która mnie zachwyciła i zauroczyła. Sam pomysł świata przedstawionego, świata skrzatów, ludzi i stworów wszelakich, żyjących w świecie bez słońca jest nowatorski i pozwala Autorce konstruować fabułę w sposób zupełnie niespodziewany. Plastyczne opisy miejsc i postaci, dynamiczne opisy działań i wydarzeń, a wszystko podparte żelazną logiką. Choć świat jest od początku do końca zmyślony, to jego bohaterowie są jak najbardziej prawdziwi”.

„Trudno powiedzieć, czego oczekiwałam, siadając do lektury tej książki. Znałam autorkę z jej romansu. Więc nie widziałam, co mnie czeka w powieści fantasy. W każdym razie na pewno nie spodziewałam się, że zarwę nockę. Nie spodziewałam się wypieków, wzruszeń, ekscytacji, palącej ciekawości: co dalej? A jak skończyłam, miałam ochotę przeczytać *Znajdę* jeszcze raz, żeby odkryć wątki i tajemnice, które może mi umknęły. Wielopoziomowa opowieść o ludziach, skrzatach, zwierzętach. Historia miłości, trudnej, zakazanej. Historia zdrady, przyjaźni, poświęcenia. Po prostu świetna książka”.

„Jako że polskiego fantasy czytam bardzo mało, a powieści tego gatunku pisanych ręką kobiecą znam jeszcze mniej, ciężko mi orzec, czy Joanna Łukowska na

rodzimy, fantastycznym firmamencie w sposób szczególnie błyszczą czy się wyróżnia. Po lekturze *Pierwszej z rodu*, wiem jednak, że pisarka ma spory potencjał na przeistoczenie się – przy odrobinie zaledwie praktyki w „rzemiośle” – w całkiem jasno świecąca nań gwiazdę.

Pierwsza z rodu: Znajda to zgrabne połączenie klasycznego, ocierającego się wręcz o baśń, fantasy, z elementami – że ujmę to tak, trochę na wyrost – post-apokaliptycznego science fiction. Oczywiście, ten drugi pierwiastek to zaledwie taka szczypta do smaku, bo tradycyjne fantasy jednak tutaj dominuje. Opowieść, oparta na ciekawym pomysłem, spisana jest językiem barwnym, soczystym, niepozbawionym humoru i choć z początku nieco trudno połączyć się w dość chaotycznie zakreślonych realiach, to im dalej w „bór”, tym robi się – paradoksalnie – jaśniej i czytelniej.

Największym plusem jest moim zdaniem świetnie oddana społeczność skrzatów, które u Łukowskiej wydają się być połączeniem tych stworzeń znanych z polskiego czy bardziej słowiańskiego folkloru z klasycznym obecnie wizerunkiem „tolkienowskiego” krasnoluda. Relacje między nimi, ich miejsce w wykreowanym świecie, tradycje, zachowanie i język, wszystko to wypadło nad wyraz udanie i za to wielkie brawa. Z drugiej strony, na pozostałych bohaterów tej powieści też nie ma co specjalnie narzekać, choć w niektórych przypadkach ich potencjał został lekko zmarnowany a ich rola – zwłaszcza w końcówce – postawiona pod znakiem zapytania (Maura).

Co w takim razie zgrzyta? Ano brakuje mi w tym świecie pozbawionym słońca... mroku. To „wielki nieobecny” tej powieści. W zasadzie równie dobrze mogłoby tego elementu nie być i choć rozumiem, że brak słońca jest tu motorem sprawczym pewnych wydarzeń, to ja odczuwałem za mały jego wpływ na życie mieszkańców pogrążonego w ciemności świata. Po drugie, z przyjemnością poznałbym ów świat z nieco szerszej perspektywy, chciałbym, by autorka nadała wydarzeniom jakieś szersze tło, bo to, co się dzieje w powieści, ogranicza się tylko do małego wycinka uniwersum i wydarzeń niby epickich, a jednak w skali mikro. Tym samym, oczekiwałem w przyszłości kontynuacji, rozciągającej się na szerszą płaszczyznę z nieco lepszym wyważeniem elementów bajkowego fantasy z post-apokaliptycznym science fiction. A ciąg dalszy chyba raczej powstanie, zważywszy na to, że zakończenie pozostawiło duży niedosyt...”

„Wciągająca baśń fantasy dla dorosłych. Zło, dobro, skrzaty, czarownice, ludzie – wszystkiego po trochu. Autorka powoli, kolejno wprowadza kolejne wątki i objaśnia istniejący świat. Wszystko zrównoważone i dobrze napisane”.

„Już dawno nie czytałam tak dobrej powieści. Już dawno nikt nie wprowadził mnie w tak fascynujący świat, zupełnie inny od tego, w którym aktualnie żyjemy. Wspaniale bawiłam się, czytając dialogi skrzatów z niewyparzonymi gębami, przeżywałam chwile grozy, będąc na zamku Maury, polubiłam chatę Estery, a nawet tajemniczy i

niebezpieczny Bór, po którym swobodnie potrafią poruszać się tylko nieliczne skrzaty i zwierzęta.

J. Łukowska we wspaniały sposób wprowadza kolejne wątki, jakby stanowiły odrębne historie, po to tylko, by w odpowiednim miejscu zacząć je ze sobą splatać, by bez pośpiechu otwierać przed czytelnikiem drzwi tajemnicy, nieustannie wzmagając ciekawość i wzbudzając sympatię, odrazę lub szacunek do bohaterów. Nikogo nie traktuje się tu obojętnie, każda postać wywołuje jakieś uczucia i sprawia, że czytelnik coraz bardziej przywiązuje się do tej historii, nie chcąc wypuścić jej z rąk ani na chwilę.

Chylę czoła przed J. Łukowską za pomysł, wyobraźnię i niewątpliwy talent literacki. To jedna z lepszych polskich książek z gatunku fantasy, jaką miałam okazję przeczytać. Mam szczerą nadzieję, że nie będzie ostatnią tego rodzaju, która wyjdzie spod pióra autorki. Polecam wszystkim – bez wyjątku!”

„Jestem bardzo pozytywnie zaskoczona tą książką. Widać że w Polsce są świetni autorzy, choć na razie niezbyt znani. A fantastyka nie musi być szablonowa. Z chęcią przeczytam więcej, jeśli tylko się pojawi”.

„Zachwyca mnie wykreowany przez autorkę świat, zamieszkujące go postacie, te złe, te dobre i te pomiędzy, fascynujące jest odkrywać ich historie z różnych urywków, i składać sobie je po kolei jak jakieś puzzle. Warto się zanurzyć w ciemność, by odnaleźć światło”.

„Powieść znakomita, kompletna, z realistycznie wyrysowanymi postaciami i zdarzeniami, bez luk logicznych (światło czego odbija Księżyc, który w książce świeci mimo że Słońce zgasło, zostanie, mam nadzieję, wyjaśniona w drugiej części; mam też wielką nadzieję, że kontynuacja opowieści o świecie po wyłączeniu światła już powstaje), po prostu smakołyk przez duże „sma”. Może aż za duży, ponieważ nie mogąc oderwać się od tej historii, przez kilka dni zaniedbywałem obowiązki”.

„Do lektury *Znajdy* siadłem po dwóch na świeżo zaliczonych cyklach, czyli *Achai* i *Lodowym Ogrodzie*. Spodziewałem się czegoś w tym samym stylu i... bardzo przyjemnie się rozczarowałem. To nie jest wielka, globalna fantasy political fiction, z gromadą głównych bohaterów, herosów, rycerzy, szpiegów, dyplomatów, książąt i takich tam różnych, o niemożliwych do spamiętania imionach i obco brzmiących nazwiskach. To jest bardzo kameralna opowieść, która jednak doskonale koresponduje z wymienionymi przeze mnie wcześniej wielkimi cyklami. Ale ma jedną nad nimi przewagę – jest powiewem nowości w grze oklepanych aż do niemożliwości schematów. Tu nic nie jest takie, jak się spodziewamy, tu wszystko jest zupełnie, zupełnie inne... Nowe, niezwykle, nowatorskie, odkrywcze. Co tu dużo mówić – zakochałem się i czekam na dalsze tomy!”

„Świetna fabuła, precyzyjna, mięsista, wciągająca. Skrzatom, ludziom i zwierzętom przychodzi żyć pod ciemnym niebem, bez słońca. Wątki splatają się ze sobą, prowadząc do epickiego finału, z zaskakującym suspensem po drodze. To nie jest

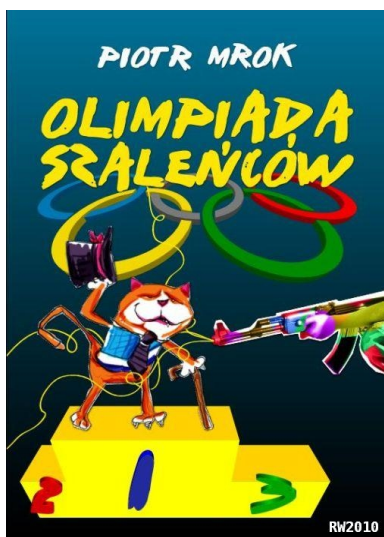
opowieść dla dzieci, na pewno nie. Skrzaty nie są miłe. Ludzie nie są sympatyczni. Przemoc, śmierć, miłość lesbijska, gwałt, ostracyzm, czyszczenie z uczuć, niewolnictwo dusz – znajdziemy to tutaj. Ale także miłość, poświęcenie, przyjaźń, nadzieję. Ta lektura zapada w pamięć na długo”.

„Nie pamiętam równie dobrze napisanej polskiej powieści fantasy od czasu *Tkacza Umysłów*, no może Grzędowicz w pierwszej części *Pana Lodowego Ogrodu*. Mamy wszystko: ciekawą wizję świata po katastrofie, dużo wielowarstwowych i nietuzinkowych postaci, sporo pasji i namiętności, które nimi kierują, trochę magii, trochę morału, no i wszystko zgrabnie ujęte w całość. Brawo”.

Po tych wszystkich cytatach właściwie... nic nie pozostaje do dodania. No może parę zdań na koniec. Powieść Joanny Łukowskiej wyraźnie zaskakuje wszystkich czytelników, zarówno miłośników fantastyki, jak i tych, którzy dotąd po ten gatunek nie sięgali. *Znajda* ma liczne grono swoich zagorzałych fanów, którzy wciąż dopominają się o kontynuację. I nikogo nie pozostawia obojętnym. Świat *Znajdy* jest tradycyjny i odkrywczy zarazem, konwencjonalny i łamiący konwencje, statyczny i dynamiczny, emocjonalny i doskonale opisany. Fantastyczny, a jednocześnie tak realny.

Marcin Orlik: Literacka masturbacja frustracją, czyli Olimpiada szaleńców Piotra Mroka.

Recenzja pochodzi z magazynu *Nowa Fantastyka* 05 (388) 2013



Piotr Mrok: OLIMPIADA SZALEŃCÓW

wydawca: RW2010

e-premiera: grudzień 2011

zbiór opowiadań sf, satyra, groteska

Rzadko kiedy mam okazję trzymać w dłoni książkę, która potrafi mnie naprawdę zaskoczyć. *Olimpiadzie szaleńców* Piotra Mroka się udało, głównie za sprawą sposobu, w jaki autor operuje groteską i absurdem. Z początku zdawało mi się, że jest to zbiór prostych, śmiesznych opowiadań, ale z każdą kolejną stroną utwierdzałem się w przekonaniu, że moje pierwsze wrażenie było błędne.

Retoryka groteski

Obecnie słowo „groteska” kojarzy się głównie z czymś lekkim, łatwym i przyjemnym. Piotr Mrok przypomina

prawdziwe znaczenie tego słowa, niczym dobry cukiernik przekładając jak warstwy tortu elementy komiczne z elementami tragicznymi i podlewając je lukrem atmosfery dziwności i odrealnienia. Kiedy zaczynałem czytać tę książkę, z każdą kolejną stroną nasilało się dziwne wrażenie, że wierzchnia warstwa komiczna utworu jest jedynie słodką przykrywką dla nieco poważniejszej tematyki. Krótko mówiąc, po wgrzyzieniu się w słodki lukier odkryłem zaskakujące pokłady gorzkości i zacząłem się zastanawiać, co jest jej źródłem.

Sfrustrowany świat

Świat przedstawiony w książce Mroka to świat wewnętrznej frustracji napędzanej ludzką głupotą, absurdem codzienności i niespełnionymi oczekiwaniami. Te trzy rzeczy są zarówno częściami, jak i paliwem motoru napędowego frustracji autora „produkującego” opowiadania ze zbioru *Olimpiada szaleńców*. Piotr Mrok umiejętnie przekuwa swoje uczucia na absurdalne opowiadania, które pokazują nam rzeczywistość w krzywym zwierciadle, i rozlicza się ze wszystkim: z rodziną, z Poczta Polską, z USA, a nawet z kotami.

To czytać, nie czytać?

Autor sam przyznaje, że pisarstwo jest dla niego rozmową z samym sobą, sposobem prowadzenia pamiętnika, a więc rozliczeniem z otaczającą go rzeczywistością. Konwencja przyjęta przez autora pozwala na zajrzenie do wnętrza jego umysłu. Czyta się łatwo i przyjemnie, a autor operuje prostym językiem, dzięki czemu tekst jest bardzo przystępny. Polecam zarówno koneserom prawdziwej groteski, jak i

niedzielnym czytelnikom. W końcu warto wiedzieć, co zrobić, kiedy prześladowe nas kot wyposażony w działko solidnego kalibru...

Sardegna: Paranormalna historia miłosna z klapsami, czyli *Gra o duszę* Anety Rzepki

Recenzja pochodzi z blogu [Książki Sardegny](#)



Aneta Rzepka: **GRA O DUSZĘ**

wydawnictwo: RW2010

e-premiera: grudzień 2011

erotyczna fantastyka

Dzisiaj przedstawiam propozycję na intrygującą, wieczorną lekturę. Powieść *Gra o duszę* zaleje was gwałtownymi uczuciami, tętniącymi erotyzmem, wątkami paranormalnymi oraz niepokojącymi wydarzeniami.

Paulina jest skromną i religijną dziewczyną. Jest wrażliwa, uczuciowa i mocno związana z kościołem. Wrodzona nieśmiałość przeszkadza jej w kontaktach z ludźmi, których stara się unikać i nie doprowadzać do jakichkolwiek konfrontacji. Pewnego dnia dziewczyna poznaje tajemniczego mężczyznę, który w dość

obsceniczny sposób zaczyna ich znajomość. Rafał swoim silnym charakterem (a jak się okaże nie tylko tym) dominuje nad Pauliną, która nie potrafi mu odmówić.

Zainteresowanie niewinną dziewczyną nie jest jednak bezinteresowne. Ma ono związek z zadaniem, jakie zlecono Rafałowi. Mężczyzna musi postępować zgodnie z planem i nie poddawać się emocjom. Jak się okaże, nie będzie to dla niego proste zadanie, gdyż dziewczyna zaczyna budzić w nim ciepłe uczucia. Niektóre wydarzenia zaczynają się toczyć wbrew woli bohaterów, niosąc ze sobą tragiczne konsekwencje, bowiem zwierzchnicy Rafała mają wobec Pauliny inne plany...

Na pierwszy rzut oka fabuła tej powieści przedstawia się jak typowa historia miłosna. Uczucie wbrew przeciwnościom losu i mniej lub bardziej szczęśliwe zakończenie. *Gra o duszę* jest jednak inna. Przede wszystkim wyraźnie zaznaczony jest w niej wątek fantastyczny. Walka sił dobra i zła (zupełnie namacalna, nie metaforyczna), zauroczenie, wymierzanie surowych kar cielesnych i fizycznych, to tylko niektóre z ważnych elementów powieści. Również wątek religijny jest bardzo istotny. Dla niektórych jego dosłowność może okazać się zbyt kontrowersyjna, jednak nie można go zignorować.

Historia naprawdę mi się podobała. Tekst przeczytałam w ekspresowym tempie z ciekawością, jaki finał przygotowała dla czytelników autorka.

Do całej historii mam dwa zastrzeżenia. Po pierwsze, zakończenie. Jak dla mnie przedstawione w wielkim skrócie. Chętnie przeczytałabym coś więcej o finałowych

wydarzeniach *Gry o duszę*. Druga moja uwaga dotyczy wątku kar cielesnych, przedstawionych w formie klapsów. Ta metoda wydaje mi się nieco nienaturalna i przerysowana. Przez to historia straciła trochę wiarygodności w moich oczach.

Gra o duszę to propozycja dla fanów wątków paranormalnych w literaturze, ale i zwolennicy ciekawych historii miłosnych nie powinni być zawiedzeni.

Sardegna: Na gorące, parne wieczory...

Tercet i inne historie Grzegorza Krzyżewskiego

Recenzja pochodzi z blogu [Książki Sardegny](#)

Tercet i inne historie



GRZEGORZ KRZYŻEWSKI

Grzegorz Krzyżewski: TERCET I INNE HISTORIE

wydawca: RW2010

data premiery: listopad 2011

zbiór opowiadań: obyczaj, sensacja, thriller

Kto ma ochotę na pikantną papryczkę chili w wersji ebooka? Jacyś chętni? Jeśli tak, to proponuję opowiadania Grzegorza Krzyżewskiego *Tercet i inne historie*. Będzie się działo! Pięć historii o miłości, ale w otocze prawdziwej erotyki. Sugestywne opisy, prosty, ale nie wulgarny język, dodają smaczku wszystkim tekstom. Zainteresowani? To dobrze, bo warto.

Trzy historie (*Sam w domu*, *Dzień sądu*, *Kto pigułką wojuje*) są krótkimi formami, zawierającymi elementy thrillera lub horroru. Wartka akcja, piękne kobiety i...

zbrodnia. Dwa pozostałe opowiadania (*Tercet* i *Kobieta z Kasablanki*) to już raczej historie obyczajowe. Pierwsze traktuje o zawilej relacji uczuciowo-erotycznej dwóch kobiet i jednego mężczyzny. Drugie, najdłuższe opowiadanie, to historia miłosna tocząca się w melinach PRL-u.

Wszystkie historie przeczytałam z zainteresowaniem, jednak moją największą uwagę przykuła *Kobieta z Kasablanki*. Przez cały czas zastanawiałam się, czy dane będzie zakochanym zakosztować szczęścia i spokoju we dwoje.

Mam nadzieję, że wystarczająco zachęciłam Was do sięgnięcia po *Tercet*. Na zbliżające się czerwcowe, gorące wieczory będzie w sam raz...

Jagoda Wochlik: Polak potrafi, czyli powieść hybryda, czyli recenzja *Żabła Tasmańskiego* Jana Siwmira

recenzja pochodzi z magazynu [QFANT](#)



Jan Siwmir: **ŻABEL TROJAŃSKI**

wydawca: RW2010

e-premiera: lipiec 2012

kryminał obyczajowy

Jan Siwmir jest kryjącą się pod pseudonimem „koalicją małżeńską”. Równie chętnie pisze poezję, co prozę. W wyniku tegoż zamiłowania powstała (wydana po raz pierwszy w 2007 roku, a ostatnio wznowiona) powieść *Żabła trojańska*. Jest to opowieść o losach dwóch mężczyzn – Jana Siwmira i Michała Marii Erewańskiego. Wskutek niezbyt miłych życiowych okoliczności panowie zapoznają się na komisariacie policji. Od tego momentu mija dziesięć lat. Policja notuje wzrastającą liczbę zaginięć wśród Polaków wyjeżdżających do pracy na Wyspy Brytyjskie. Sprawę bada prokurator Erewański.

W rozwiązaniu zagadki pomagają mu jego syn Michał i Jan Siwmir, którzy zatrudniają się do pracy, korzystając z usług tej samej, co zaginieni Polacy, Agencji. Trudno określić, z jakim gatunkiem mamy do czynienia. Jest tu silnie rozwinięty wątek kryminalny, jest i rys sensacyjny. Poszczególnych bohaterów historii łączy ze sobą skomplikowana intryga. Ale gatunkowość *Żabła trojańskiego* nie wyczerpuje się ani w kryminale, ani w sensacji. Drobiazgowo opisane losy polskich emigrantów na Wyspach stanowią sporą część książki, czyniąc z niej także powieść obyczajową. Tasmański Stwór, jak nazywa Jana żona, zmaga się z lekceważącymi pracownikami Agencji, szesnastogodzinnymi zmianami, ciężkimi warunkami w pracy, bezdusnością urzędników i niechęcią rodowitych mieszkańców. Ale i rozbudowany akcent obyczajowy nie wyczerpuje jeszcze mnogości gatunkowej, jaką proponuje nam w swojej książce Jan Siwmir. Bowiem w całą sprawę zaangażowana jest grupa poetów, których próbki wierszy zostały zgrabnie wplecione w tok opowieści. Utwory te są w większości przezabawne, raz lepsze, raz gorsze, choć generalnie prawdziwą poezją nazwać je trudno. Chyba, że potraktuje się lirykę tak, jak traktuje ją bohater jednej z anegdotek przytoczonych przez narratora: „Kiedyś, dawno, dawno temu, czyli jakieś kilkanaście kilogramów wstecz widziałem jako student pięknie udrapowanego pod ścianą ćpuna. Siedział z wbity w żyłę igłą, z wybitymi zębami, z rozbitym łbem, a z oczyma wbitymi w sufit i mamrotał z przejęciem – poooezjaa! Romantyk – pomyślałem sobie bez zazdrości”.

Narrator to kolejna ciekawa postać. Pisarz bowiem sam siebie czyni narratorem swojego utworu. Narratorem, który jest jednocześnie jednym z bohaterów powieści, uczestniczącym w wydarzeniach. Wszechwiedzący, komentujący fabułę i wpływający na przebieg zdarzeń Pisarz-Siwmir, przygląda się z zaciekawieniem postępowaniu bohatera-Siwmira i jego kompanów. Czasem dorzuci swoje trzy grosze – a to stwierdzi, że coś pominie, bo nie nadaje się do druku, a to zasugeruje, że teraz poprowadzi historię wbrew oczekiwaniom czytelnika. Niemal wszystko, łącznie z bohaterem-Siwmirem, potrafi wyśmiać i wykpić. *Żabeł trojański* to nieustający fajerwerk ironii i satyry. Autor w swojej powieści bawi się językiem. Tu wrzuci w usta swoich bohaterów jakieś przekleństwo, tam połączy ze sobą bezsensownie dwa przysłowia, jeszcze innym razem stworzy jakieś powiedzonko zupełnie „od czapy”. To wszystko sprawia, że czytelnik raz za razem wybucha głośnym śmiechem. Siwmir umyślił sobie humorystyczny kryminał, który czyta się z przymrużeniem oka i bez większej wiary w wątki kryminalne, ale za to bardzo przyjemnie. Całości dopełniają świetne dowcipne grafiki autorstwa Kornela „Marva” Kwiecińskiego, na które koniecznie należy zwrócić uwagę.

„*Żabeł*” to hybryda będąca połączeniem żaby, które to słowo upodobała sobie Beatka, żona Jana Siwmira, i kreskówkowego diabła tasmańskiego. Podobnie i jego powieść jest hybrydą zlepioną z kryminału, ironii, satyry, groteski, poezji i wątku obyczajowego. To takie krzywe zwierciadło, przechadzające się po gościńcu i odbijające życie polskiego emigranta w Walii. No cóż... Polak potrafi!

Szczyty wyobraźni: Veronique Wolf – Moja mama pije

Recenzja pochodzi z blogu [Pierwiastek kultury](#)



Veronique Wolf: Moja MAMA PIJE

wydawca: RW2010
e-premiery: listopad 2012
nowela obyczajowa

Smutny klimat w otocze woni alkoholu i brzęku pustych butelek. Taki świat przedstawia nam autorka oczami bohaterki książki *Moja mama pije*. Justyna boryka się z problemem własnej matki, jakim jest alkoholizm i próbuje na swój sposób – czasami nieudolnie – zrozumieć świat, który ją otacza. Na szczęście nie jest sama. Zawsze czeka na nią wsparcie mądrego i dojrzałego ojca oraz kochającej babci.

Gdy sytuacja w domu zostaje postawiona na ostrzu noża, ojciec postanawia wprowadzić radykalne zmiany w życiu rodziny i pomóc sobie oraz tym, których kocha. Justynka wyprowadza się z tatą do babci, a jej mama ląduje na odwyku. Dorastająca dziewczynka szuka oparcia w przyjaciółkach, ale z marnym skutkiem. Ojciec w trosce o córkę otwiera jej drzwi do zrozumienia choroby mamy i proponuje pomoc terapeutów, do czego sama Justyna podchodzi niechętnie.

Ku jej zdziwieniu w jej życiu pojawia się postać, na którą dotychczas nie zwracała uwagi. Jest nią Adaś, kolega z klasy. Los zbliża ich do siebie i dzięki niemu Justyna zyskuje swoją osobistą grupę terapeutyczną, ale również coś więcej...

Moja mama pije to lektura dla każdego. Ukazuje nam ważny element naszego otoczenia, na który często nie zwracamy uwagi lub go bagatelizujemy, ponieważ „nas nie dotyczy”. Na mnie wywarła pozytywne wrażenie, chociaż jest to lektura niełatwa i pełna skrajnych emocji.

Mimo tego, że jest to ebook czyta się go szybko i łatwo jest się wciągnąć. Jedynym minusem jest to, że jest krótki. Zachęcam do przeczytania, gdy mamy chwilę oddechu, a czujemy głód jakiejś emocjonalnej turbulencji.

Paideia: Komedia, która bawi do łez i krzepi, czyli *Państwo Tamickie* wg Joanny Łukowskiej

Recenzja pochodzi z blogu [Dwie pasje i tysiące marzeń](#)



Joanna Łukowska: PAŃSTWO TAMICKIE

wydawca: RW2010

e-premiera: listopad 2011

powieść obyczajowa w opowiadaniach

Bardzo sympatyczna historia. Zabawna, wciągająca, obfitująca w niesamowite (dosłownie) zwroty akcji i bardzo ciekawe dialogi. Tak, to książka, która większości z nas powinna poprawić humor, gdy aura lub nastrój zawiodą. I polecam ją już na wstępie. Dlaczego? Zaraz uzasadnię.

Państwo Tamickie to w głównej osi historia młodego małżeństwa – Joanny i Macieja Tamickich, którzy zawarli sakramentalny związek, niejako chcąc nie chcąc, po prostu by zdobyć mieszkanie (lub raczej by nie

zmarnować okazji posiadania mieszkania). Dziwne? Niekoniecznie, zważając na to, iż początek historii sięga czasów PRL-u. I od wspólnego życia we dwoje w nowiuśkim mieszkanku rozpoczyna się idylla państwa Tamickich: studiowanie, pisanie prac magisterskich, szukanie pracy, kłótnie z sąsiadami, kłótnie z rodzicami, spory o to, co lepsze: pies czy kot. Charaktery młodych małżonków są zgoła odmienne. Maciej to spokojny, miły, unikający kłótni i wykorzystywany przez otoczenie (zwłaszcza przez żonę, nawiasem mówiąc) polonista. Natomiast Joanna to wulkan kipiący energią, często spożytkowaną w niewłaściwy sposób i o niewłaściwej porze. Na dodatek matematyk z wykształcenia, choć szczerze przyznam, że jej umysł raczej nie należy do ścisłych... Jednym słowem kobieta nieobliczalna i nietuzinkowa. Historia państwa Tamickich po części opisuje zapewne codzienne perypetie większości polskich rodzin. Każdy może znaleźć tu kawałek swojego życia. Na dodatek bardzo ciekawie zadziały tu czas i miejsce akcji: ostatnie lata PRL-u i pierwsze lata życia w demokratycznej Polsce, szara rzeczywistość i pogodzenie się z losem w starym systemie kontra „walka” o przetrwanie w nowym świecie konsumpcji i kapitalizmu.

Nie jest to literatura trudna, moralizatorska, wprawiająca czytelnika w zadumę nad własnym życiem. Jest to komedia, która przede wszystkim bawi do łez i krzepi. Jedynym niezrozumiałym dla mnie elementem jest epilog, który jakby rozpoczyna nową historię. Znikają tu wszyscy dotychczasowi bohaterowie, natomiast pojawiają się zupełnie nieznane osoby. Nie wiem, co autorka miała na myśli, kończąc w ten

sposób przygody, ale może istnieje lub zaistnieje druga część *Państwa Tamickiego*, która wyjaśni tę dziwną kwestię.

Co tu dużo mówić. Mało jest tak pozytywnych książek na rynku, czasami mam wrażenie, że zbyt często aplikujemy sobie historie smutne, przygnębiające. Książka pani Joanna Łukowskiej jest dla nich świetną alternatywą. I mam nadzieję, że to nie ostatnie „radosne” słowo autorki. Zachęcam do lektury.

WYWIADY

Maciej Śłużyński: Planuję ramy historii...

rozmowa z Romualdem Pawlakiem



Sam o sobie: urodzony i zamieszkuje. Opublikował kilkanaście książek, zdobył parę nagród... Nie umiem pisać o sobie. Bo kogo właściwie obchodzi, że przekroczyłem czterdziestkę, mieszkam w małym miasteczku, lubię czytać o późnym średniowieczu i Epoce Wielkich Odkryć, chociaż za nic nie chciałbym wtedy żyć. Kto podzieli moją fascynację humbakami pogwizdującymi melodie równie piękne i tajemnicze jak utwory *Dead Can Dance*? Kogo wzruszy, że lubię swojego psa? Koty? Sąsiadów? Nie, pisarz ma pisać dobre książki. Poza tym może być albo dobrym człowiekiem, albo skończonym matolem, czy – jak

mawiał Pyzdra z *Janosika* – gnidą dworską. Nie ma znaczenia, ile ma lat, co jada na śniadanie, a nawet co ma do powiedzenia w sprawach ważnych i poważnych. Dobra musi być książka, bo inaczej wylądowuje w koszu prawdziwym albo wirtualnym.

Zacznę nietypowo... Lubisz udzielać wywiadów?

Lubię. To jest pretekst do pokazania czytelnikowi, jak wygląda świat oczyma pisarza. W wywiadzie można powiedzieć, skąd się wziął pomysł na książkę, zainteresować nią czytelnika... albo opowiedzieć o fascynacji czymś, o czym się pewno nigdy nie napisze, bo się nie umie. Jak, w moim przypadku, o humbakach, niezwykle inteligentnych wielorybach :) O, albo powiedzieć, że taki *Rycerz bezkonnny* wziął się z autentyku, że rycerze tak biedni, iż pasowali zwłoki, to nie jest żadne wariactwo autora, tylko tak było naprawdę! Że władze Florencji naprawdę zakazały pasowania trupów, a te wykradano z cmentarzy... Historia jest zakręcona i autentyczna. Ubawiła mnie, kiedy czytałem książkę o miastach w XIV wieku. I w wywiadzie mogę powiedzieć, że bohater *Rycerza bezkonnego* wziął się z lektury, a większość zamaskowanych cytatów to wyjątki z pism średniowiecznych poświęconych magii. Dziś bawią, kiedyś budziły grozę, a niejednego zaprowadziły na stos.

A czy lubisz pisać? Opowiadać własne historie?

Wiesz, właśnie z takiej chęci opowiedzenia komuś historii – obojętnie, czy wymyślonej, czy mającej związek z rzeczywistością – rodzą się pisarze. Trzeba mieć coś do opowiedzenia, reszta to „ból, krew i flaki”, czyli ćwiczenie warsztatu, aby czytelnik chciał daną historię przeczytać do końca. Jak nie wiesz, co chcesz opowiedzieć, no to kłapa. We mnie, jak w większości pisarzy, żyje więcej historii, niż zdołam opowiedzieć. Żebyś ty widział tę walkę... „Napisz mnie! Ja! Mnie napisz!”. Czasem daję im szansę, wybieram te, które lubię najbardziej. Piszę, bo mam przymus opowiadania. I lubię to.

Zapewne już wiele razy pytano Cię, dla kogo i dlaczego piszesz, skąd czerpiesz pomysły... A mnie interesuje warsztat, czyli JAK piszesz? Planujesz całą historię w najdrobniejszych szczegółach, czy siadasz, a wszystko „pisze się” samo?

Planuję ramy historii. Muszę wiedzieć, jak ona się potoczy, jak się zakończy. Czyli dokąd to wszystko zmierza, co chcę przez nią powiedzieć, no bo jeśli ja nie będę wiedzieć, to czytelnik tym bardziej :) Najważniejsza rzecz: bohater. Muszę go znać, wiedzieć, jak myśli, co czuje. Wymyślam kluczowe wydarzenia, czyli te, które w momencie robienia planu wydają mi się kluczowe... a potem, w czasie pracy, to się zwykle zmienia :) Nie jestem niewolnikiem planów, ale też nie siadam do pisania z myślą, że jakoś to będzie. Kilka tekstów nieskończonych oduczyło mnie tej metody. Tak więc robię notatki, ale pozostawiam wyobraźni sporo swobody.

Twoje papierowe książki sprzedają się w sporych nakładach, a tu nagle... ebook? Dlaczego zdecydowałeś się na taką formę publikacji?

Od roku obserwuję rynek ebooków. A właściwie dwa nakładające się zjawiska: rosnący rynek książki elektronicznej i – pardon – szlag trafiający dystrybucję książki papierowej. Wiesz, te wszystkie kłopoty z firmą na E, siecią na M... I tak sobie myślę, że chociaż u nas sprzedaż książki elektronicznej długo nie osiągnie pułapu amerykańskiego, bo o sukcesie ebooków w Stanach decydują przede wszystkim nasycenie rynku czytnikami oraz inna relacja cen książki/płaca, to jednak nie należy bagatelizować tego segmentu rynku. Wziąłem w ubiegłym roku udział w darmowym, ale głośnym projekcie *31.10. Halloween po polsku* prowadzonym przez Kingę Ochendowską. Z ciekawości, chcąc sprawdzić, czym się te ebooki je. I przeżyłem szok! Prawie pięć tysięcy pobrań – i chociaż to darmówka, to jednak ilość robi wrażenie. Jest rynek, potrzeba tylko promocji i dobrych tekstów. Ja jestem dosyć konserwatywny, jednak otwarty na rzeczywistość. Moim zdaniem nie ma co lekceważyć ebooków, trzeba zadbać o ich jakość i promocję, taką samą, jak w przypadku książki papierowej. Ja w to wchodzę, zamierzam publikować kolejne tytuły, bo sądzę, że za dwa-trzy lata znaczna część beletrystyki będzie sprzedawana w ten sposób. Kłopoty firm na E. czy M. tylko przyspieszą rozwój rynku książki elektronicznej w Polsce, moim zdaniem. Mówiąc po ludzku, ludzie wkurzeni niemożnością dostania wersji papierowej, sięgną po ebooka.

A skąd wybór małej oficyny wydawniczej z Poznania?

Oj, to chyba nie jest taka mała firma, to raczej taki młody jaguar czający się do skoku :). Podoba mi się prężność RW2010, myślenie o rynku w sposób otwarty, ale zarazem konsekwentny. Książka to książka, trzeba ją wydać w sensowny sposób, a potem promować – samo się nie robi. Wielu wydawców tego nie rozumie, a ludzie z RW2010 – tak. Właściwie od wydawców



książki papierowej różni ich nie sposób myślenia o książce, a jedynie medium, którym się posługują. No i ja mam dobre doświadczenia z małymi, prężnymi firmami. Książka dla dzieci, która zdobyła nagrodę IBBY, też została wydana przez małą firmę. A duże... czasem tych dużych nie lubię, bo są strasznie nieruchawi. Jak się dogadać z brontozaurem? Dźgać go kopią? Ja się boję, wolę rozmawiać z kimś mniejszym, a przy tym skutecznym jak mały mięsożerny dinozaur, który takiego nieruchawego brontka potrafi zjeść na śniadanie :)

Dziękuję za rozmowę i... czekamy na kolejne Twoje ebooki.

Maciej Śłużyński: Matematyka w literaturze może się przydać... rozmowy w biegu z Joanną Łukowską



Wyjaśnienie: To nie była jedna rozmowa, ale szereg rozmów w biegu, gdy mi się udało panią Autorkę zdybać przez komórkę, w trakcie spaceru z psem albo na zakupach, lub zadawałem szybkie pytania na spotkaniu towarzyskim, uzupełniając wcześniejsze informacje. Typowy wywiad mógłby się nie udać, bo Joanna – jak sama o sobie mówi – jest chorobliwą gadułą i ma skłonność do dywagacji nieliczących się z porą i odbiorcą.

Jak na osobę piszącą masz dość nietypowe wykształcenie. Skończyłaś matematykę na UAM w Poznaniu, kierunek: zastosowania matematyki, praca magisterska o grafach interwałowych... Czy grafy, takie czy inne, przydają się podczas pisania?

Oczywiście! Matematyka to jest uniwersalny język, język umysłu. Uczy precyzji myślenia, pozwala kojarzyć fakty i budować relacje przyczynowo-skutkowe. Matematyka

uczy logicznego myślenia. A to podczas pisania jest niezbędne. Szczególnie – podczas tworzenia fantastyki, niekoniecznie tej naukowej. Śmiem twierdzić, że nie zostałabym pisarką, gdybym nie zdobyła wcześniej dyplomu matematyka (śmiech).

Czyli logiki, niezbędnej do tworzenia opowieści, nauczyłaś się na studiach... A pisania?

Pisania nauczyłam się sama. Bo chyba nie da się tego nauczyć w „Szkołe Pisania Bestselerów oraz Tworzenia Mądrych Powieści Zdobywających Nagrody”. Nawet gdyby taka szkoła realnie istniała. Więc uczyłam się przez osmozę, czyli czytając innych i nasiąkając słowem. Uważam, że osoba nie lubiąca czytać nigdy nie zostanie pisarzem cyklicznym i publicznym, czyli powtarzalnym i piszącym dla innych. A druga kwestia to trening. Dobrze zapowiadający się debiutant musi tworzyć dalej, żeby kształcić warsztat i z etapu „dobrze się zapowiada” przejść do etapu „jest dobry”. Więc trzeba pisać, poprawiać, pisać, poprawiać. I tak do... śmierci. Bo pisanie to nie jest hobby. To zawód i przymus, z którego nie da się „wypisać”. Gdy ja długo czegoś nie napiszę, czuję się tak, jakbym poszła spać z brudnymi nogami albo zębami (śmiech). Taki dyskomfort fizyczny i psychiczny mnie męczy. A wracając do nasiąkania, zaczęłam nasiąkać słowem, zanim w ogóle pomyślałam o pisaniu. Bo jako sześciolatka chciałam zostać księżniczką, a nie pisarką. Za to zawsze uwielbiałam czytać. Łykałam książki jak gęś kluski.

Czy to znaczy, że każdy kto dużo czyta, może zostać pisarzem?

Nie ma tak łatwo. Czytanie jest warunkiem koniecznym, a nie dostatecznym. W odkryciu u siebie pisarskiego potencjału pomógł mi nałóg czytania romansów. Pochłaniałam setki tytułów. Lepszych, gorszych, czasem fatalnych, czasem świetnych. I wtedy siłą rzeczy zaczęłam analizować. Gdy w trakcie lektury coś mi przeszkadzało w odbiorze, tropiłam te fałszywe nuty. I we własnych utworach staram się ich unikać.

Kiedy zatem nastąpiło to ważne przejście od tropienia do unikania?

Kiedy zaczęłam pisać? Nie licząc okresu licealnego i wierszy, po raz pierwszy poważnie pomyślałam o napisaniu czegoś mniej więcej dwadzieścia lat temu. W romansoholizm wpadłam po urodzeniu drugiego dziecka. Po jakimś roku, kiedy przeczytane przeze mnie książki przestały się mieścić na półkach, mój mąż zapytał, ironicznie zresztą, czy nie uważam, że wyleczę się z nałogowego czytania, pisząc coś „własnego”. Spróbowałam i... udało się za pierwszym podejściem.

Co było tym „pierwszym podejściem”?

No romans przecież! Acz nie taki typowo harlequinowski. To raczej powieść psychologiczna o trudnej miłości, braku zrozumienia, kłopotach w związku, przyjaźni poza nim. I nie unikałam scen erotycznych. Krótko: napisałam coś takiego, co sama chciałam przeczytać.

Mówisz, że się udało... Czyli?

Czyli wydrukowałam trzy egzemplarze i wysłałam do trzech wydawnictw, które publikowały romanse w seriach i w dużych ilościach. Pierwsza odpowiedź z Almapressu przyszła po ośmiu dniach. A to były czasy zwykłych listów, weź to pod uwagę. Patrząc z perspektywy, czy to był sukces? Jeśli chodzi o tempo i podbudowanie wiary w siebie – na pewno. Finansowo? Hm... Na wersji elektronicznej *Nieznajomych* już zarobiłam więcej. Interpretacje są dwie: albo tak słabo sprzedawał się papier, albo tak dobrze sprzedaje się ebook. Niewątpliwie jest jedno: dzięki RW2010 *Nieznajomi* przeżywają aktualnie drugą młodość, co mnie cieszy.

Mnie też, jako twojego wydawcę. Ale zapytam wprost: powierzyłaś nam kolejne swoje książki, bo nie mogłaś ich wydać na papierze?

Jeżeli chodzi o *Państwo Tamickie* – owszem. *Nieznajomi* wyleczyli mnie na dłuższy czas z romansów. Kusilo mnie coś bardziej życiowego, swojskiego. Zmieniłam więc konwencję i napisałam zbiór opowiadań, połączonych parą głównych bohaterów. Sporo obyczaj, dużo humoru, nieco fantastyki... Miało być lekko, zabawnie, refleksyjnie, chwilami wzruszająco, i wyszło tak, jak chciałam. Niestety tym razem napotkałam na publikacyjny mur. Przez kilka lat tułałam się po różnych wydawnictwach; najbliższe do wydania było w poznańskim Rebisie. Maszynopis zbierał dobre oceny, ale argumenty za nie-wydaniem brzmiały poważnie: nie publikujemy debiutantów (choć nie byłam debiutantem), nie publikujemy opowiadań (choć to była w zasadzie spójna historia) i wreszcie – nie publikujemy polskich autorów (a tego nie umiałam przeskoczyć...).

Zmarnowałaś czas?

Wcale. Pojawiła się możliwość współpracy z pewnym czasopismem, chcieli próbek tekstów, podałam kilka pierwszych rozdziałów; spodobał im się styl, język i dostałam pracę. Od drugiej, tej niewydanej powieści, zaczęłam naprawdę zarabiać na swoim pisaniu. I w dodatku – pisząc opowiadania i pozostając polskim autorem (śmiech). Co do powieści, uznałam, że przede wszystkim muszę skupić się na tym, co polecam innym: nauce warsztatu i szlifowaniu stylu. Każdy „ambitny autor”, który kpi z opowiadań typu „z życia wzięte” publikowanych w babskich pismach, proszę, niech spróbuje sam coś tam wydać. Już nie mówię, cyklicznie, kilka tekstów co miesiąc. Niech spróbuje wydać jedno lub dwa opowiadania. Nagle może się okazać, że to wcale nie jest takie proste. Panie redaktorki z kobiecych czasopism płacą, więc są surowe i wymagające. Mnie szkoliły ładnych kilka lat, zanim dojrzałam do następnej powieści.

I tak powstała *Znajda*? Powieść fantasy, zupełnie różna od tego, co pisałaś na co dzień?

Dokładnie. I już w trakcie pisania zdecydowałam się nie posyłać książki do żadnego papierowego wydawnictwa. Być może zraziły mnie złe doświadczenia z *Państwem Tamickim*. Nie chciałam znowu tracić czasu, nerwów i wiary w siebie. Szelest kartek, zapach farby drukarskiej, własne nazwisko na okładce – to kusi większość autorów. Mnie już nie tak bardzo. Widziałam swoje nazwisko w druku, na własnej książce i pod felietonami, które pisywałam przez osiem lat. Nasyciłam swoje ego (śmiech). A szelest kartek jest przereklamowany. Na dokładkę takie kartki sporo wazą, a ja w wakacje dużo czytam i całą siatę musiałam targać ze sobą na każdy taki wyjazd. Więc kiedy raz spróbowałam czytnika ebooków, zakochałam się. Można w jednym leciutkim urządzeniu zmieścić całą bibliotekę!

Dziękuję za nasze rozmowy.

Przyjemność po mojej stronie, dziękuję.

Gustaw G. Garuga: Nie lubię fantastyki...

rozmowa z Dawidem Juraszkiem



Dlaczego nie lubisz fantastyki?

Nie lubię fantastyki? Skąd ten pomysł?

Taki jest tytuł wywiadu.

Chyba, że tak! :) Rzeczywiście dziś już nie lubię fantastyki tak, jak lubiłem ją kiedyś. Był nawet taki okres, że nie wyobrażałem sobie, jak można pisać i czytać coś innego niż fantastykę – wszystko byłoby przecież zbyt dosłowne, zbyt wprost... Dzisiaj nie można powiedzieć, że nie lubię fantastyki, ale na pewno nie jest dla

mnie tak ważna jak kiedyś.

A jednak dużo jej zawdzięczasz.

To oczywista oczywistość. Wszystkie moje dotąd opublikowane teksty prozatorskie mają coś wspólnego z fantastyką, czasem bardzo wiele. Wszystkie ukazały się w pismach i antologiach fantastycznych. Ale jakoś nie czuję się autorem-fantastą. Ot, choćby zdecydowana większość moich tekstów publicystycznych z fantastyką nie ma nic wspólnego. Od lat też fantastyki praktycznie nie czytam. Mówiąc górnolotnie, moja pisarska świadomość kształtowała się w zetknięciu ze środowiskiem fantastycznym, ale potem powędrowała w swoją stronę.

Mówisz „środowisko fantastyczne”. A co z fantastycznym gettem?

Nie wiem. Swego czasu dużo było na ten temat dyskusji, śledziłem je, brałem w nich udział, ale dziś nie pamiętam już zbyt dobrze, za czym tam orędownałem, i szczerze mówiąc, nie bardzo mnie to zajmuje. Zresztą chyba nie tylko mnie. To przebrzmiały temat.

O jakim nieprzebrzmiałym temacie możemy zatem porozmawiać?

Czyżbym miał sam wymyślać pytania do wywiadu? :) Serio, to nie miałbym nic przeciwko, żeby zamienić parę słów na temat *Drapieżcy*...

Ach, ten ebook o Cairenie wydany przez wydawnictwo RW2010!

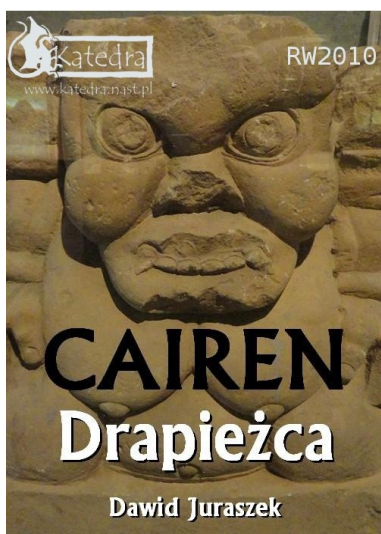
Otóż to.

Jak wymawiać imię głównego bohatera?

Nie pierwszy raz słyszę to pytanie... Przez „c”, nie „k”. Od razu też może wyklaruję, jak wymawiać imię drugiego mojego bohatera literackiego, Xiao Longa...

To za chwilę. Jak to więc z tym Cairenem było?

Znaczy co?



Jak powstał?

Mmm... Dawno, dawno temu Robert J. Szmidt, były rednacz byłego miesięcznika *Science Fiction, Fantasy i Horror*, ogłosił konkurs na opowiadania nawiązujące kreatywnie do postaci Conana Barbarzyńcy, ja bardzo chciałem w tym konkursie zaistnieć, a żeby się wyróżnić, wykorzystałem swoje dalekowschodnie doświadczenia do stworzenia możliwie oryginalnego świata. I *voilà!*

Jak zachęciłbyś czytelników, którzy nigdy się z Cairenem nie spotkali, by sięgnęli po książkę z jego przygodami?

Pytanie z gatunku tych, które wywołują gęśią skórę... No bo jak zachęcić, żeby nie zniechęcić? Ale spróbuję: jest to sążnisty zbiór opowiadań, po części

fantastycznych, po części historycznych, przy których można się i pośmiać, i pobać, i poekscytować, i pograć z własną pamięcią do cytatów i scen ze znanych książek czy filmów... Tyle! Mam nadzieję, że nikogo nie zraziłem, za to wielu – zaraziłem.

(nerwowy śmiech)

Opowiadania nie spotkały się jednak z powszechnym zachwytem i podziwem.

O ho, ho, to by dopiero było – powszechny zachwytem i podziw! No cóż... Z maksymalnym obiektywizmem, na jaki stać twórcę czy wręcz stwórcę tych tekstów, mogę powiedzieć, że wokół tych kilku, które ukazały się w prasie literackiej, było trochę kontrowersji.

Dużo zastrzeżeń było zwłaszcza do języka.

Czy ja wiem, czy dużo?

Przyjmijmy, że dużo.

Niech ci będzie. Rzeczywiście do dziś zdarza się, że muszę niektórym nowym czytelnikom wyjaśniać, o co z tym językiem chodzi. Nie brakuje też jednak ludzi, którym zastosowana gra językowa przypadła do gustu, a przynajmniej za bardzo nie przeszkadza.

Wyjaśnijmy może w końcu, co w tej grze językowej czytelnikom się nie spodobało.

Lepiej ja sam wyjaśnię. Otóż opowiadania pisane są językową mieszanką firmową z obfitym dodatkiem archaizmów, anachronizmów, neologizmów, slangu, żargonu itd. To nie jest język, jakim typowo pisze się fantasy. Ale ja nie chciałem napisać typowej fantasy. Zachęcam, żeby potraktować to jako zaplanowaną i odświeżającą grę z konwencją, a nie błąd autora czy niechlujstwo redakcji i korekty – a takie nieprzemyślane zarzuty się pojawiały.

Postaci głównego bohatera zarzucano też...

A może by tak dla odmiany coś pozytywnego, hm? (groźny pomruk)

Dobrze. Zbiór jest niezmiernie erudycyjny, niemal każde opowiadanie rozgrywa się w innym regionie Dalekiego Wschodu i okolic, nie brakuje opisów lokalnych kultur, cywilizacji, obyczajów, krajobrazów, fauny, flory... Skąd tak ogromna wiedza i umiejętność atrakcyjnego jej przekazania?

Tak... (ukontentowane odchrząknięcie) Częściowo jest to zasługa mojego blisko czteroletniego już pobytu w Chinach, ale przymierzając się do tekstów rozgrywających się w Kambodży, Japonii czy Australii, musiałem liźnąć trochę dodatkowej wiedzy. Chyba niejeden autor w podobnej sytuacji stawiałby czoła pokusie wciskania do fabuł każdej ciekawostki wyszukanej w książkach czy filmach dokumentalnych! Kto zna *Opisanie świata* Marco Polo, relacje Jamesa Cooka i innych odkrywców nowych lądów, albo historię cywilizacji Angkoru, znajdzie w *Drapieżcy* wiele nawiązań do podbojów Czyngis-chana, Epoki Wielkich Odkryć i tak dalej. Koniec końców myślę jednak, że udało mi się wydestylować z historii to, co najciekawsze, bez epatowania zbędnymi szczegółami.

Zapewne. Tylko czy czytelnicy to dostrzegą i docenią?

Nie umieszczałem tych ciekawostek w książce, żeby pochwalić się wiedzą. Od tego jest ten wywiad! (gromki śmiech) One mają kreować klimat, dostarczać atrakcyjnych „lokacji” i „settingów”, i myślę, że to zadanie wypełniają.

Będą kolejne opowiadania o Cairenie?

Miały być. Kto przeczyta zbiór, na pewno dostrzeże, że między dwoma opowiadaniem, powiedzmy, pirackimi, zionie dziura chronologiczna. Miał ją wypełnić osobny tom przygód marynistycznych na fantastycznych odpowiednikach Oceanu Indyjskiego i Pacyfiku. Zaś po wieńczącym książkę opowiadaniu syberyjskim miał nastąpić tom środkowoazjatycki. Zostało mi po tym kilkanaście mniej lub bardziej szczegółowych konspektów, których chyba już nie zrealizuję, bo moment minął. Trochę za długo trwało czekanie na publikację całego zbioru, rzecz rozeszła się po kościach. Dziś nie myślę nawet o pisaniu kolejnych przygód Cairena.

Szkoda.

No...

Co masz aktualnie na warsztacie?

Kiedyś bym wyczekiwał tego pytania, ale teraz... (ciężkie westchnienie) Rozsypały się różne sprawy, po części jest to kwestia tego, że dziś trudniej publikować niż jeszcze jakiś czas temu. Kiedyś mogłem napisać opowiadanie z ufnością, że nie będzie większego problemu z opublikowaniem go w jednym czy drugim piśmie. Teraz rynek się skurczył, a ja pisać na zapas i do szuflady nie potrafię.

Czyli na warsztacie nic?

Tak zupełnie nic to nie. Już rok czy dwa przymierzam się do powieści historyczno-surrealistycznej z epoki powstania styczniowego, która miała być zrazu opowiadaniem do antologii pod redakcją Sławka Spasiewicza, ale wykpiła poza ramy. Gotowa jest z grubsza jedna trzecia objętości, a zarazem dwie trzecie fabuły,

ale żeby ją dokończyć, muszę znaleźć język, jakim ją właściwie opowiedzieć. Długo też już szukam wydawcy dla zbioru opowiadań peerelowskich napisanego wspólnie z Maćkiem Frońskim. Ale fantastyki w tym niewiele.

To ma być zachęta, czy wprost przeciwnie?

Dla jednego zachęta, dla drugiego zniechęta. Wszystkich czytelników nie zadowolę, choćbym się z...

O właśnie, skoro już o zawiedzionych czytelnikach mowa, to twoja debiutancka powieść z 2009 roku *Biały Tygrys* miała mieć kontynuację pod tytułem *Czerwony Ptak*. Tymczasem od tamtej pory cisza.

Bo po planowanym *Czerwonym Ptaku* została tylko króciutka wzmianka na odwrocie strony tytułowej pierwszego tomu. Książka była gotowa, ale wydawca stracił serce do publikacji, a ja od tamtej pory szukam sposobu, żeby rzecz jednak sensownie upublicznić. I chyba wreszcie ostatnio udało mi się coś wykoncypować. Całość przygód Xiao Longa zmieściłem otóż w jednym obszernym tomie pt. *Jedwab i porcelana*, który oprócz *Czerwonego Ptaka* zawiera także podszlifowanego *Białego Tygrysa*. To zamknięta, samowystarczalna całość, kolejnych tomów nie będzie, bo być nie musi. Ale najpierw trzeba znaleźć wydawcę, który będzie w stanie puścić taką cegłę. Czy będzie to wydawca papierowy, czy elektroniczny, tego jeszcze nie wiem. (A my już wiemy :) - przyp. wyd.)

Przypomnijmy może, kto zacz ów Xiao Long...

Lepiej ja sam przypomnę. To bohater moich opowiadań mocno osadzonych w chińskiej historii i literaturze, z których narodziła się potem powieść. Rzecz jest po trosze obyczajowa, po trosze fantastyczna, po trosze też horrorowa, wojenna i miłosna, napisana w stylu tradycyjnej prozy i poezji chińskiej, coś w rodzaju powieści drogi w scenerii orientalnej, z dalekowschodnimi zwyczajami, demonami i tak dalej.

Brzmi ciekawie! Pisząc coś takiego musiałeś zapewne sięgnąć do niezgłębionych pokładów swojej wiedzy na temat dawnych Chin.

Tak, hm, tak... (zażenowane odchrząknięcie)

Na koniec zapytam, jak w końcu wymawiać imię Xiao Longa?

(perlisty śmiech) Przez „ś”, przez „ś”...

Dziękuję za miłą rozmowę.

Dziękuję również.

SELF-PUBLISHING

Agnieszka Żak: *Trójka* – Szymon Adamus, czyli coś dla fanów sf i wartkiej akcji

Recenzja pochodzi z blogu [Votum Separatum](#)



Szymon Adamus: TRÓJKA

self-publishing

powieść science fiction

Jako fanka *Ghost in the Shell* z przyjemnością sięgnęłam po *Trójkę*, spodziewając się kawałka porządnego science fiction. I tak jest, bo świat powieści, XXII wiek, to czas nanotechnologii i nanitów, dzięki którym możliwa stała się implantacja, poprawiająca możliwości fizyczne i psychiczne człowieka. To czas budynków, które stawiane są – dosłownie – w pięć minut. To też era wszędobylskich kamer, które obserwują każdy nasz ruch, a potem tworzą trójwymiarowe projekcje, które można obejrzeć w wieczornym wydaniu wiadomości. Czy raczej – poczuć się jak na miejscu wydarzeń. Jednocześnie, dzięki wspomnieniu o takich drobiazgach jak np. Google Live,

świat *Trójki* wcale nie jest oderwany od naszego.

Bo świat powieści to jednocześnie jej najlepszy element. Zwłaszcza że autor postanowił przedstawić go dosyć różnorodnie, umiejętnie wplatając informacje o nowoczesnych technologiach we właściwą fabułę. Bohaterowie dobrani są tak, byśmy mogli spojrzeć na nanity i proces implantacji z różnych punktów widzenia: tytułowej Trójki, kogoś kto przeszedł bezpiecznie ten proces i teraz nie umie już żyć bez implantu oraz kogoś, kto odbył długą i męczącą rekonwalescencję po nieudanym zabiegu. Dużo tu szczegółów, dzięki czemu całość wydaje się wiarygodna.

Głównym bohaterem jest John Denton, weteran oddziałów szybkiego reagowania na zagrożenia nanotechnologiczne. W trakcie wykonywania zadania jego psychika ulega uszkodzeniu. Jedyne, co może pomóc Dentonowi wrócić do dawnego życia, to nanoimplantacja. Po zabiegu okazuje się, że mężczyzna zareagował na nanity w bardzo rzadki sposób i stał się Trójką – czymś lepszym, doskonalszym... Denton ucieka spod nadzoru, a jego tropem rusza analityk Interpolu Kate Everett i porucznik Paul Mayerson.

W trakcie czytania miałam wrażenie, że stopniowo zmienia się ogólny klimat powieści – zaczyna się od wstępu zapoznającego nas z bohaterem i światem, by przejść przez etap śledztwa do czystej akcji. Na koniec zaś powraca do tego, co najlepsze – klimatów s-f. Bo z jakiegoś powodu najbardziej w pamięć zapadła mi

właśnie środkowa część, czyli akcja w najprostszym rozumieniu. Mamy tu pościgi, wybuchy, konspirację i realizację wydawałoby się niemożliwego do wykonania planu. Dzieje się dużo, ale to dobrze. Odniosłam jednak wrażenie, że jeżdżenie po Europie i ściganie się z czasem troszeczkę przysłoniło to, co jednak najbardziej mi się w tej książce podoba – czyli same nanity. Dlatego bardzo ucieszyło mnie zakończenie, gdzie pojawia się to, co najważniejsze.

Ponarzekałam na dwie rzeczy. Pierwszą będzie Kate, która zrobiła na mnie początkowo wrażenie „obrażonej księżniczki” i choć potem było lepiej, to już mojej sympatii sobie nie zdobyła. Ale to widać kwestia gustu, gdyż nawet Denton ciekawił mnie tylko ze względu na swoją historię, nie zaś osobowość. Po drugie – chwilami (ale naprawdę małutkimi) odnosiłam wrażenie kiczu (vide dziewczynka siedząca na gruzach).

Powieść napisana jest niezłe – czyta się dobrze, choć bez szczególnego zachwyty nad językiem. Swojego ebooka mam z [RW2010](#) i znalazło się w nim trochę literówek (przypominamy, że ta powieść została wydana w trybie self-publishing, a więc bez żadnej ingerencji w formę i treść ze strony jakiegokolwiek wydawnictwa – przyp. wyd.). Zabrakło mi też zalinkowanego spisu treści. Rozdziałów jest sporo, więc można by się o taki spis pokusić.

Mimo lekkiego narzekania na *Trójkę* ostatecznie jestem z lektury zadowolona. Przekonał mnie przede wszystkim przedstawiony świat i zakończenie. Polecam wszystkim fanom science fiction i wartkiej akcji.

Agnieszka Żak: *Hotel dla samobójców* – Jerzy A. Kozłowski

recenzja pochodzi z blogu [Votum Separatum](#)



Jerzy A. Kozłowski: HOTEL DLA SAMOBÓJCÓW

self-publishing

zbiór opowiadań fantastycznych

Hotel dla samobójców to zbiór pięciu opowiadań fantastycznych, które publikowane były m. in. w *Fahrenheitcie* czy antologii *City 1*. Można go pobrać za darmo ze strony [RW2010](#).

Zbiorek zaczyna się klimatyczną miniaturką *On*. Początkowa dziwaczna, bełkotliwa opowieść narratora nie ma sensu, stopniowo jednak okazuje się, że jest to opowieść dziecka w specyficzny sposób tłumaczącego sobie brutalną rzeczywistość, w której żyje.

A skoro tak skutecznie zostaliśmy wprowadzeni w mroczny klimat, możemy przejść do następnego w

kolejności tekstu, którym jest tytułowy *Hotel dla samobójców*. Jego główny bohater, Sebastian Rogowski, jest życiowym nieudacznikiem – kobiety go nie chcą, ma marną pracę, z której i tak go wyrzucają, nie ma czym opłacić rachunków. Na domiar złego w jego salonie umiera jego stary znajomy, z którym nigdy się nie lubili. Sebastian w panice dzwoni do przyjaciela-policjanta, który obiecuje zająć się ciałem, a Sebastianowi każe zniknąć z miasta. Mężczyzna najpierw jedzie do Krakowa, potem zaś, nie bardzo wiedząc, co ze sobą zrobić, decyduje się wsiąść do dziwnego autobusu jadącego do Hotelu dla Samobójców. Przecież jego życie i tak nie jest wiele warte...

Hotel rzeczywiście okazuje się miejscem, w którym można spokojnie popełnić samobójstwo – dostępne są tu wszelkie przydatne narzędzia, jak trucizny, noże i liny. Ten hotel to jednak coś więcej niż zwykle miejsce – zarówno bohater, jak i czytelnik, będą zaskoczeni, gdzie tak naprawdę trafili. Troszkę jedynie rozczarowuje przekombinowane zakończenie.

Najlepsze jednak wydają mi się dwa opowiadania o Złodzieju Dusz. Na początku odносimy wrażenie, że bohater to paparazzi, potem na myśl przychodzi jakaś forma prywatnego detektywa, na koniec jednak otrzymujemy zupełnie inne, fantastyczne oczywiście rozwiązanie. F. robi naprawdę wyjątkowe zdjęcia, zdjęcia na wagę życia. A na jego drodze stanie kobieta, która nie lubi, gdy ktoś bawi się cudzym życiem lub śmiercią, niezależnie od tego, jak szlachetne motywy próbuje przedstawić F. Opowiadanie wciąga.

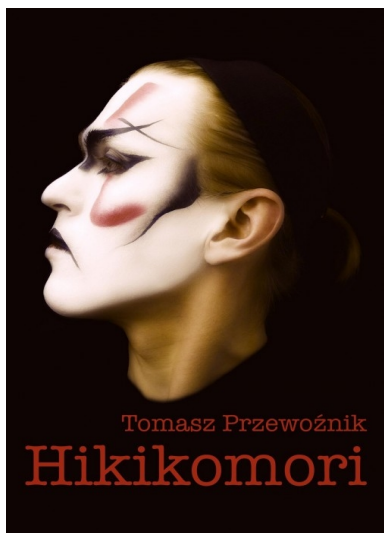
Drugie opowiadanie to *Pan F. i cena zmiany*. Szczerze mówiąc, w pierwszej chwili spodziewałam się, że będzie ono bezpośrednią kontynuacją *F.*, a biorąc pod uwagę, jak tamten tekst się kończy, ciąg dalszy wydawałby się interesujący. Zamiast tego otrzymujemy zupełnie niepowiązaną historię, która – tym razem po kolei i na spokojnie – prezentuje, na czym polega „zawód” Złodzieja Dusz. To bardzo zgrabnie zamknięta całość, moim zdaniem nawet lepsza od samego *F.*, w którym dzieje się przecież znacznie więcej.

Na samym końcu znajduje się *Simulacra* – opowiadanie pochodzące z antologii *City I*, będące „koszmarną wariacją na punkcie popularnej gry *Sim City*”. Sam pomysł jest świetny i aż prosi się, by zrobić z niego szaloną powieść.

Kozłowski ogólnie pisze bardzo dobrze i opowiadania czyta się z dużą przyjemnością – niestety dobre wrażenie psują szczegóły. Autor potrafi popełnić od czasu do czasu szkolny błąd w rodzaju „okresu czasu”, wyraźnie nie lubi się też z interpunkcją. Opowiadania potrafią być jednak na tyle wciągające, że przestaje się zwracać uwagę na drobne błędy.

Katarzyna Tatomir: *Hikikomori* – Tomasz Przewoźnik, czyli powieść niekoniecznie ezoteryczna

Recenzja pochodzi z portalu [QFANT](#)



Tomasz Przewoźnik: HIKIKOMORI

self-publishing

powieść science fiction

Pierwsza powieść Tomasza Przewoźnika, zwycięzcy trzeciej edycji Horyzontów Wyobraźni, reklamowana jest jako powieść ezoteryczna. Dla pewnej liczby osób określenie to będzie najlepszym i jedynym potrzebnym argumentem, by po powieść sięgnąć. W autorce tej recenzji natomiast wywołało skojarzenie z pewnym brazylijskim pisarzem bardzo uduchowionej prozy, co spowodowało, że po *Hikikomori* sięgała raczej z niechęcią. Śmiem twierdzić, że bardzo duża liczba osób na „powieść ezoteryczną” zareagowała podobnie jak ja,

ale nie jest to miejsce i czas na refleksje o tym, czy taką etykietką autor strzela sobie w stopę, czy nie.

Za to na pewno jest to odpowiednie miejsce i czas, by napisać, że powieści *Hikikomori* jest bardzo blisko do genialnej *Gry Endera* Orsona Scotta Carda czy nawet do *Harry'ego Pottera* – a o tym nie dowiecie się z blurba (przez co wielu potencjalnych fanów nie zwróci na omawianą powieść najmniejszej uwagi). Przewoźnik korzysta z popularnego motywu młodego bohatera, który trafia do mniej lub bardziej elitarniej instytucji wychowawczej, gdzie dojrzewa, szlifuje swoje umiejętności i przy okazji odkrywa, że jest pewnego rodzaju wybrańcem. W *Hikikomori* głównym bohaterem jest Jonasz Hosala. Poznajemy go w przeddzień testów adolescencyjnych, dzięki którym młody człowiek może się dowiedzieć, jakie ma uzdolnienia i w jakim zawodzie będzie najlepszy. Dla Jonasza werdykt jest dość zaskakujący – jedną z profesji, która mu wyszła, jest... gejsza. Ale zanim zaczniecie stroić głupie żarty, wiedźcie jedno – w wykreowanej przez Przewoźnika przyszłości gejsza nie ma wiele wspólnego z piękną Japonką zabawiającą gości na przyjęciach; w *Hikikomori* gejszami mogą być tylko mężczyźni. Zdziwienie Jonasza wynika z tego, że profesja ta jest jedną z najbardziej elitarnych. Wymaga wielu umiejętności i odpowiednich predyspozycji, ale także poświęcenia – stąd niewielu decyduje się na wstąpienie na tę ścieżkę kształcenia; Jonasz również od razu ją odrzuca. Los jednak

ma dla niego inne plany i nasz bohater w końcu trafia do domu gejsz Okiya Diamentowy Lotos, gdzie zostanie zamknięty na 20 lat, by zgłębić wiedzę o ludzkim ciele i umyśle i móc później pomagać chorym z całego świata. Tak jak w innych książkach podobny motyw wykorzystujących, tak i tutaj czytelnik będzie razem z głównym bohaterem poznawał zakamarki tajemniczej placówki i przechodził przez kolejne etapy kształcenia.

Co zatem nowego proponuje Przewoźnik w tym przerobionym we wszystkie strony schemacie? W *Hikikomori* tematem głównym jest nie tyle dojrzewanie bohatera w kierunku przyszłego zawodu, co jego dojrzewanie duchowe. Znaczną część fabuły zajmują Jonaszowe próby osiągnięcia Wielkiej Doskonałości. Oznacza to dużo wywodów o istocie buddyzmu, szamanizmu, nihilizmu i innych izmów, ale każdego, kto w tym momencie zapragnął uciekać, gdzie pieprz rośnie, pragnę poinformować, że nie ma w tym ani krzty drażniących, kaznodziejskich, natchnionych oracji. Są to w przystępny sposób zaserwowane podstawy danych religii czy filozofii, które nie tylko po prostu informują, ale zachęcają, by samemu zgłębić poruszane tematy.

Tym, co zasługuje na największą uwagę i uznanie dla autora, jest frapująca wizja świata – społeczno-polityczne tło i zasady, którymi rządzi się wykreowana przyszłość. *Hikikomori* ukazuje świat, w którym coraz więcej ludzi nie radzi sobie z życiem w społeczeństwie. Tytułowa choroba dotyka całej cywilizacji. Pociągnęło to za sobą wiele skutków – jednym z nich jest przekształcenie profesji gejszy i jej ogromna rola w leczeniu odizolowanych od świata osób. Autor kreuje swoją wizję dalej – powszechne samotnictwo doprowadziło w końcu do tego, że społeczeństwo zaczęło się starzeć – coraz mniej ludzi łączyło się w pary i wydawało potomstwo, bo jak tego dokonać, kiedy sama myśl o wyjściu na ulicę doprowadza do palpacji serca? Aby zaradzić ujemnemu przyrostowi naturalnemu, wprowadzono obowiązek posiadania dzieci – i to co najmniej dwóch, aby zapobiegać jedynactwu, które może mieć zgubny wpływ na dorastającego człowieka. Na tym Przewoźnik nie kończy, ale więcej zdradzać nie chcę, by nie odbierać przyjemności z lektury. Myślę, że ani trochę nie przesadzę, jeśli stwierdzę, że dawno już nie spotkałam się z tak ciekawie zaprezentowaną wizją przyszłości u polskiego pisarza – i tak dopracowaną.

Minus widzę właściwie tylko jeden. Na tyle mały, że nie powinien mieć znaczenia dla kogoś podejmującego decyzję o przeczytaniu powieści, ale na tyle spory, że nie chcę go pomijać (mimo że czytałam recenzję z takimi samymi zarzutami i wyjdzie, że zgapiłam). Otóż sporadycznie drażniło mnie użycie języka, i chodzi tu głównie o wulgaryzmy. Ciężko mi przyjąć, że chłopcy zamknięci na kilkanaście lat w placówce wypełnionej uczoną atmosferą, mający kontakt tylko ze sobą i swoimi mistrzami, odzywają się do siebie językiem, którym nie pogardziłby dzisiaj ordynarny gimnazjalista. Nie kupuję tego, i tyle. Natomiast rozkładało mnie na łopatki, kiedy w trakcie ładnej scenki erotycznych uniesień nagle wyskakiwał jakiś wulgaryzm w

miejscu nazwy narządu płciowego. Po co budować estetyczny opis stosunku cielesnego, skoro całą miłosną atmosferę psujemy wulgaryzmem?

Mimo to *Hikikomori* wypada bardzo dobrze. Kreacją świata jestem wręcz zachwycona, fabularnie – zadowolona (zdarzały się fragmenty, kiedy zaczynałam się nudzić, ale akcja szybko wracała do ciekawszych wątków). Powieść dostarcza wielu interesujących zagadnień i refleksji, niekiedy nawet filozoficznie daje popalić, a przy tym napisana jest zręcznie, wciąga i czyta się bardzo szybko. Polecam.

Hikikomori została wydana w formie ebooka, ale kto do ebooków się jeszcze nie przekonał i tylko to mu przeszkadza w sięgnięciu po powieść Przewoźnika, ma teraz okazję zdobyć książkową wersję powieści. Limitowaną edycję można zakupić jeszcze na allegro, do czego zachęcam ebookowych oponentów.

Agnieszka Żak: *Genewska zagadka* – Alicja Minicka

Recenzja pochodzi z blogu [Votum Separatum](#)



Alicja Minicka: GENEWSKA ZAGADKA

self-publishing

kryminał sf

Detektyw Robert Quentin z Centralnego Biura Kryminalnego dla Europejskiej Federacji zostaje wezwany do zbadania sprawy morderstwa cenionego naukowca, profesora Shella. Gdy przybywa do Genewy, okazuje się, że miejscowa policja prowadziła śledztwo tak nieudolnie, że to aż podejrzane. Przed Quentinem staje trudne zadanie dotarcia do prawdy po zatartych śladach.

Kryminalną zagadkę autorka umieściła w świecie przyszłości (alternatywnym?), gdzie zamiast Unii Europejskiej mamy Federację Europejską ze wspólnym dla wszystkich krajów Centralnym Biurem Kryminalnym. Mamy oczywiście postęp technologiczny w postaci chociażby wideofonów czy androidów. Niestety, poza ogólnym tłem, nie znajdziemy tu zbyt wielu informacji o tym świecie. Zdaję sobie sprawę, że książka w pierwszej kolejności ma być kryminałem, denerwowało mnie jednak, że androidy i inne roboty towarzyszą postaciom właściwie cały czas, a w ogóle nie zostały opisane. Ani ich wygląd, ani zadania, ani popularność czy cena... z jednej strony – nie jest to istotne dla właściwej fabuły, z drugiej – to są właśnie przyjemne dla czytelnika smaczki, które budują klimat. Generalnie odniosłam wrażenie, że światu brakuje szczegółowości. A szkoda, bo połączenie kryminału z fantastyką naukową mogłoby wypaść bardzo dobrze.

Sama fabuła jest dosyć ciekawa – skoro mamy genialnego naukowca, to mamy też do czynienia z tajemniczym projektem. Poza tym na scenę wchodzi kolejni podejrzani, dodatkowo w grę wchodzi romans i brudy z przeszłości. Teoretycznie mamy tu wszystko, czego potrzebuje kryminał – łącznie z pomysłowym zakończeniem.

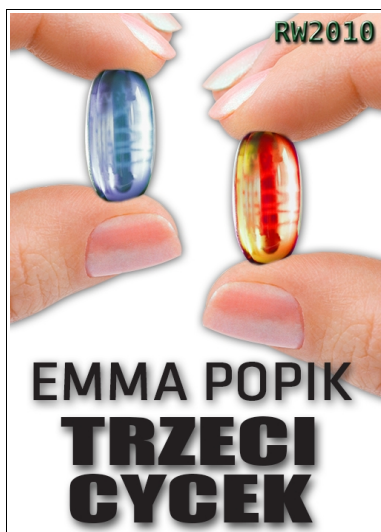
Największą bolączką książki są postaci – bezbarwne, nie tylko nie posiadają żadnego życia osobistego, ale przede wszystkim nie mają żadnych cech charakteru, sposobu mówienia czy zachowania, który by je wyróżniał. Przez to nie budzą emocji. Dodatkowo książka w dużej mierze opiera się na dialogach, natomiast rzadko mamy okazję dowiedzieć się, co „siedzi” w głowach bohaterów.

Książka została wydana w ramach self-publishingu i kupić ją można m. in. w serwisie [RW2010](#), gdzie dostępna jest w formacie pdf, epub i mobi. Przy okazji pochwalę okładkę – widziałam różne samoróbki przy książkach self-publishingowych i bywają one „piękne inaczej”. Okładka *Genewskiej zagadki* jest za to całkiem ładna (ta wykonana przez Pawła Rosołka, gdyż istnieje jeszcze druga, gorsza wersja).

Powieść (dosyć krótką) czyta się przyjemnie, pozostawia jednak niedosyt. Postaciom przydałoby się dodać trochę kolorów, można by też szerzej przedstawić świat. Dobrze jednak, gdy kryminalnej zagadce towarzyszy ciekawe tło, a tu wyczuwam zmarnowany potencjał.

OPOWIADANIA

Emma Popik: Trzeci cycek



Zbudził się z okropnym przeświadczeniem, że jest kobietą. Nie otwierając jeszcze oczu, położył ręce na klatce piersiowej. Wyglądała inaczej niż zazwyczaj; nie była płaska i twarda, ale wprost przeciwnie – miękka, z jakimiś wypukłościami. Bardzo go to zdziwiło.

– Co to może być?

Rozpostarł dłonie i okrężnymi ruchami przesuwając nimi po swoim torsie. Po lewej i po prawej stronie wyczuł coś miękkiego, wypukłego. Obmacał palcami dokładnie: niewątpliwie sterczały tam dwie okrągłe banie. Ich sprężystość i kształt sprawiły, że otrząsnął się z resztek senności. Niemniej potrzebował stymulacji. Wyprostował lewą nogę i paluchem dotknął panelu sterującego. Był stary, jak wszystko w jego pokoju,

krzywo wetknięty w płytę styropianu. Utrafił w klawisz muzyczny. Zabrzmiała głośna, rytmiczna muzyka: bam, łup, bam, łup. I znowu: bam, łup, a potem szybciej: bam-łup-bam-łup-bam-łup.

Jego zamroczony od wczoraj mózg orzeźwił się, ale tylko trochę. I mimo walących mu w czaszkę bamłupów, działał tylko na parę procent.

„Co się wczoraj wydarzyło, skoro jestem taki śnięty?”

Nic mu się jednak nie kojarzyło.

Wcisnął więc paluchem lewej stopy dwa razy klawisz muzyczny i zapadła cisza. Dopiero teraz usłyszał szum, jaki wypełniał jego czaszkę. Nie zastanawiał się nad nim zbyt długo. Najbardziej interesowało go zbadanie wypukłości na klatce.

„Wczoraj wieczorem ich tu nie było”.

Próbował sobie przypomnieć, jak trafił do swojego pokoju. Przyprowadził go chyba Cymbergaj. Pamiętał ręce, które go obmacywały, i to też było podejrzane. Cymbergaj nigdy tego nie robił, kumplowali się przecież. Wciąż jednak czuł uszczypnięcia jego palców, i to właśnie w miejscu, gdzie wyrosły miękkie bańki. Potem nic, czarna noc mózgowa.

Mimo czarnej waty w głowie przypomniawszy sobie dziwne słowo, które wypowiadali kumple, chichocząc i trącąc się łokciami. Cycki.

„Mam cycki! Ja!”

Nagle czarna wata się rozdarła i zapanowała przeraźliwa jasność.

„Jestem kobietą! Ale... dlaczego?”

Masa pytań zaczęła bamłupać jego czaszkę. Jak to się stało, że zmienił płeć? Nie miał pojęcia. Uniósł się na posłaniu i oparł głowę o ścianę. Zapatrzył się przed siebie.

Nie widział wzorków, w jakie ułożyła się sprasowana sterta śmieci, z której wykonano ściany, choć zawsze z zaciekawieniem śledził wzrokiem wymyślne kształty, tak rozwijające wyobraźnię. Jak żyć z tymi balonami? Do czego one służą? Nie wiedział. Nigdy nie zadawał sobie podobnych pytań. Nie miał problemów. I o to chodziło, chociaż wcześniej nie zdawał sobie z tego sprawy. Cieszyło go życie, jakie prowadził. Było takie ekscytujące – szczególnie wieczory.

Wczoraj również bawili się w klubie. Super było, muza waliła zewsząd, różne rytmy, żeby ich wyautować, i tak się stało. Wszyscy byli out i off. Dopiero teraz, głaskając swoje bańki, zastanawiał się: kim właściwie są ci wszyscy. Cymbergaj był chłopakiem, w klubie mówił: „Uważaj, Feler, jestem facetem. Ty też, ale mnie to kręci”. Ale co miał na myśli? I dlaczego dziwnie się uśmiechał, kiedy wypowiadał jego imię?

„Czy te cycki wyrosły mi w ciągu nocy?”

Jeżeli odkryje, co spowodowało ich wyrośnięcie, być może zdoła odwrócić skutek. No bo bardzo źle się z nimi czuł, chociaż z przyjemnością gładził dwie miękkie bańki. Jego palce się cieszyły, mózg nie mógł ich zaakceptować. Cała jego osobowość wstrząsała się i usiłowała zrzucić z siebie tę nową świadomość, mówiącą: jestem kobietą.

Wykielkowały, a przyczyną musiał być poprzedni wieczór. Ale przecież upłynął zwyczajnie.

Był w klubie jak co wieczór, z całą paką kumpli. Dużo pili, jak zwykle. Nie lubił chlania, driny mu nie smakowały. Pił, żeby się nie odróżniać. Musiał być taki jak inni, żeby go nie odrzucili. Wyrzucenie poza grupę oznaczało koniec, śmierć. Nie istniałeś. A więc się starał, pił. Brał cukierki, które wprawiały go w wesoły nastrój. Muzyka po nich wydawała się jeszcze głośniejsza. Wszystko wokoło wyło, było super. Światła migąły, ciach, ciach, szalały migotaniem milionów wrzaskliwych punktów, dawały po oczach. Podskakiwali, krzycząc. Muzyka waliła, światła piszczwały w mózgu i coś w nich samych zawodziło dziko. Było super, jeszcze chcemy, jeszcze mocniej i więcej.

Wczorajszego wieczoru coś się jednak zdarzyło.

Kolesie się śmiali, gadając o jakiejś tabletkce. Była mała, a rozpaliała. „Bierz ją na gwałt” – radzili. Bo nikt jej nie widział; rozpuszczała się szybciej, niż mogłeś spostrzec.

Wrzucało się ją do kieliszka z oranżadą.

Tańczyli hopsango, połączone ze wskakiwaniem na plecy osoby z pary, więc umęczeni, przewracali się na podłogę, i znowu hop, i kołysanego na leżaco. Zabawa była wesoła, toteż nie zwracał uwagi na ich słowa. Tym bardziej że nikt nie kończył zdania i nie wyjaśniał, o co chodzi z tym gwałtem. Co to jest, jak to się robi? Każdy, nawet jego największy przyjaciel Cymbergaj, robił tylko mądrą minę i mówił: „No

wiesz”, dodając gest: uderzenie pięści o wnętrze dłoni. Feler nie rozumiał, co znaczą te dziwne grymasy i gwałtowne ruchy.

Musi zapytać Cymbergaja o sprawy związane z płcią, gdyż jego dotąd te kwestie nie interesowały. Nie miał problemu, jako że był antypłciowcem, czyli wolnym dzieckiem tej ery, co wciąż powtarzano. Ale Cymbergaj wiele wiedział i właściwie wszystko potrafił wyjaśnić. Toteż pod opieką takiego kumpla Feler mógł się swobodnie oddawać zabawie.

Żyło im się pięknie i na luzie w olbrzymim domu z odpadów, którego nie opuszczali. Co wieczór balanga. Poprzedniego wieczoru pił więc jak zawsze. Szybko zresztą odpływał i podobno dopiero wtedy zaczynała się zabawa. Tak mówiono, ale ona nie zachowała świadomości na ten temat, a do pamięci nie chciało się jej zagłębiać. Raz spróbował i nie było ciekawie. Ale bawił się jak wszyscy, cóż innego miał do roboty, kiedy wszystko robiły roboty, ha, ha! To taki dowcip, który wszyscy powtarzali. Gra półsłówki, czy jakoś tak.

Co się działo z jego mózgiem? Zaczynał mówić o sobie: ona.

Znowu obmacał balony na klatce piersiowej. Na pewno należały do niego i były połączone z jej ciałem integralnie. To na tym polegał gwałt? Był nim bez wątplenia. Zgwałcono jego poczucie tożsamości i obywatelskie prawo wyboru bycia antypłciowcem – to powszechne i naturalne prawo w Sołecie, czyli świecie, gdzie rządziła wszechmądra rada obywateli. I wszystko było regulowane przepisami, i wszędzie panowała wolność.

– Ależ tak! To prawo naturalne – powiedział z mocą.

Siedział w norze, czyli u siebie. Ekran płynął na stendbaju, ale nawet nie chciało się jej pomyśleć: włącz się.

– Tak, chcę się nazywać kobietą – powiedziała do siebie buńczucznie, ale przecież desperacko, bo nie dano mu wyboru. – Wolno mi, co nie?

Miał do tego absolutne prawo. To ono gwarantowało każdemu swobodny wybór płci. Płeć to świadomość. Ciało jest wtórne do umysłu, dostosowuje się do zamiaru. No, może nie tak od razu. Mózg trzeba nieco ponaglić, ale od czego są nauka i tabletki?

Naukowcy mówili o posłuszeństwie materii w stosunku do idei. Na początku było słowo, czyli logos. Wszystko się przecież z niego wzięło – nikt nie powie złego słowa. Owszem, był jakiś niedowarzony ewolucjonista. Zajmował wysokie stanowisko w Sołecie. Twierdził, że Homo Humanus jest wynikiem ewolucji ciała. Podobno praczłowiek żył kiedyś na drzewach jako czteroreki. Odżywiał się owocami. I nagle zszedł na ziemię. Niby po co? Jeśli nie było tam jedzenia, a tylko dzikie animalsy, dla których on sam stanowił pożywienie?

No i gdy znalazł się na tej glebie, stojąc na czterech rękach – jak twierdzą ewolucjoniści – zaczął się prostować, prostować, aż stanął na dwóch tylnych rękach,

które zdążyły się tymczasem zamienić w nogi. No to jak miał u góry dwie wolne ręce, wziął kij. I zaczął wszystkim dowalać. Tak oto rzecz teoria ewolucji. Głupia i nielogiczna, ale była obowiązującym poglądem w okresie przednaukowym.

A on miał dwa balony z przodu, będące najwyraźniej produkcją jej własnego organizmu.

– Do czego to może służyć?

Z tym pytaniem podniósł się z barłożka. Zaniepokojony zdradą własnego ciała, myślała tylko o tym, co mu się przytrafiło, toteż zaniedbywał codzienną rutynę.

Stanął przed płynnym ekranem i przyjrzała się własnemu odbiciu. Patrzył prosto na siebie. Nagle coś zaniepokoiło go jeszcze bardziej. Balony były zakończone wypustkami.

„Może to jakieś gniazda wtykowe? A reszta służy po prostu jako osłona z tkanki tłuszczowej”.

Takie wyjaśnienie nieco ją uspokoiło. W tej chwili jednak dojrzał coś naprawdę przerażającego: końcówki były czerwone! A wiedział jedno na pewno: czerwone jest spowodowane nadmiernym ukrwieniem. Dwoma palcami nacisnął bańki, ale krew nie trysnęła wbrew jej oczekiwaniom.

Odwrócił się bokiem do ekranu i przyjrzał się sobie od tej strony, potem stanął drugim bokiem. Z obu wyglądał tak samo okropnie.

„Co z tym zrobić? – zastanawiał się. – Muszę to jakoś ukryć, bo co kumple powiedzą?”

Jakby na zawołanie, usłyszał dźwięki: pyk, pyk, pyk. To sąsiad, mieszkający obok na tej samej zszywce, wydostawał się ze swojej nory, deprogramując proszyfrator.

Trzeba pokazać się koledze. Jeśli nie wyjdzie z nory, będzie miał odwiedziny. Spotykali się bowiem każdego ranka. Wymieniali kumplowskie rytualne gesty, jak to faceci. Potem szli do szkoły. Nałożono na nich niestety ten upokarzający obowiązek. Do nich szkoła nie przychodziła jak do innych. W dodatku, co wszyscy uznawali za jeszcze większy bezsens, pobierali w szkole naukę. Żadne z nich nie widziało takiej potrzeby, ani ona, ani jej kolega. Po co się w ogóle uczyć! To absurd! Kompletnie marnowanie życia, skoro całą potrzebną wiedzę miałeś na kliknięcie. Chcesz, klik, wiesz.

– Otwieraj! – burknął w stronę drzwi.

Zagarniając odzież na piersi, wyszedł na zszywkę. Nie musiał się nawet rozglądać. Tuż obok, przy wejściu ze starej lodówki w nowym dizajnie, stał Cymbergaj. Pochylony, oparł się jedną ręką o ściankę, a drugą walił w konia na ekranie. Jak zwykle grał w wyścigi na plejerze. Ich klawiatury wklejono na ścianki jako tapetę.

Miliony starych, sprasowanych samochodów ściśnięto do gęstości styro, aż utworzyły płyty, które poukładano jedne na drugich i zszyto klamperami, by

utworzyły wielopiętrową budowlę. Podzielono ją na nory, będące niegdyś kabinami aut. Służyły im jako kwatery. Tu mieszkali. Było super! Totalna swoboda! I wszędzie pełno zabaweczek. Mrugały do ciebie z ekraników na ścianach. Słodkimi głosikami zachwalały swoje wdzięki i ponęty.

Czekał na wybuch śmiechu kolegi na widok jego niespodziewanych deformacji. Zacznie rzeć jak jeden z koni galopujących przez ekran, kiedy tylko zobaczy szpecące wypukłości.

Ale ten stał z pochyloną wciąż głową, ponagłając konia do szybszego biegu. Wreszcie meta, koniec wyścigu. Wygrał oczywiście. Odwrócił głowę i dopiero wtedy spojrział. Zaraz uciekł wzrokiem w bok, nie wybałuszył oczu ze zdziwienia, nie zarżał z uciechy. Wprost przeciwnie, Cymbergaj powitał go jak zwykle:

- Heja jeja!
- Jeja heja! – dał odzew zdziwiony Feler.
- To spadamy.

Cymbergaj wezwał windę. Była obszerna. Zadaptowano na nią luksusową limuzynę, o ścianach obitych białą skórą, trochę pocerowaną. Powieszono na nich lustra złożone z kawałków, które aktualnie powielały jego wydęte odbicie. Czyż kumpel tego nie widzi? Widzi! Ale dlaczego nie komentuje? Zaciśnięte pięści wsadził do kieszeni i wbił wzrok w podłogę. W pewnej chwili chciał coś wyznać, nawet otworzył usta, ale zaraz je zamknął, jakby nie potrafił się przemóc. Ciekawe, jakąż to straszną tajemnicę krył przed nim przyjaciel?

Spadali windą, zatrzymując się na każdej zszywce.

Dosiadali się inni lokatorzy samochodowiska. Winda się zapełniała, kawałki potłuczonych luster odbijały pasażerów. Jedni ze sobą rozmawiali, inni milczeli, gapiąc się przed siebie niewidzącym wzrokiem. Ich spojrzenia ześlizgiwały się po nim i omijały bez słowa. Ignorowali nawet jego odbicie w lustrze. A więc izolacja! Jako czarna owca został wyrzucony ze społeczności. Był sam, choć w tłumie. Jakże strasznym piętnem okazał się znak płci! Te dwa cycki.

Nie wysiadł na zszywce, na której mieściły się sale szkolne. Po co iść do szkoły? Niczego się w niej nie dowie. Niczego, co mogłoby pomóc zrozumieć własny stan i jego przyczynę. Kiedy więc kolejne osoby przekraczały próg windy, patrząc pod nogi, on stał z podniesioną hardo głową.

„Nie dam się! Jestem wszak mężczyzną!”

Kiedy został sam, spojrział sobie w oczy w lustrze.

„Kiedy dokonałem wyboru?” – usiłował sobie przypomnieć. Zbliżał się wtedy dzień jego urodzin. Kończył siedem lat. Wszyscy mu mówili, że czas się zdecydować. „Na co?” – pytał roboty, które zajmowały się zaspokajaniem potrzeb wychowawczo-społecznych. „To właściwie drobiazg – odpowiadały. – Ale bądź mężczyzną”. Metaforę uznał za ważną, toteż ją zapamiętał. W dniu urodzin stanął przed lustrem i spojrział sobie w oczy. Powtórzył zapamiętane słowa. Nic się nie

stało. Przy śniadaniu jednak podsunęto mu spodeczek z dużą czerwoną tabletką. „Wybrałeś! – powiedział robot z uśmiechem. – Połknij”. Posłuchał i od tego dnia przy każdym śniadaniu podsuwano mu talerzyk z taką samą dużą czerwoną pigułką. Był posłuszny. Niczego nie rozumiał, zresztą codzienna rutyna nie uległa zmianie.

Teraz więc, patrząc w swoje oczy odbite w lustrze, przypomniał sobie dzień siódmych urodzin. Po policzku spłynęła łza. Nie otarł jej i nie powtórzył: „Bądź mężczyzną”.

Gdy winda się zatrzymała, opuścił jej lustrzane wnętrze. Znalazł się akurat na zszywce tuż przed drzwiami kawiarenki bibliotecznej. O tej porze wszystkie stanowiska świeciły pustkami, co bardzo jej odpowiadało. Kiedy tylko usiadł w boksie, komputer się włączył.

„Płeć” – napisał palcem na ekranie.

„Determinizm płciowy” – wyświetliła się informacja. Czytał trudne słowa, wielu nie rozumiał. „Koncepcja okresu niewolnictwa, zakładająca przywiązanie wolnej jednostki ludzkiej do określonego prenatalnie – a nie nabytego z wyboru – zespołu cech fizjologicznych. Fałszywy pogląd, całkowicie zarzucony wraz z postępem nauki i rozwojem prawodawstwa w Sołecie przyznającego każdej osobie niezbywalne prawo wyboru płci, będące fundamentem ustrojowym i podstawą godności ludzkiej, gwarantowane powszechnie przez Globalną Radę Sołetu”.

Po wyświetleniu się definicji naukowej zadano pytanie: „Czy chcesz obejrzyć archaiczne podobizny typowych przedstawicieli płci?”.

– Wal!

Na ekranie pokazały się wielkie różowe usta, które powiedziały: „cmok”. Potem zobaczył wymalowaną twarz okoloną puklami niemal białych włosów. Kobieta mrugnęła okiem i zatrzepotała rzęsami.

„Typowe spojrzenie bedroom eyes – wyjaśnił komentarz. – W okresie niewolniczego determinizmu płciowego wszystkie zachowania kobiet ukazywały seksualność i stanowiły zachętę do uprawiania aktów. Kobiety od dziecka były edukowane w kierunku zmuszania mężczyzn do agresji seksualnej”.

Teraz kobieta wypięła swoje dwa balony.

– Ale giganty! – wykrzyknął.

Spod piersi wyłoniła się wąska talia, a poniżej duży pagórek brzucha. Kobieta nagle się obróciła, prezentując biodra wielkie jak kanapa i dwa pośladki, które też były olbrzymie. Zakołysały się w obie strony i zatrzęsły.

„Typowa motoryka kobiet nakierowana na wyzwianie agresji płciowej” – wyjaśnił komentator.

– Ciekawe, czemu pragnie być napastowana? – mruknął.

„Czy chcesz obejrzyć typowego mężczyznę tamtego okresu?”

– No!

Na ekranie pojawiła się kreatura z nadrozwojem masy mięśniowej. Baniaste ramiona, szeroka kłata, a na niej dwie były potężnych mięśni piersiowych.

– Hura! – wykrzyknął. – Jestem mężczyzną!

Klasnął w ręce.

– Zoom!

Kwadraty piersi wyjechały niemal poza ekran. Wyglądały jednak zdecydowanie inaczej niż u niej. Pomacał swoje balony – nie były kwadratowe i nie wydawały się nawet trochę tak twarde jak u mężczyzny z epoki determinizmu niewolnictwa płciowego.

– Kim jestem?! – wykrzyknął pytanie.

Łzy napłynęły mu do oczu.

„Mężczyzna nie wie, co to łzy”.

Zerwał się i jednym uderzeniem pięści powalił krzesło na podłogę.

– Żadna kobieta tak nie potrafi. Jestem facetem!

W pośpiechu wybiegł z kawiarenki bibliotecznej. Uciekał nie tylko przed sobą nieokreślonym, ale też przed karą za niszczenie mienia.

– Do góry? Nie!

Popędził stopniami w dół. Były to zręby z niewykończonych zszywek. Tu, na korytarzu wiodącym do podziemi, oszczędzano na solidności. Mimo to ich domosiedle prezentował się imponująco, będąc najwyższym stadium rozwoju wzornictwa przemysłowego.

Zaprzęgnięto do pracy wielkich twórców, by zużytkowali odpady cywilizacyjne i zamienili je w wygodne siedziby. Takich domów-osiedli było bardzo wiele, ale on o tym nie wiedział. Nigdy dotąd nie opuścił swego królestwa. A teraz podążał wciąż w dół po stopniach, z których wystawały artystycznie nieprzetworzone opony i całe płyty główne.

Szedł coraz wolniej i wciąż bardziej zaciekawiony. Był jak królewicz, który wyruszył na poszukiwanie złotego jabłka. Kiedy wróci z nim w dłoni, zatrzyma je na zawsze wraz z tronem po ojcu. Obejrzał się niepewnie. Było tu ciemno. Ściany nie błyskały ekranami plejerów, a rzadko rozmieszczone pola lumenów wydzielały mdłe światło. Szedł pomimo strasznej ciszy. Posuwał się w głąb lochów, rozglądając nerwowo na boki. Bał się, ale właśnie dlatego zanurzał się coraz głębiej w mrok i nieznane korytarze. Chciał udowodnić sobie, że jest mężczyzną. „Pokonam strach, jestem dzielnym odkrywcą”.

Mimo to chciał wybuchnąć płaczem, zawrócić i uciec od nieznannej ciemności i obcej przestrzeni. O mało co nie zaczął obgryzać paznokci ze zdenerwowania.

– Nie chcę być babą.

Łkał i szedł.

„Kim jestem?!” – zadawał sobie wciąż to samo pytanie.

Czuł się rozdarty, nie umiejąc znaleźć odpowiedzi. A co gorsza, nie wiedział, kim chce być. Szarpany sprzecznymi pragnieniami, czuł, że zaraz oszaleje. Był sobie obcy, nie mógł się wewnątrznie odnaleźć. Coraz bardziej tracił poczucie tożsamości.

Dotarł do obszernej piwnicy, wytapetowanej gazetami. Obrazki na ścianach przyciągnęły jego uwagę. Pomiedzy kolumnami tekstu wydrukowano kolorowe fotografie. Przedstawiały mężczyzn i kobiety w dziwnych pozach. Nie mieli na sobie ubrań i oplatali się ramionami i nogami. Wyglądali jednak zupełnie inaczej niż na kompie z kawiarenki bibliotecznej.

Przyglądał się fotografiom, przechylając głowę na ramię.

– Hej, mała! – usłyszał chrapliwy głos i odwrócił się gwałtownie.

Przed nim stał dziwny człowiek. Skóra jego twarzy była mocno pognieciona. Nigdy takiej nie widział w ich olbrzymim domu-osiedlu. Mieszkali w niej tylko ludzie o gładkich twarzach i płaskich torsach. Mężczyzna tulił do piersi butelkę z resztką płynu wydzielającego ostry zapach.

– Skąd wiesz, że jestem kobietą?

– He, he! Widać!

– Co widać?

– No, cycki. – Wyciągnął ku niej rękę. – Dasz pomacać?

– A po co?

Mężczyzna napił się z butelki i zamyślił głęboko, patrząc na nią wybałuszonymi oczami. Pociągnął jeszcze jeden łyk, większy. I widocznie ten ostro pachnący płyn rozjaśnił mu w głowie.

– Nie wiesz, kim jesteś, co?

– Nie mogę już tego wytrzymać. – Chlipnęła. – Oddałbym wszystko za odpowiedź.

– Mogę to sprawdzić.

– Jak?

– Zabawimy się w doktora, maleńka.

Odstawił butelkę na podłogę i popchnął Feler na barłóg stojący pod ścianą.

– Popatrz – wskazał fotografie na ścianach – oni właśnie sprawdzają, kim są.

Położył ją na barłogu i zdjął z niej luźną szatkę. Wybałuszył oczy jeszcze bardziej i cmoknął ustami.

– Ho, ho! Będzie robota, że hej!

– Jaka?

– Pokażę ci, tylko leż spokojnie.

– Potem będę wiedział?

– Mm – mruknął i przygniół ją mocno, by się przypadkiem nie wyrwała.

Rzeczywiście, robota trwała długo, ale nie dopytywała się, kiedy mężczyzna skończy. Ogarnęły ją słodkie doznania. Czuła się naprawdę bardzo dobrze i chciała,

żeby nowy znajomy powtórzył te dziwne ruchy, które teraz imitowała, aby go pobudzić do reakcji. Na próżno.

Mężczyzna głośno zachrapał. Zasnął, leżąc na niej. Odepchnęła go i wstała. Szarpnęła go kilkakrotnie za ramię, ale się nie zbudził. Dalej chrapał.

„Będę musiała przyjść do niego jeszcze raz, żeby mi wyjaśnił”.

Mówiła do siebie w rodzaju żeńskim, ale już mu to nie przeszkadzało. Wręcz przeciwnie. Nagle zginął cały jego poprzedni niepokój. Wahanie ustąpiło. Już nie był zagubiony. Nie targały nim sprzeczne myśli i pragnienia.

– Jestem kobietą! – rzekł do siebie. – To przyjemne!

Wspominał to, co się przed chwilą wydarzyło, i był szczęśliwy.

Pomyślał o swoim najlepszym kumplu. Powie mu o wszystkim, a on na pewno zrozumie. Otworzy przed nim swoją duszę i wyzna, co zrobił. Nie wątpił, że przyjaciel zaakceptuje jego postępek. Jakby w odpowiedzi na swoje pragnienia, usłyszał wołanie:

– Jesteś tam!?

Odwrócił się ku wyjściu z piwnicy. Zastukały kroki i wbiegł przerażony Cymbergaj. Jego twarz była biała ze strachu. Zobaczywszy Feler, podbiegł i pochwycił go za ramiona.

– Nie rób tego więcej!

– Co masz na myśli? – zapytał zaniepokojony. Czyżby zrobił coś złego? Może ta zabawa w doktora była nielegalna?

– Nie znikaj!

Feler odetchnął z ulgą. „Tylko tyle!”

– Martwiłem się o ciebie.

– Dlaczego? – Feler nie mógł odgadnąć powodu troski.

– Jeszcze nie zrozumiałeś?

– O co ci chodzi?

Cymbergaj spojrzał mu głęboko w oczy i przyciągnął do siebie, tak samo jak tamten mężczyzna.

– O to – wyszeptał. – Jesteś dla mnie najważniejszy na świecie.

– Jestem twoim kolegą – potwierdził Feler.

– Czymś więcej – szeptał namiętnie Cymbergaj.

– Przyjacielem?

– Nie to miałem na myśli – odrzekł chrapliwie.

– Zabawimy się w doktora, maleńka? – Feler żartobliwie zacytował usłyszane zdanie.

Cymbergaj odsunął go na odległość ramion i spojrzał badawczo w oczy.

– Skąd o tym wiesz? – W jego tonie zabrzmiały podejrzliwość i gniew.

Feler postanowił zachować w tajemnicy swoją przygodę. Zamiast wyjaśnień wskazał obrazki na ścianach. Kolega puścił go, a nawet lekko odepchnął, i spojrzał na obejmujące się pary.

– Rozumiesz, co oni robią? Od kiedy?!

Feler przestraszył się, słysząc w głosie Cymbergaja wściekłość. Przecież przed chwilą robił dokładnie to samo, co ludzie na obrazkach. Odwrócił się od kumpla, by ukryć swoje myśli, i ruszył ku wyjściu. Kiedy przekroczyli próg, Cymbergaj powiedział nagle:

– Zapomniałem czegoś.

Szybko zawrócił, znikając w obszernej piwnicy.

Feler czuł się rozczarowany i zdradzony przez przyjaciela, toteż nie oglądając się za nim, ruszył korytarzem w stronę windy. Wkrótce znalazł się w jej oświetlonym wnętrzu, pośród ścian wyłożonych popękkanymi lustrami. Powiełały jego odbicie, ale tym razem obraz wydał mu się miły. Wyglądał tak samo jak kobiety na zdjęciach w piwnicy.

„Jestem piękną kobietą” – pomyślał.

Przeglądał się w lustrze, podziwiając się z boku oraz z tyłu. Z każdej strony witał w sobie piękną kobietę. Zachwycony swoim wyglądem, zapomniał zupełnie o przyjacielu, który właśnie wbiegł do windy.

Cymbergaj oparł się o ścianę. Dyszał ciężko, jego włosy były zmierzwione, a twarz miała dziki wyraz. Oczy obracały się nerwowo, jakby wypatrywał napastujących go strachów. Nad prawą brwią widniała czerwona kropla. A druga, o wiele większa, splamiła buty. „Co się stało?” – zastanawiał się Feler.

Ubranie Cymbergaja wydzielalo taki sam ostry zapach jak ciecz w butelce, z której popijał tamten mężczyzna.

„Co on zrobił?” – zaniepokoił się Feler.

– Czyja to krew? – zapytał głośno.

Cymbergaj podniósł dłoń do ust i wyssał ranę.

– Skaleczyłem się o szkło – powiedział.

Kopnął w drzwi windy, by się zamknęły. Potem podszedł do Feler i pochwycił ją za ramiona. Ale jego uścisk był tym razem bolesny.

– Dlaczego to zrobiłeś? – rzekł z wyrzutem.

– Co takiego? – przeraził się Feler.

Patrzył z ukosa na czerwoną plamę na dłoni kolegi. Bał się tej krwi i tego, co przyjaciel uczynił. Ale dlaczego zabił mężczyznę z piwnicy?

– Myślisz o tamtym człowieku? Że ja i on...

– To już nieważne – rzekł Cymbergaj z pogardą. – Dbałem o ciebie. Byłem twoim przyjacielem. Kimś więcej, bo mentorem. Wychowywałem cię, kształtując twoje myśli i tworząc pragnienia, a ostatnio... – Przerwał, jakby zastanawiając się,

czy uczynić wyznanie. – Chciałem cię obudzić, bo tkwisz w szklanej trumnie niby śpiąca królewna. Miałaś być moja i tylko moja.

– Przecież jestem twoim kolegą...

– Ktoś mnie oszukał, a może w ciemności pomyliłem tabletki. Muszę to sprawdzić.

– O czym ty mówisz?

– To była po prostu niewłaściwa kalkulacja. Pomyliłem się

– Traktujesz mnie jak wyliczenie?

– Odchodzę. Muszę to załatwić.

– Ale co?

– Nie dam się kiwać, jestem facetem.

Obrócił się, nie odpowiadając na pytanie. Kazał windzie otworzyć drzwi. Gdy wysiedli, zaczął iść szybko i po chwili zniknął w ciemnym korytarzu.

Feler została sama. Rozejrzała się bezradnie. Daleko nie zajechali. Ściany były postrzępione, ubite ze starych kołder. Nawet tu, w podziemiach, ekrany włączały się regularnie i oświetlały nieco mroczne zakamarki. Mimo to jej niepewność nie mijała. Bała się obejrzeć, by nie zobaczyć tamtego mężczyzny, leżącego na swoim barłogu. Na jego gardle widnieje czerwona rysa, z której wciąż bucha krew. Na piersi leży zakrwawiona szyjka z rozbitej butelki. „Jak Cymbergaj to zrobił?” – zastanawiała się. „Szybko” – odpowiedziała sobie. Znowu widzi, jak Cymbergaj wbiega do piwnicy, a tamten unosi się na barłogu, pytając: „O co chodzi, kolego?”

W odpowiedzi napastnik chwytą leżącą obok butelkę i ją rozbija. Alkohol się leje, a zaraz potem bucha krew z rozoranego gardła mężczyzny. Ten opada na legowisko, chwytając się za szyję. Z charczeniem usiłuje nabrać oddechu, lecz zamiast tego przez ranę wydobywają się różowe banieczki powietrza.

Cymbergaj stoi chwilę nad konającym. Jego twarz wyraża pogardę, kąciki ust wyginają się w dół. Rzuca szyjkę butelki na pierś umierającego, kalecząc się o szkło, ale rana na palcu nie ma znaczenia. Odwraca się i zamasyście odchodzi. Brzegiem swego ubrania dotyka strumyka krwi kapiącej na podłogę.

Feler obejrzała się ze strachem, jakby w obawie, że znowu zobaczy Cymbergaja, wychodzącego z ciemności z tym okropnym wyrazem twarzy. Przeszył ją dreszcz i szybko ruszyła przed siebie, uciekając od przerażającego obrazu zbrodni popełnionej przez jej przyjaciela.

„Dlaczego to zrobił?”

Czuła, że ona stanowiła przyczynę, a właściwie to, co robiła z tamtym mężczyzną.

„Ale dlaczego Cymbergaja aż tak to rozwścieczyło?”

Nie umiała sobie tego wytłumaczyć. Idąc, oglądała jednym okiem program wyświetlany na monitorach umieszczonych wzdłuż korytarza. Należał do typowych filmów, rytmicznie powtarzanych, kierowanych do osób z różnych warstw

społecznych: do młodzieży, biznesmenów, artystów. A ten, który sekwencjami ukazywał się jej oczom na kolejnych monitorach, w miarę jak wędrowała korytarzem, kierowano do kobiet posiadających dzieci. „Matko, spójrz w oczy swego dziecka, by sprawdzić, jaką płć pragnie wybrać. Jeżeli ukończyło już siedem lat, prawo zapewnia mu swobodę w tej dziedzinie. Nie pozbawiaj swego dziecka zdobyczy wolności. Daj mu tabletkę. Kuracja jest całkowicie bezpieczna dla zdrowia i bezpłatna”.

Feler przypomniała sobie swoją kurację. Nie miała pojęcia, co to w ogóle jest płć. Poczwała nagłe ukłucie w sercu; zrobiono jej wielką krzywdę. Jak mogła wybrać, skoro nie wiedziała, co to znaczy być kobietą i jak to jest być mężczyzną. Jeszcze teraz, choć czwała się dorosła, sprawy płci nie budziły w niej zainteresowania. Nic właściwie nie wiedziała o tym, co działo się pomiędzy mężczyzną a kobietą. Dopiero dzisiaj zobaczyła materiały informacyjne. Były jednak sprzeczne. Współczesne pokazywały kobiety jako seksualne potwory, zmuszające mężczyzn do czynów lubieżnych. Obrazki w piwnicy ujawniały natomiast piękną stronę płci i wzajemny pociąg, przynoszący radość i przyjemność.

„Która strona kłamie?”

Przypomniawszy sobie emocje, jakich doznała w kontakcie z mężczyzną, zdecydowała, po której stronie leży prawda. „Czyżby Cymbergaj żałował mi tych doznań? Może więc wcale nie jest moim przyjacielem?” Nie umiała jeszcze wszystkiego sobie wyjaśnić.

Przez jej myśli przedarła się informacja wyświetlana na ostatnim monitorze. Widniały na niej dwie otwarte dłonie. Na każdej leżała tabletkę; były identyczne co do wielkości i kształtu, różniły się jedynie kolorem. Na lewej ręce znajdowała się niebieska tabletkę, na prawej różowa. „Kuracja jest całkowicie odwracalna”. Feler stanęła, zaskoczona, gapiąc się na ekran rozszerzonymi oczami. Otwarte dłonie nagle się zacisnęły i dmuchnął w nie magiczny oddech. Na ekranie pokazał się chłopak i zaczął się obracać. A z każdym obrotem był inny. Patrzyła jak zahipnotyzowana i zobaczywszy, co się stało z osobą na monitorze, podniosła ręce do piersi.

Nagle otwarły się jakiś drzwi, wypadły z nich dwie kobiety, pochwyciły Feler pod ramiona i powłokły za sobą. Były bardzo silne i mocno ją trzymały, więc nawet nie próbowała się opierać. Przypomniała sobie taki sam uścisk rąk Cymbergaja, który ciągnął ją z sali klubowej do nory, nieprzytomną, ze zwieszoną głową. Domyśliła się, że coś wtedy zaszło w klubie. Zamroczyło ją do tego stopnia, że całkiem straciła świadomość. Cymbergaj był jej kumplem, więc ratował ją z opresji. A więc takie jest zadanie mężczyzny: nie zostawisz drugiego bez pomocy, wyciągniesz go choćby spod stosu trupów.

Nie wiedziała, skąd jej się wzięły te skojarzenia. Pewnie z filmów, które wyświetlano bez przerwy i wszędzie, na każdym z korytarzy domu zbudowanego z odpadków i śmieci. Nieoczekiwanie zaczęła się zastanawiać, jaki jest świat

zewnątrzny. Skąd płynęły te pytania i pragnienia, których nigdy dotąd nie miała? Dlaczego chciała poznawać i działać?

A Cymbergaj zabił tamtego starego mężczyznę...

Dlaczego to uczynił?

Wróciły do niej słowa: „opiekowałem się tobą”. Dlaczego? Czy miał wobec niej jakieś zamiary? Czy dlatego zajmował się nią wcześniej, kiedy była jeszcze chłopakiem? Tyle tajemnic w głębi, pod spodem, każdy ma jakieś ukryte plany, i tylko ona żyła zwyczajnie i płasko.

Otworzyły się kolejne drzwi i została wepchnięta do jasnej, przestronnej sali. Wszystkie ściany zostały zrobione ze sprasowanych plastikowych butelek. Ponieważ były przezroczyste, dawały wrażenie czystości, a uwięzione w nich światło optycznie powiększało pomieszczenie.

Kobiety puściły Feler, stały jednak w taki sposób, by nie mogła uciec. Rozglądała się zdziwiona. Nie miała pojęcia, że w jej uporządkowanym świecie istnieją takie miejsca. Znajdowało się tu dużo różnych sprzętów i kręcili się mocno czymś zaaferowani ludzie.

Kobieta w ubraniu przypominającym mundur popchnęła Feler w stronę drugiej, z białą przepaską na głowie.

– Wprowadź ją we wszystko – rzekła rozkazującym tonem, odchodząc w głąb sali.

– Przejdziesz teraz przyspieszony kurs. – Kobieta miała miły głos, więc Feler uznała, że nie zamierza jej skrzywdzić.

Pośrodku pomieszczenia stała platforma, do której nikt się nie zbliżał. Znajdowała się na niej kolejna kobieta. Miała bardzo duże piersi i ogromny brzuch, z powodu którego leżała płasko na plecach. Nagle zaczęła głośno krzyczeć z bólu.

Przerażona Feler chciała uciekać. Nie zamierzała patrzeć, jak będą ją torturować. Oglądała takie filmy, choć męczono głównie mężczyzn. Ale nigdy też nie widziała kobiety z tak wielkim brzuchem. Była pewna, że zaraz zaczną odrzynać jej tę wypukłą narośl.

Przewodniczka Feler pochwyciła ją mocno za rękę i pociągnęła za sobą.

– Chodź, ciekawa jestem, co się urodzi.

Szły szybko ku platformie, gdzie nad krzyczącą kobietą pochylał się już jakiś mężczyzna; zgiął jej nogi w kolanach i rozchylił na boki.

Feler pomyślała, że skoro zajmują się cierpiącą, jej nic nie grozi. Poza tym też była ciekawa.

Kiedy zbliżyły się, usłyszała dziwny, słaby skrzek, który wydawała mała czerwona główka. Zszokowana patrzyła, skąd wyłania się ta główka. Mężczyzna pochwycił ją i delikatnie wyciągnął na zewnątrz, wraz z resztą małego ciała.

– Chłopiec!

Dziecko, podniesione do góry, wrzeszczało potężnie, a wszyscy się śmiali i klaskali.

– Przysięgamy! – zawołał człowiek, który je trzymał.

Głośne słowa przysięgi popłynęły ze wszystkich ust, a mężczyzna pochylił się i ułożył dziecko przy boku matki.

– Sprawdziliśmy już, że nie jesteś w ciąży. – Kobieta z białą opaską zwróciła się do Feler, a gdy ta nadal nic nie rozumiała, kazała jej pochylić się nad monitorem i obejrzeć film uświadamiający.

Feler przyglądała się z wypiekami na twarzy. Pozostali skupili się przy matce i noworodku. Przewodniczka Feler, zerkając w tamtą stronę, zagradzała jej drogę ucieczki.

– Rozumiesz już? – zapytała. – Jestem inspektorem i zajmuję się takimi przypadkami jak twój.

– Kim jesteście?

– Traktują nas jak sektę, dlatego musimy się ukrywać.

– Będziesz się mną opiekować?

– Och nie – zaprzeczyła.

Feler pomyślała, że Cymbergaj zapewniał ją o swojej opiece, więc chyba wolałaby z nim zostać.

– Naszym celem – zaczęła inspektorka – jest walka o wolność. Dokładniej mówiąc: o wolną wolę i swobodę w podejmowaniu decyzji.

– Nie chodzi wam o mnie – rzekła Feler ze smutkiem – tylko o jakąś ideę. A ja przecież jestem ważna.

„Przynajmniej dla mnie samej” – pomyślała i uświadomiła sobie coś ważnego. Zmiana płci spowodowała, że zaczęła siebie szanować.

– Dasz sobie radę, skoro robisz takie zastrzeżenia. Bóg powiedział, że mamy wolną wolę.

– Bóg? Czyli jednak jesteście sektą.

– W tym sensie jesteśmy.

– A te przysięgi?

– Przysięgamy, że nie będziemy gwałcić wolnej woli istoty ludzkiej i nie pozwolimy, aby to się działo.

„Wielkie słowa – pomyślała Feler. – Nie dbają o mnie, ale o człowieka w ogóle”. Przypomniała sobie swoje siódme urodziny i pochyłona nad nią twarz robota, który kazał jej spojrzeć w lustro. Zobaczyła w nim dziewczynkę. Nie rozumiała, dlaczego robot zobaczył coś innego.

W tej właśnie chwili rozległ się odgłos walenia, który wypełnił całą salę. Ktoś dobijał się do drzwi. W pomieszczeniu zapanowała nerwowa krzątanina. Kilka osób położyło ręce na platformie z matką i dzieckiem i wspólnymi siłami przepchnęło ją

pod ścianę. Ktoś trzymał w ręku programator, w pośpiechu naciskając klawisze. Spoglądał to na ścianę, to na programator.

– Szybciej! – wołano zewsząd.

Nikt jednak nie zdjął rąk z platformy i nie pozostawił jej bez ochrony. Nikt nie uciekł, by ratować własne życie.

Wreszcie ściana pękła w połowie, ukazując przejście, w które szybko wsunięto platformę. Cała grupa weszła za nią. Ściana się zamknęła i w sali zostały tylko Feler oraz inspektorka.

– Teraz zobaczysz wolność wyboru i prawo człowieka – powiedziała.

Rozejrzała się, sprawdzając, czy wszystko, co mogłoby zdradzić, iż odbył się tu poród, zostało uprzątnięte.

Podeszła do drzwi. Zanim jednak je otworzyła, pękły, pchnięte od zewnątrz.

Do środka wbiegła grupa mężczyzn w hełmach i w maskach. Nieśli przed sobą tarcze, w rękach dzierżyli pałki. Rzucili się na inspektorkę i zaczęli ją okładać. Upadła na podłogę. Pochyleni mężczyźni bili skurczone ciało, aż zmieniło się w krwawy ochłap mięsa. Unieśli pałki – ich końce były czerwone i mokre.

Zadyszeli się i zmęczeni od ciężkiej pracy. Usiedli więc i zdjęli hełmy, wieszając je za pasek na kolanie. Odłożyli tarcze na podłogę, a obok nich położyli równo pałki, zakrwawionym końcem od siebie. Kiedy pozbyli się rynsztunku, Feler zauważyła, że są zwykłymi mężczyznami, podobnymi do Cymbergaja i innych chłopaków z klubu. Zastanawiała się przez chwilę, czy jej koledzy od nocnych zabaw również potrafiliby zatłuc kobietę. Odpowiedziała sobie bez wahania. I nawet nie musieliby nakładać pozbawiającego człowieczeństwa uniformu. Przypomniała sobie, że Cymbergaj zarznął starego, który pił wódkę i mieszkał w lochach. A przecież nie nosił wtedy munduru.

Przygotowała się na śmierć. Uświadomiła sobie, że nigdy nie widziała takich scen na filmach, które wciąż wyświetlano na ekranach, umieszczonych w każdym korytarzu i w każdej norze. Mówiono im, że świetnie żyją, nie muszą się niczym martwić, a domy z odpadów są takie wygodne.

„Kłamstwo – zrozumiała. – Rzeczywistość jest zupełnie inna”.

Właśnie zobaczyła prawdziwy obraz świata, w którym żyła. Ile jego warstw zdoła jeszcze ujrzeć przed śmiercią?

Siedziała oparta plecami o ścianę, wciśnięta w kąt i przerażona. Nie mogła opanować drżenia, cała się trzęsła i patrzyła na nich, zastanawiając się, kiedy zaczną.

Jeden z nich otarł czoło rękawem i zostawił ponad brwiami czerwoną smugę.

„To krew inspektorki”.

Łzy same popłynęły z jej oczu.

Miał jasne włosy, lecz krew zmieniła ich kolor ponad czołem na różowy.

– Co z nią robimy?

Nic im się nie chciało, nawet wstać.

– Ty, mała! – Nieco starszy interwent odwrócił się ku Feler. – Pokaż cycki!
Bez zastanowienia ściągnęła w dół swój łaśzek.

– Dzisiaj mi wyrosły – wyjąkała.

Mężczyźni spojrzeli na siebie.

– Ktoś ją załatwił. Może któryś z naszych. Bo kto ma wyłączny dostęp do tabletek?

– No to nie możemy jej walnąć. – Jasnowłosa uczynił sugestywny gest dłonią po szyi.

– Niby czemu?

– Bo jest obywatelką. I to za naszą kasę. Zrobili z niej trzecią pleć za nasze podatki.

– Ale się zmieniła w kobietę.

Kolejny mężczyzna podniósł się wolno.

– Ja bym ją...

Jego ręce powędrowały w stronę spodni, lecz z lekkim wahaniem oparły się na pasku; gotowe jednak kontynuować i rozpiąć zamek.

– Zabawimy się w doktora – szepnęła.

Wymienili spojrzenia, a jasnowłosa jeszcze raz przetarł czoło.

– To konwertka. Oni są jak zwierzęta. Nie mają świadomości, to bydłeta.

– Ta wygląda jak kobieta.

Ręce mówiącego pociągnęły zamek w dół.

– Walileś kiedyś kozę? – zapytał jasnowłosa, który się znał na wszystkim. – Albo maciorę?

– Nie – zaprzeczył mężczyzna. – Ale liczy się dupa, a nie jakaś tam świadomość.

Podszedł ku niej szybko, jego ręce sprawnie zdjęły spodnie.

Feler się bała. Przyciskała kolana.

– Będzie bolało – ostrzegł ją.

Potem dołączyli się inni, którzy zdążyli wypocząć i nabrać wigoru.

Wciąż usiłowała się bronić, mimo że bardzo ją bili.

„Jestem człowiekiem, wiecie?! – krzyczała w myślach. – Nie konwertką ani bydłem. Nie miałam wyboru, zrobili ze mną, co chcieli, kiedy skończyłam siedem lat. I to za wasze pieniądze. Skoro zapłaciliście, to wy jesteście winni tego, co ze mną zrobiono. To jest gwałt. Na moim ciele i na mojej duszy”.

Leżała sponiewierana w kącie, nawet nie mając siły zakryć się swoją podartą szmatką.

– Trzeba ją dobić. Bo wygada.

– Kto będzie słuchał bydłęcia...

W tej chwili do pomieszczenia wpadł Cymbergaj.

– Co zrobiliście mojej kobiecie?

Podniósł ją i otarł mokre ciało. Nie miała sił utrzymać się na nogach. Zdjął kurtkę i otulił dziewczynę. Wziął ją na ręce, by zanieść do nory.

– Słuchaj, kolego, to ty dałeś jej tabletkę na konwersję? Skąd ją wziąłeś? Odpowiesz za to.

– Ktoś mnie oszukał – odparł Cymbergaj szybko. – Ona to mój kumpel. I miał nim pozostać. Chciałem go pobudzić, no wiecie.

Mężczyźni tręcili się łokciami. Cymbergaj też czasami robił takie gesty. Nie rozumiała ich wcześniej, teraz tak.

Już w drzwiach, kiedy ją wynosił, dobiegł ich śmiech jasnowłosego.

– Tylko uważaj, mała, żeby ci nie wyrósł trzeci cycek poniżej pasa.

Przypomniała sobie kobietę leżącą na platformie i potem krzyczące dziecko. Chciała tego. Była całkowicie kobietą.

Znacznie później, porządnie umyta, szykowała się do snu w swojej norze. Cymbergaj, zanim odszedł, powiedział, że dzięki nauce wszystko można odwrócić i będzie jak przedtem, i położył na stoliku obok jej barłożka tabletkę. Była czerwona. Taka sama jak wtedy, gdy miała siedem lat. Dziewczyna patrzyła na nią, zasypiając. Zamykając oczy, płożyła obie ręce na brzuchu.

Emma Popik: Mistrz

Opowiadanie pochodzi ze zbioru „Na zawsze piękni i młodzi”.

Miał dziewięć lat i był genialny. Podprowadzono go pod wielki tron władcy i pozostawiono samego. Uczynił to jego nauczyciel, który teraz wycofywał się tyłem i ukradkiem ocierał oczy. Chłopiec nie wierzył, by jego nauczyciel umyślnie go tu przyprowadził, wiedząc, co może się stać. Nie wierzył również w czekającą go śmierć, ufał w zwycięstwo prawdy, którą znał. Ale nauczyciel nie wracał, a chłopiec nie wiedział, do kogo należał krzyk.

Władca siedział na tronie z wypolerowanego metalu. Poręcze tronu ozdobiono spiralami; kiedy chłopiec spojrzął na nie, odniósł wrażenie, że się wiją i zaraz skoczą mu do oczu, ale się nie bał, znał bowiem prawdę, i przyszedł tu, by ją ogłosić.

Przeniósł wzrok na wielką stopę władcy wysuniętą spod szaty. Druga, jak nakazywał dworski ceremoniał, była schowana. Stopa władcy miała wyrwane paznokcie; zawsze tak czyniono cesarskim niemowlętom, by nie przechodziły tortur w razie zmiany rządów, co się zdarzało systematycznie. Stopa w sandale z ciężkiego, żółtego metalu stała na fioletowej lśniącej posadzce.

Chłopiec prześliznął się wzrokiem po szacie władcy obwieszanej krążkami kolorowych metali. Właśnie wzeszło słońce, niebieskie o tej porze, i szybko wtaczało się na pułap purpurowego nieba. Oświetliło od spodu głowę władcy, która wyglądała jak czarna bryła, w peruce poskręcanych włosów usztywnionych paskami metalu tkwiła wysoko na tle horyzontu. Słońce już wpełzło do połowy nieba i zaczynało parzyć z wysoka. W jego sinym świetle stała maleńka figurka chłopca na tle rozległej tafli fioletowej posadzki naprzeciw ogromnego jak gmach tronu.

Spojrzenie chłopca powędrowało wyżej i napotkało spojrzenie pomarańczowych źrenic, które wydawały się płytkie w koncentrycznych obwódkach szminek wokół oczu. Szminka tak grubo pokrywała twarz, że wyglądała jak glina, w której wyżłobiono rysy.

Mierzyli się wzrokiem. Oczy władcy nie wyrażały niczego, tylko lśniły, a chłopcu się wydały chore, lecz nie znał powodu bólu. Zrobiło mu się żal władcy z podkrążonymi oczami; pomyślał, że prawda, którą mu wyjawia, będzie jego ocaleniem, więc patrzył otwarcie.

– Dlaczego nie masz opaski na włosach? – wymamrotał władca spod grubej warstwy szminek, które mu się kruszyły z warg. Nie był pewien, czy ludzie powinni nosić włosy związane, ale powiedział tak kierowany bólem; bo paski metalu przytrzymujące perukę kłuły go w skórę czaszki.

– Masz na sobie tylko cienką koszulę przed kolana? – Pytanie zabrzmiało jak westchnienie zazdrości; jemu było ciężko i duszno pod szatą, a ozdobne krążki

metalowi już się nagrzały i piekły go przez tkaninę. Promienie światła załamywały się na nich i rozszczepiwszy się, rzucały błyski na czarnoróżowe prążki sukien. Nie czekając na odpowiedź, dodał: – Podobno znasz prawdę? – I nie wiedząc, co robić dalej, skinął palcem, otoczonym miedzianą rurką, na uczonego doradcę kryjącego się sprytnie przed upałem w czerwonym cieniu drzewa. Słońce biło promieniami prosto w dół, a uczoney zgodnie z przepisami musiał być nagi.

Chłopiec spojrział ciekawie na chudą postać pokurcza, kulawo wysuwającą się z cienia. Uczony miał cechy mutanta, jak wszyscy, choć się o tym nie mówiło i nie przyjmowano do wiadomości, traktując każdego tak, jakby był człowiekiem. Brzydkie i chropawe ciało uczonego pokrywały płyty parszywej skóry z wyraźnie widocznymi brodawkami i sierścią.

Dziecku przypomniały się żółte wstrętne żaby, pleniące się w gnijących zaułkach miasta. Chłopcy ciskali w nie kamieniami i wszyscy się ich brzydzili. W jego oczach odbiło się to wspomnienie pełne wstrętu i niechęci.

Uczony skrzyżowanymi rękoma krył parszywą skórę i kuląc się, dreptał w kierunku tronu, by skryć się za jego oparciem. Udawał, że nie widzi drwiny w oczach chłopca; rzucił ku niemu tylko jedno ukośne spojrzenie. Ale jego twarz zrobiła się gorąca i miał wrażenie, że palą go policzki. Ogarnęło go nowe uczucie, którego nigdy jeszcze nie doświadczył: wstyd.

Toteż kiedy skrył się za oparciem tronu jak za murem i wymacał wzrokiem oczy chłopca, spojrział na niego z taką nienawiścią, że dziecko powinno zacząć się bać. Lecz mały tego nie umiał, wierzył w zwycięstwo prawdy.

Uczony patrzył na chłopca szklanym od nienawiści spojrzeniem, lecz myślał o tym, co trzeba zrobić. Pochyliwszy się do ucha władcy, szeptał mu instrukcje i opowiadał o wyczynach chłopca w mieście. Umiał dobrać odpowiednie cytaty z raportów, które mu przynosili szpiedzy, wiedział też, jak dopiąć swego.

Od czasu, kiedy wielkie biblioteki płonęły i ogień z nich przenosił się na miasto, zakazano druku książki, bo przynosiły więcej szkody niż pożytku. W zamian wyznaczono odpowiednie osoby, których obowiązkiem było wiedzieć, co należy, i we właściwym momencie przekazać informacje władcy.

Uczeni w dowód swej doskonałej pamięci chodzili nago, pokazując, że nigdzie nie chowają zapisków i ściągaczek, a doskonały umysł jest ich jedyną skarbnicą.

Władca, słuchając uczonego, nie patrzył na chłopca; jego zamglony pod ciężkimi powiekami wzrok błąkał się po okolicznych wzgórzach kryjących, jak wiadomo, zasypane miasta z portami lotniczymi i stoczniami raketowymi. Czy kiedyś je odkopie, choć wiedział, że kryją promieniotwórczą śmierć, wciąż niebezpieczną mimo upływu czasu? Czy każde odgarnąć z nich piasek, by odkryć w magazynach pomarańczowe rozpadające się słońce, które być może na powrót uczyni z mutantów ludzi albo ich zabije? Czemu dumał nad wyglądem swego ludu właśnie teraz? Czyżby czysta skóra chłopca skłaniała go do takich pytań?

Chłopiec stał i myślał: „Teraz mnie zapyta o prawdę i ja mu ją ogłoszę”. I zadrżało jego delikatne ciało, tak białe, jakby wyczyszczone w białym marmurze poprzerzynanym cieniutkimi niebieskimi żyłkami.

Ale władca nie pytał o nic. Nie myślał już bowiem ani o udoskonaleniu, ani o wymordowaniu swego ludu, który i tak był mu obojętny; jeszcze nigdy przecież nie pokazano mu człowieka. Teraz dręczyła go tylko jedna myśl: kiedy nadejdzie czas jedzenia? Wyłącznie jedno miał pragnienie: zaspokoić głód.

Głodny był zawsze, nie pamiętał, by kiedykolwiek najadł się do syta, władcom wyznaczano tak marny wikt. Denerwował go dworski ceremoniał nakazujący zajmowanie się polityką równo ze wschodem słońca, przed posiłkiem oczywiście. Nigdy nikt nie przychodził na audiencje, więc drzemał, czekając na jedzenie, bo we śnie głód nie dręczył go tak mocno jak na jawie.

A dziś osłabł z głodu i ciążyła mu szata na ramionach.

– Z czego jest zrobiona twoja koszula? – zapytał cicho. Wzrokiem zdradzającym myśli o jedzeniu i lekkim przewiewnym ubraniu prześlizgiwał się po dwóch prostokątnych kawałkach płótna związanych na ramionach; i dojrzał wreszcie bosc stopy chłopca na posadzce. Patrzył na nie i nie mógł się nadziwić paznokciom przypominającym kruche szkiełka.

On sam nie dałby rady oderwać stopy uwięzionej w magnetycznym sandale. Wiedział zresztą, że śliskość podłogi czyniła chodzenia śmiertelnie niebezpiecznym. Po skończonej audiencji przyjdą i go wyniosą, ująwszy tron za cztery drągi. Zawsze się obawiał, że pójdą nieco dalej po śliskiej posadzce tarasu, aż do jego brzegu, i zepchną go, by się roztrzaskał o żelazne skały, na których wzniesiono twierdzę. Tak zawsze czyniono ze zużyтыми władcami. Przewroty następowały często i niespodziewanie, toteż nie był pewien dnia ani godziny. Uświadomił sobie naraz, że całe jego życie upływało w trwodze przed śmiercią, a mały chłopiec, który stał przed nim bosy i zupełnie bezbronny, patrzył śmiało i zupełnie nie czuł strachu.

Z zaułków dobiegły wrzask, wycie i jęki, a potem nieludzki skowyt. Władca zadrżał, mury twierdzy szturmowała wrzawa.

„Czy to już po mnie?” – pomyślał. Najgorsze i najwstrętniejsze było to, co następowało potem: odgłosy zadowolenia i mlaskanie.

– Ludzie w mieście złapali odmienca – przypomniał usłużnie uczony. On wszystko wiedział, choć podobnie jak jego pan nigdy nie dostał pozwolenia na opuszczenie twierdzy.

– Obdzierają go ze skóry – dodał obojętnym tonem, patrząc na chłopca.

Władca odetchnąłby głęboko, gdyby jego piersi nie krępowała sztywna szata. Ze strachu spojrzął w bok, odwracając gałki oczne, bo nie mógł poruszyć głową. Chciał lepiej usłyszeć kroki, gdyby się po niego skradały. A zobaczył kwiaty pełzające po brzegach tarasu.

Nienawidził tego widoku i zawsze czynił wszystko, by nie patrzeć w tę stronę. Z powodu chłopca nie mógł przedrzemać czasu audiencji i napotkał wzrokiem kwiaty koloru wątroby. Przypominały gnijące mięso przyklejone do brzegu tarasu ciemnoróżowymi błonami. Nie mógł znieść ich brzydoty ani wytrzymać ciężaru swego życia, które dopiero teraz stało się naprawdę nie do wytrzymania.

Przez tego oto chłopca zaczął wszystko czuć mocniej i boleśniej. Miał wrażenie dochodzenia do jakiejś prawdy. Jakże ona uczyni go wrażliwym na ból, jak podrażni jego nerwy – gdy zostanie przez chłopca wygłoszona, stając się cierpieniem – choć nawet go nie nakarmi.

– Czy takich jak ty jest wielu? – zapytał z przerażeniem władca.

„Gdyby takich było wielu, a prawda dotarłaby do ludzi, co stałoby się z urzędem władcy – zastanawiał się, czując, że stoi na krawędzi tarasu i zagłąda w przepaść. - On musi być jedyny – wmawiał sobie, bo to stanowiło ratunek. Odmieniec” – odpowiedział w myślach.

– Wydać go – rzekł szybko, jakby chciał, aby stało się to jak najprędzej. Powiedział tak, bo bardzo się bał i dręczył go głód. Więc chłopca zabrano, by rzucić tłumom.

Uczony się uśmiechnął, ale jeszcze nie był całkowicie zadowolony. Widział, jakie wrażenie zrobił na władcy widok chłopca. Patrzył na strumyczki ściekających szminek, które topiły się pod wpływem wzruszenia. Jeszcze czuł ohydę swojej parszywej skóry i ból od oparzeń słonecznych. Bolało go poczucie hańby, jakiej doznał, idąc powoli przez całą długość tarasu, obserwowany przez chłopca. Promienie granatowego słońca stojącego w zenicie paliły jego skórę, a wzrok dziecka ziębił.

On, uczony, szeptał w ucho władcy rady tak zbawienne! Opowiadał mu o niebezpieczeństwie prawdy. Ileż wysiłku kosztowało go posklejanie w wygodną całość strzępków informacji przynoszonych przez szpiegów! Przesłuchiwał każdego wiele godzin, ale znacznie dłużej trwało wkuwanie na pamięć ich słów. Musiał zapamiętać najdrobniejszy szczegół. Całe noce siedział w ciemności i powtarzał wszystko w kółko, aż mu się plątały słowa i wiadomości, a przed oczami zaczynały latać tęczowe płatki zmęczenia. Nie mógł przecież niczego zapisać, więc i w dzień siadywał w korytarzu, zamykał oczy i powtarzał słowa zasłyszane przez szpiegów. Bał się i męczył, a nikt nie znał jego życia pełnego strachu. A teraz, kiedy dokonał największego dzieła, zostało ono przez władcę zlekceważone. „Tego mu nie przebaczę” – postanowił. Patrzył zza oparcia tronu na jego ucho sine od promieni słonecznych i kostropate od warstw szminki i myślał o zemście.

Zjawili się jak zwykle wtedy, gdy nie mógł już ani chwili dłużej wytrzymać z głodu. Byli wysocy i nosili złote blaszane stroje. Ujęli bez wysiłku rączki drążków wystające po czterech rogach tronu. Zachybotął się. Ich złote maski miały zbyt wąskie otwory na oczy, więc nie mógł w ich źrenicach znaleźć potwierdzenia swoich

podejrzeń. Nigdy się nie zbliżali tak bardzo, by mógł wyczuć oddech, choć mieli dziurki na nozdrza. Blachy masek nie wycięto w kształt ust, więc nawet nie próbował zadawać pytań.

Uczony patrzył, jak nieśli władcę przez gładki i śliski korytarz, okrągły jak rura, pod migającymi reflektorami. Kiedy zniknęło ochraniające oparcie tronu, poszedł w róg tarasu, kryjąc się w cieniu drzewa, który ciepłą czerwienią bronił przed promieniami słońca i nieco osłaniał parszywą skórę. Nie mógł o niej zapomnieć. Musiał mieć spokój, by ułożyć plan zemsty i zniszczenia władcy, którego niesiono pod fioletowymi błyskami reflektorów.

Władca nawet nie mógł zmrużyć oczu, bo powieki były usztywnione warstwami szminek. Postawili go w Sali Pokarmu, znowu się zachybotał i nim zdążył złapać równowagę, wepchnęli mu do ust rurkę tak głęboko, że się zakrztusił. Tak było co dnia i choć zawsze chciał się przygotować na ten przykry moment i zacisnąć mięśnie szczęk, by uniknąć dławienia się rurką, głód powodował, że zapominał o przyrzeczeniu i otwierał szeroko usta. Zawsze tracił pierwsze, najpyszniejsze łyki, które spływały mu po brodzie i ściekały pod szatę na piersi, wciąż powiększając zakrzepłą kałużę na skórze.

Nagi uczony, przemykając się za drzwiami Sali Pokarmu, widział, jak władca, wytrzeszczywszy oczy, chleptał swoją codzienną zupkę ugotowaną z produktów, których nigdy mu nie pokazywano, zerkał na czterech tragarzy w maskach, stojących nieruchomo i śledzących zegar. Jeden z nich trzymał rękę na kraniku dołączonym do rurki.

Władca podejrzewał, że zakręcali mu dopływ zupy wedle swego kaprysu. Usiłował nie wpatrywać się w nich zbyt natrętnie i opuszczał powieki, kiedy tylko mu się wydało, że obserwują go spod złotych masek i mogliby z jego oczu odczytać wyrzut czy naganę. Bał się wzbudzić ich niechęć, bo wystarczyłby lekki ruch palca w złotej rękawicy i pozostałby głodny do następnego dnia. Ale w duchu nie mógł się powstrzymać od zadawania sobie pytań i znajdywania na nie odpowiedzi. Pewien był, że utuczylili się na jego zupkach. Rzucił okiem na bryły mięśni ramion skrzyżowanych na piersiach i znowu oskarżył ich o to, że mu systematycznie podkradali zupki. Łykał bardzo szybko, by się jak najwięcej nachleptać, płyn spływał mu letnim strumykiem do gardła, ssał rurkę jak cycek, starając się z niej wycisnąć jak najwięcej i nie stracić rytmu.

Uczony lekko przebiegał najwyższe piętra twierdzy; dokładnie wiedział, ile trwa posiłek, więc był spokojny i pewny, że zdąży wykonać swój plan. Cicho się przemykał, nie czyniąc szelestu bosymi stopami, dokładnie przylegającymi do śliskiej podłogi. Dobrze wiedział, dokąd iść i jakie wykonać manipulacje. Korytarz wznosił się prawie pionowo w górę, nigdzie nie było schodów. Przystanął i spojrzał za siebie, by sprawdzić, czy go nikt nie śledzi. Przeraził się, widząc śliską rurę korytarza. Gdyby upadł, lekko nawet pchnięty, pewnie zleciałby w dół i nic by go nie

zatrzymało, żadna poręcz – roztrzaskałby się na żelaznych zboczach tarasu. Przywarł mocniej stopami, wstrząsnął się, odwrócił głowę i patrząc tylko przed siebie, szedł w górę.

Komora i maszyna były informacjami utajnionymi, on pozornie korzystał jedynie z wiadomości przynoszonych przez urzędowych szpiegów, ale wiedział swoje. Jego prywatni donosiciele kontrolujący urzędowych podsłuchali kogo trzeba i zdradzili mu szyfr. Był panem zamku i władcy. Grzejąc się w fioletowym ciepłe reflektorów, powtarzał sobie, mrużąc:

– Trzy obroty w lewo, dwa w prawo, pięć w lewo, zakodować datę, na którą chce się ustawić przewrót pałacowy.

Z tym nie będzie kłopotu, wkręci w szyfr mechanizmu datę dzisiejszą. Niech się od razu skończy panowanie, nie ma potrzeby, by jego zemsta czekała.

Kątem oka zobaczył odbicie swojej postaci w wypolerowanym metalu ścian. Wklęsłe zwierciadło dodatkowo zniekształciło jego sylwetkę, rozszerzając biodra, zwążając ramiona, już i tak bardzo kościste i rachityczne. Ale nawet tak mdłe i niedokładne lustro, jak metalowa ściana, ujawniało jego parszywą skórę. Jakże widoczna musiała być gołym okiem! Musiał ją pokazać obcemu, w dodatku dziecku o czystej skórze – bez narośli i guzów. Dobrze wiedział, że chłopiec był przedstawicielem starej rasy prawdziwych ludzi, która się czasami odradzała w pojedynczych egzemplarzach, ale za to tak doskonałych jak ten. Patrzył na swoje odbicie i złość podżęgała go do czynu. Te jego poskręcane żebra i wątle kolana! Nie mógł znieść swego widoku, a przecież przyzwyczał się do szpetoty tak jak wszyscy inni. Niczym się nie odróżniał od reszty ludzi, o czym wiedział z raportów szpiegów myszkujących po mieście. Nie dostrzegał w sobie niczego obrzydliwego, dopiero uśmiech jasnego dziecka uświadomił mu, jak bardzo był wstrętny.

– Miał głosić prawdę – burknął do siebie, zapominając o nieustannym powtarzaniu szyfru, bo miał słabą pamięć. – Czy taka jest ta jego prawda?

Stwierdził, że nie jest potrzebna, za to szkodliwa. Władcy również mogła przynieść same cierpienia. Niedobrze, gdy władcom się na za dużo pozwala.

„Nie powinien był jednak oglądać prawdziwego człowieka” – podsumował w myśli, bo ludzie się już zabezpieczyli od samowoli władców, wygnawszy ich do wysokich twierdz. Pogłaskał ręką ścianę i uśmiechnął się.

Tak, solidna jest żelazna skała i twierdza, władca się z niej nie wydostanie. Wyobraził sobie brzeg tarasu bez poręczy i przyspieszył kroku. Minał Salę Egzaminów i wszedł do małego pokoiku na jej zapleczu. Tu znajdował się mechanizm, ale jakże zakurzony, nikt nie konserwował go od lat. To dlatego władca panował tak długo. Mechanizm szedł, jak się podobało jego trybom, ręka człowieka nie dotykała go od dawna.

Uczony stał, opierając się plecami o drzwi, i przyglądał się maszynie, która miarowo tykała i błyskała ekranami,

„To tak! – pomyślał. – Teraz przynajmniej wiadomo, kto sprawuje rządy!” – wziął się pod boki i kiwał głową ze złością.

Miało być zupełnie inaczej. Wszystko dokładnie ustalono podczas ostatniego przewrotu pałacowego – podrapał się w głowę, bo nie mógł sobie przypomnieć tej odległej daty.

„Wtedy uradzono, zapisano, ujęto w paragrafy i konstytucję. A tymczasem rządzi maszyna. Kogo winić?” – pytał sam siebie i postanowił wszystko odmienić. Po przewrocie pałacowym i likwidacji władcy, znowu się wszyscy zbiorą, naprawi się państwo, odbuduje system. On będzie zbawcą. Wypiął dumnie pierś i oczyma wyobraźni widział wielkie przemiany, a siebie w lekkich szatach głoszącego ludowi wieści. Mimo woli przypomniawszy sobie chłopca i przestał się uśmiechać. Zdmuchnął kurz i powtórzywszy sobie szyfr: dwa obroty w lewo, trzy w prawo, pięć w lewo – nastawił dźwignienki.

Wyszedł, zamknął drzwi i odetchnął z ulgą. Zbiegł lekko do sali Egzaminów, bo już był najwyższy czas. Egzamin miał się zaraz rozpocząć. Wolał nie myśleć, co by się stało, gdyby odkryto manipulacje przy mechanizmie. Przypomniawszy sobie odpowiednie paragrafy, które wykuł na pamięć po ostatnim przewrocie, by stać się gwarantem praw.

„Świetną mam pamięć – pomyślał, zatrzymując się za progiem Sali Egzaminów i wtedy oblał go zimny pot. – Czy przypadkiem nie pomyliłem szyfru?” – Ześlizgnął się plecami po ścianie i ukucnął przed progiem, kuląc głowę i obejmując kolana ramionami, najciaśniej jak zdołał. Bał się, że ktoś może zobaczyć, jak bardzo dygoce ze strachu. Jeszcze słyszał, tak mu się wydawało, jak mechanizm tyka, idąc nieodwołalnie naprzód.

Władcy wyrwano rurkę szarpnięciem ręki w złotej rękawicy, co jak zwykle poszło szybko, mimo zwyczajowego zaciskania szczęk. Kurek był zakręcony od dłuższej chwili. Nie tylko z powodu przedłużenia rozkoszy jedzenia władca starał się jak najbardziej przeciągnąć posiłek. Robił to również ze strachu, bo zaraz po jedzeniu, kiedy czuł się ocieężały i senny, czekał go egzamin, jakiemu z urzędu był poddawany.

Nigdy nie potrafił zgadnąć, jakie trzy pytania zostaną mu zadane. Zastanawiał się co dzień nad dziedzinami, z których mogły pochodzić, lecz nigdy nie utrafił choćby w jedno pytanie. Od prawidłowości odpowiedzi zależało jego życie. Codziennie jego los zawisał na małym znaku zapytania. Nieprawidłową odpowiedź karano śmiercią, więc nie był pewien dnia ani godziny.

Nigdy też nie wiedział, czy podał właściwą odpowiedź. Zawsze miał wątpliwości, ale chyba odpowiadał trafnie, bo przecież wciąż żył. Kiedy czekał, aż na ekranie ukaze się znak plus lub minus, tracił oddech i chwila, w której się rozstrzygało jego życie, wydawała się nie mieć końca. Zamierało wtedy jego serce i już czuł, że krew spływa mu do nóg i leci głową w dół z wysokiej skały.

Zastanawiał się, kim są ci, którzy zadają pytania? Kto ocenia prawidłowość odpowiedzi? Często był pewien, że plecie głupstwa, jednak na ekranie pojawiał się znak plus: zdany egzamin. Podejrzewał, że jego los zależy od kaprysu nieznanych mocy, ale nie miał kogo zapytać o prawdę. Czterej tragarze, którzy go nosili, nie posiadali otworów na usta, inni wykonujący przy nim niezbędne czynności kryli twarze za żelaznymi maskami. Podejrzewał, że są automatami.

– Ale uczony jest człowiekiem – powiedział sobie z radością, – Może niezupełnym, lecz coś w nim jest ludzkiego. Trzeba go zapytać, przecież dawał mu rano rady dotyczące chłopca. Wydawały się rozsądne.

„Dlaczego dzisiaj dręczą mnie takie problemy” – zastanawiał się, czekając w Sali Egzaminów na rozpoczęcie wyświetlania pytań. Ekran jeszcze był ślepy i matowy. Zazwyczaj drżał ze strachu, teraz jednak robił w myślach przegląd swego życia.

Przypominał sobie wszystkie swoje dni biegnące niezmiennym ustalonym trybem. Po egzaminie sadzano go codziennie w pustej Sali Pracy. Wykonywał mechanicznie czynności i nigdy nie dręczyły go żadne wątpliwości, chociaż miał dużo czasu na rozmyślanie. Siedział przy pustym stole i rozcierał glinę na barwiczki. Zawsze myślał wyłącznie o śledzących go ekranach i oczach kamer fotografujących każdy jego ruch. Starał się jak najdokładniej rozłukiwać bryłki, rozdrabniać w małych moździerzach i potem wsypywać proszek do właściwych miseczek. Kiedy zakończył rozbijanie, musiał rozcieńczać farby własną śliną. Od dokładności rozmiążdżenia zależał potem stopień trudności tej fazy robienia farb.

Myślał więc tylko o dokładnym wykonywaniu czynności, jakby były rytuałem w najdrobniejszym fragmencie. Dręczył go głód; myśl o nim zabijał pragnieniem wypoczynku i wyobrażaniem sobie, że już na głównym ekranie zapaliło się zielone światełko: pozwolenie na odpoczynek. Wyprostowywał wtedy plecy i zamykał oczy. Nie myślał o niczym, tylko starał się rozciągnąć tę chwilę jak najbardziej. Zawsze odpoczynek wydawał mu się za krótki, ale bał się protestować. Tak musiało być i zachowywał posłuszeństwo.

Wiedział, że ustalony rytuał chronił go przed ludźmi. Mówiono mu, że ludzie są odrażający, a na dowód ich wstrętnego wyglądu postawiono obok niego na urządzie ohydny uczonego. Okrucieństwo ludzi, ich krwiożercze instynkty stanowiły powód zamknięcia go w twierdzy.

Teraz siedział przed ekranami i czekał na rozpoczęcie egzaminu; wycmuktując z zębów resztki zupki, zastanawiał się, dlaczego ten ranek jest zupełnie inny od poprzednich. Uświadomił sobie, jak okropne jest jego życie, ale dotychczas sądził, że tylko w takim kształcie było możliwe.

Rozejrzał się po Sali Egzaminów. Ekran. Wszystko zimne i nieprawdziwe.

„Egzamin jest przecież wyłącznie formalnością – uświadomił sobie tę prawdę. – Nieraz musiałam dawać niewłaściwe odpowiedzi. – Teraz był tego pewien. – A jednak uznawano je za dobre. Egzaminują mnie, bo to jest upokarzające”.

Całe jego życie było pełne pozorów, strachu i hańby.

„Kim są ci, którzy uczynili ze mnie swojego więźnia? – krzyknął do siebie w duchu. – Chcę poznać prawdę” – zrozumiał ze zdziwieniem. Miał tę okazję: chłopiec chciał mu wyjawiać jakieś prawdy, ale wtedy, rankiem, ledwo do jego świadomości docierał sam fakt obecności chłopca, a jego słów prawie nie rozumiał.

„Wydałem chłopca na śmierć” – pokiwał głową nad samym sobą. Ale jeszcze nie słyszał wycia tłumu.

– Oddajcie chłopca! – krzyknął.

Było już za późno, właśnie rozpoczął się egzamin i ekrany wyświetliły pierwsze pytanie. Z trudem skupił się na jego treści. Zresztą nie była ważna, mógł odpowiedzieć byle co, i tak zostałyby uznane, ale dumnie milczał.

Zaniepokoił się, bo chłopiec nie wracał.

– Zabrali go natychmiast, a każą czekać z oddaniem – burknął ze złością. Patrzył na ekran i wcale się nie denerwował, widząc wyskakujące cyferki: odliczano mu czas. Rozejrzał się: chłopca wciąż nie wprowadzano.

„A może mi go nie oddadzą?” Nigdy przecież nie wykonywano żadnych jego rozkazów. Prawdę mówiąc, nie wiedział, że w ogóle wolno mu wypowiadać życzenia. „Chłopiec więc żyje, oczywiście – uspokajał siebie w duchu. – Żyje dzięki temu, że są rygory i obostrzenia. – Jeszcze raz rozejrzał się po sali, tym razem innymi oczami. – Czyżby w moim katorżniczym życiu był jakiś sens?”

Na ekranie wyskoczyło następne pytanie; nie przeczytał go nawet, bo uświadomił sobie, że wydany rozkaz był w ogóle jedynym, jaki kiedykolwiek wypowiedział. Może więc został wykonany?

Nie odpowiedział na pytanie, myślał tylko o chłopcu i drżał, bojąc się, że usłyszycie wycie tłumu. Nie zniesie mlaskania i ryku rozkoszy.

Na ekranie już odliczono czas i strzałka pokazała, że drugie pytanie nie zostało uznane. Zostało mu jeszcze parę chwil życia i ostatnia szansa. Wyświetlono trzecie pytanie. Władca przybliżył swoją twarz do ekranu, w którym ujrzał swoje odbicie i uświadomił sobie, że to on. Spostrzegł pierwszy raz w życiu swoją minę. Zobaczył, jaki jest naprawdę: sztywno siedzące, agresywne monstrum z zaskorupałymi warstwami szminek na nigdy niemytej twarzy.

„Jaką naprawdę mam twarz? – zastanowił się i dodał: – Kim jestem?” Uniósłszy z wysiłkiem ręce zdrapywał grube warstwy farb z czoła i policzków. Pochylił się i jeszcze dokładniej przyjrzał się sobie. Chłopiec nie wracał. A on zobaczył, że ekran zbladł i przestał wyświetlać ostatnie pytanie. „To już koniec” – pomyślał, ale bez trwogi. Wskazówki nieustannie posuwały się naprzód. Jego czas się skończył i to właśnie wtedy, kiedy zaczął się zbliżać do prawdy o sobie samym.

Do sali wszedł nagi uczony.

– Czy wiesz – zapytał – że nie wykonuje się żadnych poleceń władcy? – Przypomniawszy sobie ustawy, które kiedyś wykuwał na pamięć; to go ośmieliło, więc wstał i wszedł do sali z takim pytaniem.

Na ekranie wskazówka stała na ostatniej kresce. Władca oczekiwał, że zaraz zostanie strącony ze skały. „Może chłopiec przyjdzie – ucieszył się – i wszystko się odmieni? – Nie myślał o śmierci, nie bał się, w jego serce wstąpiła nadzieja. – „Nie wykonują moich rozkazów, jak to dobrze! Mądre są prawa, które gnębią – myślał sobie. – Zniosę stokroć gorsze męczarnie, bo dzięki nim chłopiec nie został zabity”.

Wtedy usłyszał dobiegający z dala pomruk, jakby szły wielkie tłumy. Zrozumiał ten odgłos i oczami pełnymi trwogi zawisnął pytaniem na twarzy uczonego. Wydało mu się, że widzi brudne masy ludzi-mutantów z kłami i płatami parszywej skóry, takiej samej, jaką zasłaniał rękami uczony. Miasto musiało być poprzerywane cuchnącymi zaułkami, w których masa ludzka zbierała się jak ropa. Widział też chłopca stojącego w cienkiej koszuli i patrzącego ufnymi oczami na rojącą się czern.

Z góry parzyło ostre, granatowe słońce, które chyląc się ku zachodowi, było wyjątkowo okrutne. Władca zamknął oczy, dobiegł go skowyt i wrzask.

Zerwał się z tronu. Przytrzymały go magnetyczne sandały. Chciał biec na pomoc. Wszystko mu przeszkadzało, ciężka odzież, sandały. Zerwał z głowy perukę i cisnął ją o posadzkę. Zrobiło mu się zimno w nagą czaszkę, więc machinalnie przesunął dłonią po skórze. Wyszarpnął stopy z sandałów i pierwszy raz w życiu dotknął nagą stopą podłogi. Nieznane odczucia tak go zaskoczyły, że stał i wsłuchiwał się w siebie, a jego zmysły niosły mu nowe informacje.

Zachwiał się, był bardzo słaby, nigdy przecież nie pozwalano mu stać o własnych siłach. A może to nagle doznanie prawdy tak na niego wpływało?

Oparł się rękami o ekran, by nie stracić równowagi. To one są winne wszystkiemu: maszyny, soczewki, ekrany. Zapraagnął je stłuc, zemścić się za te wszystkie dni pełne strachu, kiedy siedział na egzaminie, czekając na wynik wpatrzony w ekrany z tępą rozpaczą. Runął na ścianę, a wtedy w drzwiach stanęło czterech w złotych maskach.

Nie wiedzieli, co mają uczynić. Władca wprawdzie nie odpowiedział na pytania, ale czy należy uznać, że nie zdał egzaminu, skoro milczał? Czy mają go od razu strącić ze skały, czy poczekać do następnego dnia, do nowego egzaminu? Dzisiejszy można uznać za pomyłkę mechanizmu. Wiedzieli przecież doskonale, że maszyny są zawodne i wskazań ich nie należy brać pod uwagę ani tym bardziej być im posłusznym.

Porozumieli się wzrokiem i bez słowa zdecydowali, co należy uczynić.

Władca zatrzymał się na ułamek sekundy, widząc wejście czterech w złotych maskach. „Więc już po mnie przyszli?!” – Krew spłynęła mu do nóg i czuł, że leci ze skały.

Zapomniał o śmierci, a ona po niego sięgnęła. Jest człowiekiem, odkrył to dzisiaj, i choć się bał, nie pokaże strachu. Tylko musi jeszcze sprawdzić, czy jego ciało wygląda jak ludzkie, czy też są na nim łaty parszywej skóry, jak u doradcy. Zdarł z siebie wierzchnią szatę i zaczął szarpać kolejne suknie. Spieszył się, trzeba zdążyć, zanim do niego podejda czterej. Nie może umrzeć, zanim nie dowie się prawdy.

„To chciałeś mi powiedzieć, chłopcze?” – zapytywał w myślach i uśmiechał się.

Już stoją w progu okrągłego jak rura korytarza i porozumiewają się oczami. Ustalili, że go zabiją, skłaniają ku sobie mechaniczne głowy na tle rudej miedzi korytarza w świetle fioletowych błysków,

Lecz oni stali zaskoczeni obnażaniem się władcy. Uważali, że nie należy dopuścić do jego śmierci. Był nieszkodliwy, a po zrzuceniu go ze skały trzeba by wprowadzić tyle nowości, co wiązało się z niepokojami i zmianami.

Uczony również zastygł, zaskoczony czynem władcy, który już się mocował z ostatnią, pomarańczową koszulą. Zaraz stanie przed wszystkimi nagi i porównają ciała. Może się okazać, że skóra władcy jest gładka i czysta, a wtedy ktoś mógłby zdecydować, że on uczony jest odmieńcem. Jeszcze nie przebrzmiało wycie tłumów. Hałastrą stała pod bramami pałacu u stóp twierdzy. Była tak blisko, a taras nie miał poręczy.

Skoczył, krzycząc coś niezrozumiale o człowieczeństwie, prawdzie i o tym, że jest bez winy. Chwycił koszulę władcy, by go nią zakryć. Upadli, szamocząc się, władca był bardzo słaby. Uczony nie wiedział, jak to się stało, ale pchnął go, a on potoczył się szybko po wypolerowanej posadzce i obracając się wokół własnej osi na plecach, wpadł w rurę korytarza i bez ratunku ześlizgiwał się na zewnątrz.

Nie zdążyli skoczyć, by go pochwycić i uratować, byli nieruchawi w swych złotych ubraniach, przyzwyczajeni do rytuału, nie wiedzieli, co czynić. Gapili się teraz na uczonego leżącego w ogłupieniu na stosie królewskich szat. Porozumieli się wzrokiem, odgadli, co powinni uczynić. Pochwycili go mocnymi ramionami.

– Nie chciałem tego! – krzychał, wijąc się. Bał się tłumów. – Zapomniałem szyfru – bełkotał – pomyłkowo nastawiłem...

Ostatnich słów nie zdołał domamrotać, bo już mu zakładali perukę i sztywne szaty, by wszystko było jak przedtem.

Władca, ześlizgując się po zboczach żelaznej góry i tłukąc się o metal, jeszcze próbował przesunąć dłońmi po skórze, by poznać prawdę o swoim człowieczeństwie. I zanim wpadł w gąszcz żywych wijących się kwiatów o kolorze wątroby i o konsystencji gnijącego mięsa, zanim go omotały ciemnoróżowe błony, jeszcze usłyszał ryk uczonego przebranego już i posadzonego na tronie. Malowano mu twarz i wyrywano paznokcie u stóp uwięzionych w magnetycznych sandałach.